LUŹNE KARTKI

ZE WSPOMNIEŃ UNIWERSYTECKICH,

SPISANE

PRZEZ STAREGO DORPATCZYKA

WARSZAWA
Druk K. Kowalewskiego, Piękna 15.
1917.

LUŹNE KARTKI

ZE WSPOMNIEŃ UNIWERSYTECKICH,

SPISANE

PRZEZ STAREGO DORPATCZYKA

WARSZAWA
Druk K. Kowalewskiego, Piękna 15.
1917.

Kochanemu Koledze-Dorpatczykowi
Doktorowi Ryszardowi [illegible]

Łódź
d. 8/IV 1918 r.

Autor

Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseabteilung
Warschau, den 19. II. 1917. T. № 4640, Dr. № 243.

ZAMIAST PRZEDMOWY.

Moim bardzo już nielicznym, z przed pół wieku przeszło, towarzyszom uniwersyteckim, z późniejszych czasów, z ostatniej doby kolegom, oddaję te „Luźne Kartki“ z moich wspomnień uniwersyteckich, jako upominek z dawno minionych lat.

Spisałem te Kartki niewprawnym piórem przeważnie w 75-tym roku życia, a 56-tym mej matrykulacji w Dorpacie. Spisałem to, czego sam byłem świadkiem, małą tylko cząstkę tych wspomnień wziąłem z dawniejszej koleżeńskiej tradycji lub z opowieści młodych kolegów. Odwiedzając niejednokrotnie Dorpat i po moim ostatecznym z niego wyjeździe, mogłem na miejscu nowsze czerpać wiadomości.

W tych notatkach nie trzymałem się porządku chronologicznego, łączyłem raczej nieraz wspomnienia z różnych czasów, bardziej pokrewne treścią.

Odczuwając swoją nieudolność pisarską i brak należytego ugrupowania tych opowieści, proszę mych kolegów, dla których głównie pisałem, o pobłażliwość.

Te wspomnienia niechaj będą jednak nietylko upominkiem dla moich dorpackich kolegów, lecz zarazem bratnim pozdrowieniem starego Dorpatu, zwróconym do

młodzieży naszej, mogącej obecnie kształcić się w kraju i ojczystym języku. Do tej gorąco upragnionej chwili wzdychaliśmy wszyscy, kraj cały niecierpliwie jej wyczekiwał a z nim i wychowańcy dorpaccy wszystkich czasów.

Vivat! Crescat! Floreat!
Alma Mater Varsoviensis!
Vivat! Crescat! Floreat!
Polytechnicum Varsoviense!

TREŚĆ.

żarty, wybryki i kawały studenckie. — Dwa zakłady kolegi W. — Sprawa o rzekome znieważenie bóżnicy. — W mieszkaniu kolegów P. i B. przeszkadza. — Tragi-komiczna awantura studenta B. liwona. — Nocleg u profesora Mühlaua. — Dogi stud. braci K. i czworonóg kolegi H-la. — Siarkowodór zakłóca tańce. — Wizyta konno na drugim piętrze. — Dwa żarty korporacji Kurońskiej. — Karceresy uniwersyteckie. — Policmajster Rast — Pedele. — Pojedynki. — Dorożkarze. — Kwistenthal, karczma nad Embachem. — Wycieczka do Heiligensee.—Pogoń pedeli za nami. — Odwiedziny ojców w Dorpacie. — Niektóre rodziny polskie czasowo zamieszkałe w Dorpacie. — Docenci Polacy. — Proboszczowie i parafja katolicka. — Zmarli w Dorpacie koledzy. — Bibljoteka uniwersytecka. — Pomniki. — Pani Schwartz, portrecistka. — Ochotnicza straż ogniowa.— Stowarzyszenie rzemieślnicze (Handwerkerverein). —Teatr.—Resursa obywatelska (Bürgermusee). — Klub szlachecki (Adelmusse).—Wystawy rolnicze. — Waneminne (resursa czuchońska).—Cyrk.—Dzień modlitwy, pokuty i t. z. dzień Lutra.—Święto Majowe (Mainacht).—Szewc Peterson i starowier Emiljan.—Osman Pasza, obrońca Szybki. — Rewizja senatora Manasiejna. — W. Ks. Włodzimierz.—Prof. Podwysocki godności rektora nie przyjmuje. — Prof. Maykow rektorem z naznaczenia. — Budiłowicz jego następcą. — Zupełna rusyfikacja Uniwersytetu. — Jeszcze nieco o wydziale teologicznym i wykładach na fakultecie historyczno-filologicznym dla studjujących ekonomję polityczną i statystykę, przed rusyfikacją. — Zakończenie, zawierające wyliczenie niektórych byłych wychowańców U. D., którzy na różnych polach pracy zajęli w kraju wybitne stanowiska, oraz spis studentów Polaków, zaszczyconych w czasie ich studjów medalami za prace naukowe.

Było to 4-go marca 1860 roku. Na podwórzu jednego z domów przy ulicy Senatorskiej stała ekstrapoczta, zaś w mieszkaniu drugiego piętra siedziała przy obiedzie rodzina, której najmłodszy syn, autor tych kartek, miał za chwilę wraz z drugim młodzianem udać się w podróż do Dorpatu, aby zapisać się na tamtejszy uniwersytet. Nastrój obiadujących był poważny i milczący: jakiś smutek zaciążył nad wszystkiemi. Rozmowa urywała się co chwila. Wprawdzie rodzice moi mogli mniej odczuwać bolesną chwilę rozłąki, gdyż już niejednokrotnie doznawali przykrości wyjazdu synów w daleką drogę i dłuższego z niemi rozstania. Jeden bowiem z moich braci, Józef, ukończył przed laty instytut inżynjerski, dwaj inni, Karol i Adolf, siedzący przy tym niewesołym obiedzie, wydział prawny w Petersburgu, czwarty zaś, Aleksander, był na piątym kursie Akademji Medycznej i zdawał właśnie ostateczny egzamin. Mnie jednak niewymownie ciężko było na sercu. Po raz pierwszy opuszczałem dom rodzicielski, miasto i kraj, w którym się urodziłem, wzrosłem i wychowałem. Łzy niejednokrotnie zasłaniały mi współbiesiadników; żal chciał piersi rozsadzić. Tylko ufność w pomoc i opiekę Boską podtrzymywała mnie i krzepiła. I dzisiaj po latach pięćdziesięciu pięciu, gdy kreślę te wyrazy, łzy nieprzeparcie cisną się do oczu. Wszyscy bez wyjątku, wszyscy, siedzący wówczas przy stole, w tym dla mnie tak pamiętnym dniu, legli już oddawna w grobie. I zacny ojciec, i poczciwa matka, i ukochana przez nas wszystkich ciotka Julja, i drodzy bracia, i przyszły mój kolega, współtowarzysz podróży, w którą za chwilę mieliśmy

się puścić, i krewna jego, późniejsza doktorowa G. — wszyscy już w grobie.

Nieklejącą się rozmowę i obiad, który dla mnie był ciężką pańszczyzną, przerywała od czasu do czasu trąbka pocztyljona, który oddawna czekał na podwórzu i głośnym sygnałem przypominał, że czas w drogę.

Nie było rady! Po czułym, pełnym rozrzewnienia pożegnaniu z najdroższemi rodzicami i wszystkiemi ukochanemi, otrzymawszy rodzicielskie błogosławieństwo, serdeczne, niekłamane życzenia i przestrogi, które tylko z ust najżyczliwszych i serc szczerze miłujących płynąć mogły, trzeba było nareszcie wyruszyć.

Pocztyljon wjechał w bramę. Usadowiliśmy się na bryczce, jak można było najwygodniej, odezwała się trąbka, konie raźno ruszyły. Zaszedł fakt dla nas obu stanowczy i decydujący o kolejach naszej przyszłości, byliśmy w drodze do Dorpatu. Zegar na dawnym ratuszu, który zgorzał później w czasie wypadków roku 1863, wskazywał wpół do czwartej, gdyśmy opuszczali miasto.

W roku, od którego zaczynam opowiadanie, rozpoczęto dopiero budować kolej Warszawsko-Petersburską. O drogach żelaznych, łączących dzisiaj Dorpat z Rygą i Pskowem, a Rygę z Dynaburgiem, nie było jeszcze mowy. Całą więc drogę z Warszawy do Dorpatu musieliśmy odbyć końmi. Podróż, która dzisiaj trwa godzin trzydzieści kilka, odbywało się mniej więcej w tydzień.

Wyruszywszy z Warszawy w niedzielę po południu, stanęliśmy w Dorpacie na drugi poniedziałek również po południu. Przestrzeń zatym, wynoszącą prawie 1000 wiorst, przebyliśmy w dni ośm, robiąc dziennie około 125 wiorst. Względnie powolne posuwanie się nasze na północo-wschód było uwarunkowane złą nader drogą i ogromnemi zaspami śnieżnemi. Wyjechawszy z Warszawy bryczką przy pięknej słonecznej pogodzie i zupełnej odwilży, już w Sieluniu (stacja pocztowa za Pułtuskiem) musieliśmy się przesiąść do sań i z powodu silnego mrozu szczelnie owinąć futrami. Do wzmiankowanej stacji mieliśmy drogę równą i dogodną, ale dalej droga stawała się bardzo wyboistą i nader nużącą dla nas i koni. Jechaliśmy ciągle z góry na dół i z dołu pod górę. Wyboje tak

były częste i bliskie siebie, że sanie znajdowały się naprzemian to w dole, a konie na pagórku z ubitego, zmarzłego śniegu, to naodwrót. Uprząż ciągle się psuła, postronki się rwały: trzeba było przystawać dla związywania ich i łatania. Musieliśmy się mocno trzymać sań, aby nie spaść w śnieg. Taką drogę mieliśmy aż do samego Kowna. Nie znosząc huśtania, doznawałem zawrotów głowy i innych objawów morskiej choroby. Po raz pierwszy w dalekiej drodze, nieprzyzwyczajony do takich niewygód, wymogłem na towarzyszu podróży, żeśmy się zatrzymali na godzin kilka w Łomży. Piszę, że wymogłem zgodę na krótki wypoczynek, gdyż nie mieliśmy w samej rzeczy czasu do stracenia. Za dni kilka bowiem upływał termin ostateczny przyjmowania do uniwersytetu w pierwszym semestrze roku 1860. Gdybyśmy stanęli w Dorpacie po tym terminie, bylibyśmy dopiero po semestrze zapisani w poczet studentów.

W Łomży zajechaliśmy wprost do pastora Haberkanta, dawnego dorpatczyka, którego nam wskazali ś. p. Kokeli, Biedermann i Benni. Wszyscy trzej niedawno ukończyli studja w Dorpacie. Poznaliśmy ich przed naszym wyjazdem w Warszawie. Pastor Haberkant przyjął nas nader gościnnie, jakby dawnych swych kolegów, chociaż jako nie zamatrykulowani, byliśmy tylko „mułami". Ogrzał zziębniętych, nakarmił, napoił i przygotował wygodny nocleg (nie mogliśmy jednak wiele z niego korzystać), Na 5-tą zrana zamówiliśmy konie. Nie budząc gościnnego gospodarza, wczesnym rankiem udaliśmy się w dalszą drogę.

Z Łomży do Kowna jechaliśmy bez przerwy, wystawieni na prawdziwe tortury najfatalniejszej drogi. Z paru listów polecających, w które zaopatrzył mnie na wszelki wypadek troskliwy ojciec, nie było możności i potrzeby korzystania, gdyż nie zatrzymywaliśmy się nigdzie.

Stanąwszy w Kownie, postanowiliśmy opuścić szosę warszawsko-petersburską, która w dalszej swej części była, jak nam mówiono, prawie nie do przebycia, i jechać nie na Dynaburg, lecz na Rygę bocznym traktem, przerzynającym Żmudź. Do urzeczywistnienia tego zamiaru dopomógł nam przypadek. Dla zmiany pieniędzy na drobne zaszliśmy do jakiegoś kantoru bankierskiego. Kasjer, wydający nam drobną monetę, sam sta-

ry dorpatczyk, dowiedziawszy się, że jesteśmy w drodze do Dorpatu, dał nam dokładne wiadomości co do dalszej naszej jazdy i ułatwił wyszukanie dobrego furmana, który za dość sowitym wynagrodzeniem podjął się dostawić nas w wygodnych saniach do Szawel. Żałuję, żem nie zapamiętał nazwiska tego uczynnego starego bursza, członka byłego Ogółu.

Zjechawszy na boczny trakt, odetchnęliśmy formalnie. Sanna wprawdzie i tutaj była bardzo kopna, droga miejscami zasypana, miejscami znów wskutek zawiei zupełnie ze śniegu ogołocona. Byliśmy jednakże wolni od wyżej wzmiankowanej katuszy. Z powodu ciężkiej nader drogi żydek nasz, pomimo doskonałych koni, zdążył przed szabasem dowieźć nas tylko do Szadowa, pierwszej stacji przed Szawlami. Byliśmy jednak i z tego radzi, gdyż w Szadowie można już było dostać ekstrapocztę i ruszyć dalej.

Z tej części naszej podróży pozostało mi w pamięci małe intermezzo. Dojeżdżając do Kiejdan, pomimo szalonego wiatru, wyjącego przeraźliwie, i głośnego skrzypienia sań po zmarzniętym śniegu, zdrzemnąłem się nieco. Zostałem jednak nagle wyrwany z tego półsnu głośnym wołaniem, wymyślaniem, biciem koni i szaloną jazdą. Dopiero po dłuższej chwili zdołałem dowiedzieć się, że nasz woźnica, korzystając z gwałtownej zamieci i zmierzchu, nie uważał za właściwe uiścić rogatkowego, pobieranego przy wjeździe do miasta, i że strażnik, jak się wyraził, narobił niepotrzebnie takiego gwałtu. Odważny Machabejczyk postawił na swoim i wziął przejazd przebojem. W Bejsagole, do której dojechaliśmy późnym wieczorem, trzeba było konie popaść i dać im nieco dłużej wytchnąć. Ulokowaliśmy się w zimnej, brudnej i nader szczupłej izdebce, w starej żydowskiej karczmie, którą wstrząsał w posadach szalejący wicher.

Bodaj dla uprzyjemnienia naszego tutaj pobytu podano nam *quasi* herbatę, mocno pachnącą cebulą, i stare, jak kamień twarde obwarzanki. W sąsiedniej izbie, tylko deskami nieszczelnie od naszej odgrodzonej, odprawiał karczmarz-izraelita głośne monotonne modły, jak gdyby chciał nas niemi do snu ukołysać, na który nie było ani czasu, ani miejsca.

Nim dojechaliśmy do Szadowa, gdzie rozstaliśmy się z naszym rezolutnym woźnicą, rozchmurzyło się zupełnie.

Wiatr ustał, a słońce roziskrzyło śnieg, który grubą warstwą zalegał pola. Z rozjaśnieniem się nieba i ukazaniem gwiazdy dnia i nam zbitym i zgnębionym uciążliwą podróżą zrobiło się jakoś weselej i raźniej.

W Radziwiliszkach, pomimo przedstawienia tak zwanej „podorożnej“, w którą zaopatrzyliśmy się w Warszawie, oświadczył nam poczmistrz w sposób dość szorstki, że koni niema i że będziemy musieli czekać z cztery godziny. Pokazało się jednak, że konie były i że zawiadowca stacji umiał być także grzecznym, a nawet nadskakującym. W kilka minut po nas od Szawel pędem zajechały sanie, z których wysiadł wysokiego wzrostu oficer o ponurym i niemiłym wejrzeniu. Na progu gościnnego pokoju zawołał rozkazującym głosem: „Koni!“ Pan zawiadowca nawpół zgięty odrzekł uniżenie: „Słuszaju, siju minutu“ — i wypadł, jak z procy, do stajni. Po kilku chwilach oficer, nie usiadłszy nawet na stacji, odjechał w stronę, z której myśmy przybyli. Na naszą interpelację, że jednakże konie są, i że jeżeli ich zaraz nie dostaniemy, to zapiszemy skargę w księdze zażaleń, otrzymaliśmy odpowiedź, że konie wprawdzie są, lecz że wszystkie już były w drodze, i że wypoczętych koni nie może nam dać wcześniej, jak za kilka godzin, że jednak zaraz możemy jechać końmi, które tylko co przyszły z Szawel, dokąd zaraz wracają. Mając z dwojga złego do wyboru albo kilka godzin siedzenia w Radziwiliszkach, albo też jazdę zdrożonemi końmi, wybraliśmy to ostatnie, zachęceni odezwaniem się do nas pocztyljona, młodego chłopaka: „Niech panoczki siadają, dobrze powiozę“. Jakkolwiek nie mieliśmy wielkiego przekonania do rosłych wprawdzie, lecz chudych i, jak nam się zdawało, zmęczonych szkap, ruszyliśmy jednak w dalszą drogę. Woźnica, żmudzin, dotrzymał przyrzeczenia. Bez użycia bata, tylko świstem i przemawianiem do koni, przewiózł nas dwadzieścia kilka wiorst do następnej stacji wyciągniętym, doskonałym kłusem. W ciągu całej naszej podróży nie jechaliśmy nigdy tak szybko, jak z Radziwiliszek do Szawel, stanowiących, jakeśmy się dowiedzieli od naszego dzielnego woźnicy, jedną poczhalterję

Zbliżając się do stacji Olay, przejechaliśmy dawną granicę Rzeczypospolitej, oddzielającą dzisiaj Żmudź od Łotwy, to jest gubernję kowieńską od kurlandzkiej. Stanęliśmy

w Olay rankiem przy ślicznej, zimowej pogodzie i czternastostopniowym mrozie. Po całodziennej jeździe otwartemi saniami przywieźliśmy z sobą doskonałe apetyty, podniecone jeszcze czystością i porządkiem, któreśmy tutaj zastali. Wszystkie sprzęty i naczynia świeciły się; pokój dla przejezdnych ogrzany i czysto zamieciony, stół nakryty serwetą, w oknach firanki i doniczki z kwiatami. Schludność, uprzejmość i usłużność, które spotykaliśmy dotąd na wszystkich prawie stacjach aż do samego Dorpatu, mówiły, niestety, bardzo na niekorzyść stacji pocztowych w Królestwie i na Litwie. W Olay po raz pierwszy trzeba się było posługiwać językiem niemieckim, którym wówczas nader słabo władałem. Na szczęście towarzysz mój znał go doskonale, on więc prowadził pertraktacje co do wiktu, któregośmy bardzo łaknęli. Gospodyni, podeszłych lat osoba, dowiedziawszy się, że jesteśmy już prawie dorpackiemi studentami, tym była dla nas uprzejmiejsza; za proponowaną nam kawę stanowczo podziękowaliśmy, zamawiając natomiast jajecznicę z piętnastu jaj. Poczciwa gosposia, usłyszawszy powyższą cyfrę, z przerażeniem zapytała: „Aber werden sie das aufessen?“ Zapewniliśmy ją, że ufamy naszym siłom, i poprosiliśmy o obfitą porcję szynki w dodatku. Muszę nadmienić, że od Kowna nic nie mieliśmy w ustach, prócz wstrętnej herbaty i nędznego pieczywa, niczego bowiem innego dostać nie było można. Przed jedzeniem, które nam wkrótce podano, na propozycję gospodyni, wzięliśmy po sporym kieliszku allaszu. Tutaj pierwszy raz spotkałem się z tym wybornym napitkiem; jest to doskonała wódka, allaszem zwana, od miejscowości, gdzie jest wyrabiana. Fabryka do dziś dnia istnieje, a jej wyroby są i u nas w kraju obecnie znane. Zapiwszy jajecznicę i wyborną surową szynkę, do której podano smaczny chleb razowy, paru filiżankami herbaty i uiściwszy małą stosunkowo kwotę za ten obfity poczęstunek, pokrzepieni na ciele i raźniejsi na duszy, wyruszyliśmy w dalszą drogę, spiesząc do ostatecznego celu.

Nowy nasz woźnica był łotyszem, z którym nie mogliśmy się wcale porozumieć. Po wielu trudach udało nam się wydobyć z niego, przemawiając po polsku, rosyjsku i niemiecku, jak jest po łotewsku: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“. Dowiedzieliśmy się, że pozdrowienie to brzmi: „Tegul bintas

pogarbintas Jezus Christos". Przytaczam je, o ile wyrazy wiernie zostały w mej pamięci, zapewniając zarazem, że wyczerpałem już w zupełności całą moją dawniejszą i obecną znajomość łotewszczyzny.

Przez Mitawę przejechaliśmy tylko, w Rydze zaś musieliśmy się zatrzymać na krótko dla niezbędnego wypoczynku. Po kilkogodzinnym przespaniu się w hotelu, wyszliśmy dla zjedzenia obiadu i obejrzenia chociaż pobieżnie miasta. Dziwiły nas wązkie bardzo i kręte uliczki, wąziutkie trotuary, na których z trudnością można się było rozminąć. Wspaniałych, później powstałych bulwarów, pięknych skwerów, imponujących gmachów, wogóle nowej części miasta wówczas jeszcze nie było. Miasto robiło na nas wrażenie starego wprawdzie, lecz brudnego i niemiłego. Nie mieliśmy jednak ani czasu, ani ochoty wówczas do bliższego poznania Rygi, która dzisiaj należy do najpiękniejszych i najstaranniej utrzymanych miast. Wstąpiwszy do jakiejś, jak się okazało, obskurnej restauracji, gdzie nam dano niemożliwe jedzenie i nielitościwie drogie, wróciliśmy do hotelu. Poczta już na nas czekała. Od Rygi musieliśmy brać na każdej stacji po trzy konie z powodu głębokich śniegów i konieczności pośpiechu. Prędszemu posuwaniu się jednak były na przeszkodzie liczne dziesiątki sań, ciągnących długim szeregiem w stronę Rygi i naładowanych beczkami spirytusu, zbożem i innemi towarami. Trzeba było albo zatrzymywać się, albo zjeżdżać na bok, przyczym konie zapadały się po brzuchy. Nareszcie ósmego dnia podróży w poniedziałek po południu, ujrzeliśmy w odległości kilku wiorst dwie wieże kościelne, a zbliżywszy się bardziej, wspaniałe ruiny dawnego kościoła i klasztoru, niegdyś siedziby zakonu krzyżackiego. Zresztą jednak od strony Rygi Dorpat wywierał pospolite wrażenie niepozornej małej mieściny. Wjechawszy do miasta traktem ryskim, skręciliśmy na lewo w pierwszą wówczas ulicę (Peplerstrasse), która wcale nie mogła naprawić niekorzystnego wrażenia, doznanego z odległości. Z lewej strony tej ulicy prawie na całej jej długości ciągnął się wysoki kamienny mur, z prawej zaś stały w pewnych przerwach małe, niepozorne domki. Dojechawszy tą ulicą do kościoła Panny Marji, skręciliśmy znów na lewo na Teichstrasse i zatrzymaliśmy się przed małym domem, nale-

żącym do wdowy Liewen, gdzie mieszkał student medycyny, Teofil Rontaler, brat mego towarzysza podróży, z którym przez tydzień przeszło dniem i nocą dzieliłem wspólne trudy i niewczasy. Odbywszy podróż z pomocą Bożą bez żadnego wypadku, szczęśliwie stanęliśmy u celu. Byliśmy nareszcie w Dorpacie.

Wysiadłszy z sań, weszliśmy przez wązkie podwórko do małego domku, gdzie rezydował brat mego towarzysza. Przy wejściu do mieszkania, małego studenckiego pokoiku, zostaliśmy powitani okrzykiem: „Fuksi! wasze szczęście, że dzisiaj przyjechaliście, bo jutro byłoby już za późno“. Prócz gospodarza zastaliśmy w mieszkaniu Lohrera, kończącego studja medyka, krewnego braci R., nadto wkrótce nadszedł a raczej nadjechał Tołtyżewski, również medyk, który następnie przeniósł się na chemję. Po przywitaniu i wzajemnym przedstawieniu, zawiązała się rozmowa, której wyłączną treścią stała się nasza matrykulacja, którą mogły władze uniwersyteckie zakwestjonować. Jakkolwiek bowiem przyjechaliśmy jeszcze w ostatnim dniu przyjmowania do uniwersytetu, lecz już władze uniwersyteckie były nieczynne. Wobec ogłoszenia rektora, że z 29-ym lutego st. st. upływa stanowczo ostateczny termin matrykulacji, mogły nazajutrz wrota wszechnicy dorpackiej być już dla nas zamknięte. Należało więc jeszcze koniecznie 29-go zwrócić się do rektora. Starszy R. niezwłoczuie też zawiadomił magnificencję o naszym przybyciu i kilkugodzinnym spóźnieniu. Okazało się, że to zawiadomienie było bardzo w porę, gdyż rektor oświadczył, że bez uprzedzenia go dzisiaj jutro nie byłby nas przyjął. Nazajutrz rano należało przedstawić papiery sekretarzowi conseilu, zaś o 12-ej miałem stanąć przed obliczem magnificencji. Uspokojony co do dostania się do uniwersytetu, mogłem pomyśleć o należnym mi wypoczynku po tygodniowych przeszło niewczasach. U braci R. miejsca na trzeciego nie było; należało więc szukać gdzieindziej noclegu i tymczasowego schronienia. Wspomniałem coś o hotelu, lecz nazwano mnie frantem i warszawiakiem. Miałem się przenieść do jednego z przyszłych kolegów. Dowiedziawszy

się, że w Dorpacie mulusuje t. j. przygotowuje się do egzaminu wstępnego do uniwersytetu Limprecht, z którym byłem w gimnazjum realnym i którego nieco znałem ze wspólnych lekcji religji, postanowiłem tymczasowo ulokować się u niego. L. mieszkał na końcu Steinstrasse, zatym na drugim końcu miasta, tam też przewiózł mnie z memi rzeczami Tołtyżewski, posiadający do współki z dwoma innemi kolegami konia i sanki. Nie mogę tutaj pominąć historji tych sań i konia. W gubernji witebskiej, w powiecie luzyńskim mieszkał zamożny, przed 63-im rokiem obywatel, Ulanowski, którego kilku synów studjowało różnemi czasy w Dorpacie. Aby móc Ulanowskich na wsi dogodnie odwiedzać, kilku bliższych ich kolegów kupiło konia i sanie, uważając, że jazda własnym wehikułem będzie przyjemniejsza, a droga bliższa i tańsza. Nie trzymali się oni w swoich wycieczkach traktu pocztowego, lecz kierując się z Dorpatu ku południowi bocznemi drogami i niemal w prostej linji na Marienburg, przerzynali dawne Inflanty Polskie, docierając do Lucyna. Niestety, kieszenie posiadaczy konia często bywały puste, biedna więc szkapa nieraz przymierała głodem. To też jej właściciele chętnie ustępowali ją kolegom na miejskie i zamiejskie wyjazdy pod warunkiem kupna pewnego quantum owsa i siana. Koniec tej szkapy o wysokich nogach, płaskiej jak deska i, o ile sądzić mogłem, dychawicznej, był dosyć tragiczny. Właściciele jej ze względów materjalnych musieli ją w końcu sprzedać. Ustąpili ją za kilkadziesiąt rubli prof. Strümplowi, który właśnie budował dwa domy i potrzebował konia roboczego. Szkapa, przyzwyczajona do skromnego wprawdzie wiktu, ale i do lekkiej pracy, musiała teraz całemi dniami ciągnąć wóz, naładowany cegłą, gruzem lub belkami. Czy uważając tę zmianę zajęć za despekt, czy też wskutek poprzedniego homeopatycznego odżywiania się i obecnego przeciążenia pracą, po niespełna tygodniu odmówiła posłuszeństwa swemu nowemu panu i ku wielkiemu zgorszeniu profesora, który długo nie mógł zapomnieć tej katastrofy, zdechła. Profesor St. był znakomity w swoim fachu, porywająco wykładał filozofję, na koniach jednakże znał się widocznie dość miernie. Lecz wracam do mego opowiadania. Po przespaniu się u mulika L., najwcześniej, jak można było, stawiłem się w uniwersytecie. Papiery swoje złożyłem sekreta-

rzowi J. Forestiemu, uprzejmemu staruszkowi, który przez lat przeszło 43 bez przerwy pełnił obowiązki sekretarza uniwersytetu. F. był prawdziwym wcieleniem skrupulatności, sumienności i służbistości w najlepszym znaczeniu tego słowa. Pomimo że nie mogłem przedstawić jednego z żądanych dokumentów, sekretarz F. dał mi 6-cio tygodniowy termin na jego dostarczenie, zapisał mnie w poczet studentów i wygotował matrykułę, którą wraz z dwiema innemi dla mego kolegi R. i jakiegoś liflandczyka, położył na stole w sąsiedniej sali (audjencjonalnej rektorskiej). Po dłuższej chwili na znak dany przez ober-pedela, starego Szmidta, weszliśmy we trzech do gabinetu rektora. Rektor stojąc miał do nas krótką przemowę, która była streszczeniem w języku niemieckim tego, co matrykuła opiewała po łacinie. W końcu, podając każdemu swą prawicę, zażądał od nas przyrzeczenia, że się stosować będziemy we wszystkim do przepisów, dawanych nam napomnień i przestróg.

Postać ówczesnego rektora robiła na każdym imponujące wrażenie. Był nim wówczas prof. Bidder, sławny swego czasu fizjolog, który wspólnie z Karolem Schmidtem, profesorem chemji, wydał pierwszą chemję fizjologiczną. Wzrostu słusznego, o ściągłej, wyrazistej, myślącej twarzy, oczach niebieskich, błyszczących i przenikliwych, włosach mocno szpakowatych wzbudzał i nakazywał szacunek. Jako rektor, łączył wówczas w swej osobie i późniejszą władzę prorektorską t. j. władzę dyscyplinarną nad studentami. Być może, że używał jej za pedantycznie i zbyt surowo, bo pomimo respektu, który mieli dla niego wszyscy, jako dla uczonego i profesora, nie cieszył się miłością studjującej młodzieży. W jego stosunku do studentów za wiele było sztywności i urzędowości, a za mało ciepła, którym niejeden z jego następców zyskiwał serca młodzieży.

Wraz z matrykułą otrzymałem z rąk rektora przepisy dla studentów, spis odczytów na pierwsze półrocze 1860 roku i książeczkę do zapisywania przedmiotów, słuchanych w każdym semestrze, t. zw. Belegbuch. Do tego ostatniego niezwłocznie wpisałem 8 czy 9 przedmiotów, na które chodzić zamierzałem Kopję tego spisu, Belegzettel, złożyłem w kasie uniwersyteckiej, czym dopełniłem wszystkich formalności, związanych z matrykulacją.

WAŻNIEJSZE OMYŁKI.

na stronicy:	*Zamiast:*	*Powinno być:*
13	w powiecie luzyjskim	w powiecie lucyńskim
19	Bunch	Bauch
29	po wyrazach: przed kilku laty zamknąć cudzysłów.—	
48	Quingen	Oettingen
68	Kolonii	Kilonii
73	procent	prezent
98	góra Kawuka	góra Końska
99	Reblmana	Rehlmana
100	Kaszkiewicz	Szaszkiewicz
101	Belmi	Benni
103	czuchońskim	łotewskim
105	Juskowie	Żuśkarze
105	Kaubel	Kaukel
124	Testament	N. Testament
126	muka — męka	muka — mąka

133	Doroszkiewicz	Daraszkiewicz
134	Erchenburger	Essenburger
134	Hoger	Hager
134	Hwincza	Huszcza
135	Lipiwski	Lipiński
136	Morke	Maske
136	Mersing	Messing
136	Pantyński	Pautyński
137	Rzywaczewski	Rzyszczewski
138	Szepcatys	Szepiatys
134	Dzieło „Wydział Teologiczny“ napisał nie Prof. Hoerschelmann, jak mylnie podałem, lecz Magister Jan Fray, prywat.-docent. Prof. H. opracował tylko pewien dział tej książki. Wyszła w Rewlu w księgarni Fr. Klugego 1905 r.	

Po załatwieniu matrykulacji przedewszystkim należało postarać się o własną siedzibę. W pierwszym moim semestrze nie szczęściło mi się z mieszkaniem. Odczyty trwały już od pięciu tygodni; aby więc nie tracić więcej czasu, trzeba się było najspieszniej ulokować. Wziąłem więc pierwsze lepsze mieszkanie, które mi wskazano. Okazało się ono jednak nieznośnym: było zimne, wilgotne, ściana, gdzie stało łóżko, graniczyła z ubikacją, szerzącą wstrętną woń. Te niedogodności, jak też i okoliczność, że dotychczasowy lokator, od którego odnająłem mieszkanie, kolega E. Grabowski, opóźniał swój wyjazd z Dorpatu, skłoniły mię do opuszczenia tej niefortunnej kwatery po niespełna dwu tygodniach, Przy pomocy naszego ober-fuksa, którym był wówczas kolega Pastenacy, wynalazłem wcale pokaźne i z wyglądu bardzo przyzwoite mieszkanie, w bliskości Embachu, niedaleko przystani statków parowych. Miałem przedpokój, rodzaj saloniku i sypialnię, mieszkanie zatym, jak dla studenta, nawet wytworne. Miało ono jednak tę stronę ujemną, że łączyło się z dalszemi pokojami gospodyni, której służąca i mnie usługiwała. Wziąłem to mieszkanie z konieczności; byłem rad, że siedzę nareszcie na własnych śmieciach. Zaledwie jednak upłynęło kilka dni od mego przeprowadzenia się i zameldowania mego nowego mieszkania w pedelsztubie (lokal, w którym dniem i nocą dyżurowali pedele uniwersyteccy), aliści zjawia się u mnie pedel, stary Wissor, z wezwaniem do rektora z powodu nielegalnego za mieszkania w domu państwa Lütens, a to ze względu, że w tymże domu mieścił się szynk, przepisy zaś uniwersyteckie wzbraniały studentom mieszkać w domach, gdzie mieściły się restauracje, szynki, piwiarnie i t. p. zakłady. Nowy więc, niespodziewany kłopot! Moje przedstawienie, że o tym rozporządzeniu nie wiedziałem i że za mieszkanie zapłaciłem do końca semestru, odniosło jednak ten skutek, że mi rektor pozwolił zostać w mieszkaniu do końca semestru, Sądziłem, że nareszcie będę miał spokój. Inaczej jednak było mi sądzone. Wracając w kilka tygodni później z wykładu, spostrzegłem ku wielkiemu memu zdziwieniu aż cztery żeńskie postaci, wyglądające z dwóch moich okien, wychodzących na rynek. Gdy jednak wszedłem do mieszkania, niewiast już nie było; słyszałem tylko szelest sukien, śmiechy i szybkie zamykanie drzwi.

Byłem mocno zdziwiony i zaintrygowany nieoczekiwanemi odwiedzinami. Rzecz się jednak wkrótce wyjaśniła. Dowiedziałem się, że sąsiaduję obecnie z aktorkami przyjezdnego letniego teatru, który rozbił swe namioty w sławnym Novum czyli Weissenrossie. Gospodyni moja wynajęła dwa pokoje, bezpośrednio sąsiadujące z moim mieszkaniem, córom Melpomeny. Jakkolwiek takie sąsiedztwo mogło być wesołe, to jednakże nie było właściwe dla cultura S. S. T., rozpoczynającego swe studja. Lecz na tym jeszcze nie koniec moich mie szkaniowych perypetji. W kilka dni później, po jakiejś głośnej sprzeczce, która mię doszła z mieszkania mego gospodarza, zostałem zawiadomiony, że gospodyni pragnie się ze mną rozmówić. Udałem się więc do niej, zdziwiony nieco tym zaproszeniem. Zastałem moją gospodynię, kobietę lat mniej więcej czterdziestu, dobrze zakonserwowaną, o pięknych jeszcze rysach twarzy, odświętnie ubraną i wyfjokowaną, z obliczem smętnym i bolejącym. Na pytanie moje, w jakim mię celu wzywa, oświadczyła mi, że jest nieszczęśliwa ze swym mężem, który, nawiasem powiedziawszy, rzadko bywał w domu, a jeśli przychodził, to zwykle cięty. Że mąż podejrzewa ją o łamanie wierności małżeńskiej, że jej robi wyrzuty i urządza sceny i t. p. Na moje oświadczenie, że gotów jestem zaraz opuścić mieszkanie, sądziłem bowiem, że tego pragnęła moja gospodyni, usłyszałem, że ona tego sobie nie życzy i że chciała się tylko podzielić ze mną swą troską i zmartwieniem. Tego już było zanadto! W dni kilka wyprowadziłem się na Steinstrasse do mieszkania kolegi, który wcześnie wyjechał na ferje. Wyniosłem się z niefortunnego mieszkania, zostawiając w ręku dorpackiej Putyfary nie płaszcz wprawdzie, lecz komorne, zapłacone do końca semestru. Zapytany przez jednego ze starszych kolegów, dlaczego znów zmieniłem mieszkanie, opowiedziałem mu powyższe wydarzenie z gospodynią. Stary ów bursz, litwin, spojrzał na mnie z uśmiechem, wzruszył ramionami i rzekł: „Patrzaj, ot, zielony fuks, ot, teolog, patrzaj!"

Nazajutrz po zapisaniu się na studja poszedłem na kilka odczytów. Pierwszym, na którym byłem wogóle, był odczyt prof. Neuego, zajmującego katedrę filologji klasycznej. Neue czytał między innemi w tym półroczu „De republica" Cycerona. Wszedłem do audytorjum bardzo wcześnie, nie zdziwiłem

się więc, znalazłszy je pustym. Skoro jednak kwadrans akademicki zbliżał się ku końcowi, a do sali nikt ze słuchaczów nie wchodził, zacząłem się niepokoić. Sądziłem, że może wszedłem do niewłaściwego audytorjum, lub że odczytu z jakiejkolwiek przyczyny nie będzie. Już zamierzałem wyjść z sali, gdy się z trzaskiem drzwi otworzyły i na katedrę nie wszedł, lecz z rozpędem wpadł ze stosem książek pod pachą prof. Neue. Rozłożenie części ich, umieszczenie drugiej części pod katedrą, okręcenie lewej ręki długim, złotym łańcuchem i uchwycenie w dłoń zegarka, na który w ciągu odczytu co chwila spoglądał, było dziełem jednej chwili. W ten sposób znalazłem się sam jeden na odczycie energicznego profesora. Wiedząc o zasadzie, że „tres faciunt collegium“, chciałem prosić szanownego prelegenta, aby się dla mnie samego nie trudził. Nieśmiałość jednak i słaba bardzo znajomość języka nie dozwoliła mi wyrazić mej prośby w porę, gdyż profesor Neue, ukłoniwszy się dwukrotnie, jak gdyby miał przed sobą pełne audytorjum, rozpoczął z wielką werwą, w dodatku po łacinie, swój wykład. Odezwanie się profesora językiem starych Rzymian do reszty mnie zdetonowało. Przesiedziałem cały odczyt w niemałym przerażeniu, niewiele z niego rozumiejąc. Pamiętam tylko dotąd, że co kilkadziesiąt słów powtarzało się wyrażenie: „Buttmannus in grammatica pagina“... taka a taka. Z tego Buttmana przytaczał profesor różne uwagi, wyjaśnienia i reguły, już to polemizując, już to zgadzając się z poglądami uczonego Buttmana. Książki, złożone na katedrze i pod nią, w ciągłym były ruchu, gdyż szanowny profesor ciągle z nich coś przytaczał i na nie się powoływał. Wyszedłem z tego pierwszego odczytu zgnębiony i przybity. Już na samym wstępie zdawały się piętrzyć, i to przy przedmiocie dla mnie tylko pomocniczym, trudności, jak sądziłem, nie do przełamania. Wkrótce jednak, gdyż nie przestałem uczęszczać na te odczyty, osłuchałem się z wykładem, który był nader zajmujący. Przyczyną niestawienia się słuchaczy na ową prelekcję był jakiś wyjątkowy fest studencki, bodaj tak zwany „komitat“, gdyż zwykle odczyty Neuego były dość licznie odwiedzane.

Profesora N. możnaby nazwać młodzieńczym starcem, tak był pełen życia, ruchliwy i rzutki. Chodził wprawdzie nieco pochylony, lecz nadzwyczaj szybko, cerę miał różo-

wą i świeżą, białe włosy spadały na kołnierz fraka. Latem nosił zwykle jasną paljową kamizelkę i biały krawat, nie rozstając się nigdy z frakiem i spodniami granatowemi. Miły ten i nadzwyczaj sympatyczny staruszek całkowicie był oddany swej specjalności, którą uprawiał z młodzieńczym zapałem. Oprócz Cycerona słuchałem wykładu o Herodocie, objaśnianym przez profesora N. po łacinie, i z obu tych autorów składałem egzaminy.

Neue ożenił się w dość już późnym wieku, w wyjątkowych okolicznościach. Zagłębiony ciągle w starych księgach i specjalnych studjach, nie miał czasu myśleć o założeniu ogniska domowego. Dla odpoczynku i odświeżenia się przez lat kilkanaście z rzędu schodził po obiedzie na czarną kawę i gazetę do słynnej cukierni Luchsingera, mieszczącej się na parterze domu, w którym mieszkał. Kto mu kawę podawał i gazety przynosił, było mu przez długi szereg lat rzeczą zupełnie obojętną. Razu pewnego jednak zauważył, że osobnikiem, stawiającym przed nim mokkę, była niewiasta. Co w niej dostrzegł, czy Minerwę czy Wenerę, niewiadomo, to tylko fakt, że ta mniemana bogini stała się boginią nie zeschłego w pyle szpargałów serca profesora i wkrótce jego dozgonną towarzyszką. Każdej niedzieli i w każde święto można było widzieć starego N., dążącego z żoną pod rękę szybkim krokiem do kościoła. Neue przed moją matrykulacją był dwukrotnie z wyboru rektorem uniwersytetu; jako taki zostawił po sobie najlepszą pamięć. O jego uprzejmości, wyrozumiałości i takcie przytaczano wiele faktów, z których dwa zostały mi w pamięci. Po ferjach letnich wracało statkiem do Dorpatu grono studentów-Polaków. Wyczekujący na brzegu koledzy, ujrzawszy wracających z wakacji towarzyszy, zaczęli powiewać na powitanie chustkami i wołać: „Vivat Polonia!" Okrzyk ten radosny nie podobał się komuś z obecnych na bulwarze. Doniesiono władzy uniwersyteckiej o robieniu przez Polaków niewłaściwych demonstracji. Neue, jako rektor, zawezwał do siebie kilku studentów narodowości polskiej i zapytał, czy okrzykiem „Vivat Polania!" chcieli powitać swych wracających do Dorpatu kolegów, czy też, wydając ten okrzyk, mieli na myśli manifestację polityczną. Dowiedziawszy się, zgodnie z prawdą, że witali tylko swych kolegów, uznał całą sprawę,

z której wówczas kto inny mógłby zrobić kryminał, za załatwioną.

Wobec skargi zupełnie innego rodzaju zachowanie się rektora było nader oryginalne i silnie sarkastyczne. Pewna puella publica zaskarżyła studenta, że jej winien niewielką kwotę, której pomimo kilkakrotnego domagania się odebrać nie może. Neue, wysłuchawszy cierpliwie skargi, zawołał z właściwą sobie żywością: „Tak, nie zapłacił, nie zapłacił! Wedle taksy należy się $33^{1}/_{2}$ kopiejki. Masz tu je“—przyczym wyjął pieniądze z kieszeni, doręczając je pedelowi — „i idź pani precz!“ Na tym skończył się proces, za którego prawdziwość ręczyć nie mogę.

W parę miesięcy po moim przyjeździe do Dorpatu, kiedy szedłem od placu Barclaya przez wielki rynek w stronę ulicy Rycerskiej, zaczepił mnie jakiś, w późnym wieku, ubogo ubrany, dużego wzrostu mężczyzna słowami: „Hör, du, komm, wir wollen zu Bunch (cukiernia) gehen, einen Schnaps trinken und paar Butterbröde essen“. Zdziwiła mnie taka poufała propozycja zupełnie nieznanego mi osobnika. Sądziłem, że mam przed sobą albo pijanego albo niespełna rozumu człowieka. Nie wdając się więc z nim w rozmowę, poszedłem dalej. O tym drobnym zajściu zapomniałem zupełnie i dopiero po dłuższym czasie opowiedziałem je kolegom. Dowiedziałem się wtedy, że przez moją nieświadomość pozbawiłem się, jako fuks pierwszo-semestrowy, zaszczytu poznania i ugoszczenia poczciwego Lockenberga, powszechnie zwanego „Lokusem“. Była to bowiem osobistość ogólnie w mieście znana, bardzo popularna i lubiana w całym świecie studenckim, używająca wyjątkowego przywileju tykania się z każdym burszem. Do takiego wyjątkowego stanowiska wśród młodzieży studenckiej doszedł L., który na dwadzieścia kilka lat przed rokiem 60-m był prostym lefelem t. j. służącym studentów, zasłynąwszy wyjątkowym poświęceniem i udzieloną pomocą kilku młodzieńcom, w wielkiej znajdującym się opresji. Odbył się mianowicie przed kilkudziesięciu laty pojedynek na bardzo ostrych warunkach, którego rezultatem była śmierć na placu jednego

z przeciwników, drugi zaś z nich, przywieziony do miasta, w godzin kilka również wyzionął ducha, Położenie flikerów t. j, lekarzy, kończących medyków a asystujących pojedynkowi, z powodu obostrzonych warunków tego nieszczęśliwego pojedynku, a szczególniej położenie sekundantów było nader krytyczne. W owych czasach — działo się to za cesarza Mikołaja I — pojedynki były wogóle wzbronione i surowo karane. Sekundantów czekało albo kilkoletnie więzienie forteczne, albo, prawdopodobniej, roty aresztanckie. Pozostawało tylko uciekać zagranicę. Wykonanie jednak ucieczki było nader trudne. Brak na razie środków na to potrzebnych, znaczna odległość Dorpatu od granicy, czujność policji uniwersyteckiej uniemożliwiały niemal ucieczkę. Niespodziewanym wybawcą z tego niebezpiecznego, prawie bez wyjścia położenia stał się Lockenberg. Wystarał się o konia i wózek (pieniędzy dostarczyli koledzy) i manowcami dowiózł uciekających do granicy, którą szczęśliwie przebyli. Tak szybko i zręcznie urządził L. tę ucieczkę, że władza przez długi czas nie wiedziała, w jaki sposób zniknęli obaj sekundanci. Tym czynem uzyskał L. prawo obywatelstwa w świecie studenckim. Gdym go poznał, był to człowiek lat około 80-ciu; miał dwa małe domki w trzeciej części miasta nad samym Embachem w bliskości mostu drewnianego, W jednym z nich, stojącym w podwórzu, urządził kąpiel, składającą się z trzech wanien w jednej izbie; ściany były wapnem pociągnięte, sufit podtrzymywały proste belki, lecz było tam czysto i schludnie, a woda jak kryształ. Jedyną quasi ozdobą były 3 nimfy z gipsu, poczerniałe od starości, które stały za każdą z wanien, w głowach kąpiących się. Kąpiel starego Lokusa odwiedzali studenci i profesorowie. Dowiedziawszy się o jej istnieniu, poszedłem niezwłocznie wykąpać się, aby przy tej sposobności bliżej poznać L. i naprawić swoje niezręczne z nim postąpienie. Gdym już był w wannie, wszedł L., usiadł obok i zaczął rozmowę. Wypytawszy się mnie, jak się nazywam, skąd jestem, jakiego jestem wyznania t. j. czy studjuję medycynę, prawo i t. d., chwalił dobroć swej kąpieli, opowiedział mi, którzy z profesorów kąpią się u niego i w końcu zaproponował spożycie po kąpieli u niego kolacji.

Nadmienił też, że dostać mogę w jego mieszkaniu, w dru-

gim domku, porcję beefsteaku lub kotlet, a jeśli będę miał apetyt, to mogą się znaleźć naleśniki i butelka piwa. Dodał w końcu: „Wenn du kein Geld hast, brauchst nicht zu zahlen; kannst einschreiben und später abgeben". Zgodziłem się na wszystkie wymienione przysmaki, powiedziałem jednak, że zaraz zapłacę, na co mi odrzekł: „Wie du willst". Gdym spożywał dary Boże, pokazywał mi L. dużą księgę, w której było zanotowanych kilkaset takich długów kąpielowych; część ich była wykreślona, znaczna jednak część pozostawała nieumorzona. Stary jednak L. umiał sobie radzić. Latem zwykle siadał na bryczkę jednokonkę, zabierał swą księgę i jeździł rzemiennym dyszlem od majątku do majątku, od miasteczka do miasteczka baltyckich prowincji, gdzie głównie mieszkali jego dłużnicy. Stary wszędzie był mile widziany; ugaszczano go i płacono dług, zwykle około kilku rubli wynoszący. Wielu, zapłaciwszy należność, nie wykreślało jej, aby dać sposobność L. do powtórnych odwiedzin. W parę lat po poznaniu Lokusa, widziałem u syndyka uniwersytetu, Bejzego, życzliwego bardzo dla studentów Polaków, spory zeszyt, zawierający około 100 podpisów studentów, z czasów wzmiankowanego fatalnego pojedynku. Jeden przyrzekał po skończeniu studjów wypłacić L. sto rubli asygnacyjnych; drugi zobowiązywał się nadesłać mniejszą lub większą kwotę zaraz po swym ślubie; trzeci obiecywał uczynić to samo po narodzeniu się pierwszego syna, czwarty po otrzymaniu zajęcia; piąty przy ordynacji i t. d. Wielu spełniło swe przyrzeczenie, wielu jednak zapomniało o nim; opóźniających się syndyk Bejze napominał listownie, prowadząc w swoim czasie dość obszerną w tym względzie korespondencję. Podobno jeden z synów Lockenberga głównie przy pomocy tych zapisów, gdyż stary L. był do końca życia niezamożny, ukończył uniwersytet jako teolog.

W drugim bodaj roku mego pobytu w Dorpacie Lokus umarł. Pogrzeb odbył się kosztem korporacji. Ciało wyprowadzono z kościoła uniwersyteckiego. Drogę, wiodącą na cmentarz, miejscowym zwyczajem, usypano jodełkami. Wszyscy studenci, biorący udział w pogrzebie, szli z pochodniami. Nad grobem zaśpiewano hymn pożegnalny, śpiewany tylko nad grobem studenta lub filistra t. j. takiego zmarłego, który kiedyś studjował. Z tej pięknej, o poważnej melodji pieśni przytaczam ostatnią zwrotkę:

„Ist unser Brüder einer nun geschieden,
Vom blassen Tod gefordert ab,
So weinen wir und wünschen Ruh und Frieden
In unseres Bruders stilles Grab,
Wir weinen und wünschen Ruhe hinab } bis.
In unseres Bruders stilles Grab“.

Drugą typową osobistością, pochowaną również przez studentów, była t. zw. ciotka Fallowa. Tante Fall utrzymywała skromną małą restaurację o pół mniej więcej wiorsty za miastem, na prawo od drogi, prowadzącej do majątku Rathshof. Kilkaset kroków od drogi w głąb pola stał duży młyn, a na lewo od niego niewielki domek, w którym, prócz małego bufetu, były dwa pokoiki dla gości, prawie wyłącznie studentów. Jedzenie w Dorpacie w czasie, o którym piszę, było tanie wprawdzie, lecz nieznośne; dla nas z Królestwa, Litwy i Rusi było wprost niemożliwe. Obiad można było mieć z prywatnej garkuchni za trzy ruble na miesiąc. Znośniejszy nieco obiad kosztował 5 rb. przy ulicy Fortuna u Tannenbergowej, u której stołowała się znaczna część Polonji. W restauracjach Blumgartena i Mossa, wówczas najlepszych, płaciło się 6 rb. Zarówno podanie, jak przyrządzenie, było nieraz wprost wstrętne. Na czystość mało zwracano uwagi. Restaurator Moss, zainterpelowany przez kogoś przy dobrym apetycie, że porcja mała i nieczysto podana, sam przyznał, że: „Die Portion ist mutzig-wohl, aber nicht klein“. Jedna Tante Fall stanowiła wyjątek. Za 9 rubli, cenę na owe czasy bardzo wysoką, dostawało się dobrą zupę, dwa mięsa, z których jedno było zwykle ze zwierzyny, i jakąś leguminę, prawie zawsze z dwoma gatunkami soków i konfitur, przyczym wszystko było czysto i smacznie przyrządzone. Nie dobrocią jednak kuchni zaskarbiła sobie Fallowa względy studentów, lecz nieograniczoną do niej ufnością. Reszty prawie nigdy nie wydawała sama, lecz pudełko z pieniędzmi dawała do rąk płacącemu, który bez żadnej kontroli sam regulował rachunek. Na tym nieograniczonym zaufaniu kilkakrotnie źle wychodziła, gdyż przez zbytnią łatwowierność parę razy bankrutowała. Niestety, i między młodzieżą uniwersytecką znajdowali się niesumienni i nieuczciwi, którzy korzystali z nieoględności Fallowej, kobiety

schorowanej i będącej już w późnym wieku. Korporacje jednak zwykle wyciągały poczciwą tantę z kłopotów pieniężnych. Fallowa nie znosiła studentów dużo pijących, krzykliwych i awanturniczych; szczególniej lubiła, gdy się do niej przyszło w godzinach poobiednich na kawę. Twarz jej poważna i cierpiąca rozjaśniała się wówczas W kilkanaście minut było gotowe świeżutkie ciasto z kminkiem i koperkiem, specjalność Fallowej, i ukazywała się duża taca, zastawiona wielkiemi filiżankami doskonałej kawy. Latem chodziliśmy do Fallowej spacerem, zimą zaś robiliśmy w kilka sań najazd na jej zakład.

Na parę lat przed śmiercią zamknęła swą jadłodajnię i zamieszkała u krewnych w Dorpacie.

Ciotka F. była pod względem patologicznym rzadkim, ciekawym okazem. Od lat kilkudziesięciu nosiła w swym łonie skamieniały foetus. Fakultet medyczny uzyskał od niej pozwolenie egzenterowania jej po śmierci, za co pobierała od uniwersytetu maleńką pensję. Dożyła lat przeszło ośmdziesięciu.

W pierwszych czasach mego pobytu w Dorpacie doznawałem wielkiej tęsknoty za domem rodzicielskim i krajem. Każdy list, otrzymywany od rodziców i braci, skrapiałem łzami, nadto wykłady w języku niemieckim, którego dobrze nie rozumiałem, robiły mi dużo trudności. W czerwcu, w trzy miesiące po moim przyjeździe, odwiedził mnie na bardzo krótko brat mój, Aleksander, który, skończywszy w Petersburgu Akademję Medyczną, wracał właśnie do kraju. Przyjechał wieczorem statkiem ze Pskowa, nazajutrz zaś rano już wyjechał. Chętnie byłbym wyrwał się z Dorpatu i pojechał z nim do Warszawy, lecz niedawny mój przyjazd, daleka podróż i inne okoliczności nakazały mi pozostać. Do psychicznego przygnębienia, które odczuwałem, przyczyniały się zupełne pustki w Dorpacie i wyjazd kolegów na wakacje. Rozpoczęcie się jednak wkrótce nowego semestru, zajęć na uniwersytecie, odczytów, powrót kolegów, zebrania towarzyskie i koleżeńskie, słowem, życie uniwersyteckie, które znów zawrzało w całej

pełni, i mnie ogarnęło. Dobrym było zwyczajem, a raczej moralnym obowiązkiem, że każdy nowoprzyjęty do uniwersytetu t. zw. fuks powinien był poznać się ze wszystkiemi kolegami i każdego odwiedzić. Mowa tu naturalnie o studentach Polakąch. Zwyczaj ten w niemieckich korporacjach był ostrzej przestrzegany, ale i przez nas zadośćuczynienie mu było wymagane. Złożenie jednak około 85-ciu wizyt nie było rzeczą tak łatwą, choćby rozłożyć je nawet na kilka tygodni, a było jednak konieczne. Grono kolegów, do którego nowoprzybyły pragnął należeć, słusznie od niego wymagać mogło, aby się dał poznać. Fuks też winien był w owe czasy nietylko złożyć wizytę wszystkim, lecz częściej ich odwiedzać dla bliższego zaznajomienia się i obcowania. Wychodzono ze słusznego założenia, stwierdzonego doświadczeniem, że nietylko ślęczenie nad „heftami", spisanemi na wykładach profesorów, i wertowanie „buchów" kształci i rozwija, lecz że w znacznej mierze dopomaga do tego obcowanie z kolegami różnych wydziałów. Wzajemne stosunki studentów różnych fakultetów, ścieranie się różnych zdań, spory i dysputy chroniły od jednostronności, rozszerzały horyzont młodzieńca. wyrabiały go i ogólnie kształciły.

Przyjechawszy w roku 1860 do Dorpatu, zastałem dwa kółka wśród kolegów, zwane Ogółem i Szczegółem, ściśle od siebie odseparowane. Po za temi stowarzyszeniami było zaledwie kilku studentów Polaków. Do tych separatystów należała t. zw. Fryczarnia, t. j. kilku studentów, którzy mieszkali w domu Fryczego, przy ulicy Ryskiej, naprzeciwko ogrodu resursowego, oraz paru bliskich im kolegów. Fryczarnia nie stanowiła jakiejś partji odrębnej w Polonji, lecz, według opowiadań kolegi W. Załęskiego, Lohrera i innych, należeli do niej ludzie zresztą bardzo przyzwoici, lecz stroniący od plebsu studenckiego, w swym własnym przekonaniu ulepieni z innej gliny. Fryczarnia była w roku 60-ym już na wymarciu. W kwietniu po moim przyjeździe podałem się na członka Ogółu. Stało się to nieco później, niż zamierzałem, a to wskutek nieznajomości stosunków koleżeńskich, a raczej wskutek wskazówek jednego z kolegów, którego niedobrej rady usłuchałem, Zaznajomiwszy się ze wszystkiemi, pragnąłem już przed kilku tygodniami poddać się głosowaniu, któremu podlegał każdy,

wstępujący do towarzystwa. Kolega P. jednak namawiał mnie, abym dopiero po semestrze, t. j. w drugim półroczu studjów, zapisał się do stowarzyszenia dla uniknięcia, jak twierdził, nader szorstkiego traktowania przez starszych kolegów, jako pierwszosemestrowego fuksa. Stosunek starszych burszów do t. zw. fuksa przedstawiał mi w nader czarnych kolorach. Twierdził, że starsi posługują się pierwszosemestrowym studentem, jak jakim popychadłem, że go używają do najniższych posług i lekceważą. Te opowieści zraziły mnie i opóźniły trochę urzeczywistnienie mego zamiaru. Przekonawszy się jednak, że są one wysoce przesadne lub zgoła nieprawdziwe, że mniemana szorstkość miała najlepsze cele, bo dążyła do ociosania młodzieńca, zwykle przybyłego wprost z ławy szkolnej, że t. zw. fuksowanie w niczym, przynajmniej w Polonji, nie uwłaczało godności własnej, a tylko korzyść przynieść mogło, że w stosunkach starszych do młodszych panowała życzliwość, szczere zainteresowanie się i gotowość do pomocy radą i czynem, objawiłem życzenie wstąpienia do Ogółu. Po kilku dniach zawiadomiono mnie, że mam się w oznaczonym czasie stawić w mieszkaniu „Gospodarza". Tak zwano wówczas w Ogóle prezydującego stowarzyszenia. Gospodarzem Ogółu był Fr. Ungern-Sternberg, rodem z witebskiej guberni, student medycyny, kończący wówczas studja. Znać było na nim staranne wychowanie; był nadzwyczaj gładki i wytworny w obejściu. Dobre wychowanie łączyło się w nim z wyjątkowemi zdolnościami. Prócz medycyny zajmował się specjalnie botaniką, z której też zaczerpnął temat do rozprawy doktorskiej. Dysertacja jego, stanowiąca pokaźny tom, została przełożona na języki francuski i angielski. Nadto U.-St. znał doskonale historję powszechną i grał artystycznie na skrzypcach. Wrodzone zdolności, położenie towarzyskie, świetne ukończenie uniwersytetu zdawały mu rokować świetną przyszłość. Po jego jednak wyjeździe z Dorpatu nie było przez długi czas o nim żadnej wiadomości. Dopiero po kilku latach doszła nas wieść, że U.-St. jest w północnych Włoszech, w Como, lekarzem i nauczycielem botaniki. Jakoby i w tym wypadku, jak w niezliczonych i dziwnych a nieoczekiwanych karjerach ludzi, sprawdziły się słowa Juvenala: „nulla causa est in qua non femina litem moverit". U.-St. w czasie wojny

francusko-niemieckiej (1870 r.) służył w armji Garibaldiego i walczył pod Dijon. Wróciwszy następnie do kraju, umarł na Białej Rusi około roku 1912, we własnym majątku.

Otóż ten ówczesny gospodarz Ogółu po odbytym już głosowaniu miał mnie przyjąć do stowarzyszenia. Idąc w oznaczonej godzinie na Steinstrasse do domu Webera, gdzie mieszkał U.-St. z bratem swym Władysławem, studentem agronomji, doznawałem niemal równego niepokoju, jak przed matrykulacją. U gospodarza zastałem kasjera, bibljotekarza i jeszcze dwóch starszych kolegów. W ich obecności miał gospodarz do mnie przemowę, jak do każdego nowowstępującego, w której wyraził cel koła koleżeńskiego i przyszłe moje względem niego obowiązki. Treściwie a poważnie mówił, że zadaniem Ogółu jest łączenie młodzieży z różnych stron kraju, pomaganie sobie wzajemne intelektualne, etyczne i materjalne, ku czemu służy bibljoteka i kasa stowarzyszenia. Obowiązkiem każdego członka jest poznanie własnej ziemi; prócz studjów specjalnych obowiązkiem zatym jest poznanie historji i literatury własnego narodu. Przez wzajemne obcowanie kolegów z różnych dzielnic winniśmy tym lepiej poznać własną ziemię, na której obywateli mamy się kształcić. I rzeczywiście ówczesny Ogół spełniał to zadanie, jak gdyby były jego dewizą słowa Supińskiego: „Pierwszym artykułem wiary naszej jest powołanie wszystkich do pracy obywatelskiej, bezwzględna kompetentność każdego stanu, stronnictwa i wyznania. Chlubą narodu jest pozyskiwanie nowych obywateli.“ Ówczesny Ogół w istocie łączył młodzież różnego położenia towarzyskiego, różnego pochodzenia i wyznania. Łączył ją w jednej myśli i w jednym uczuciu ukochania tego, co dobre, szlachetne i swojskie, pielęgnował stare, a zawsze nowe, niespożyte hasło — miłości kraju.

Wysłuchawszy zwróconej do mnie przemowy gospodarza i uścisnąwszy dłoń jego oraz asystujących mu starszych kolegów, zostałem „fuksem“ Ogółu. Jak się wkrótce okazało, ostatnim fuksem, gdyż oba koła, Ogół i Szczegół, wkrótce potym rozwiązały się dobrowolnie po wzajemnym porozumieniu. Wypadki, rozgrywywające się w kraju, zbliżenie się obywateli ziemskich do włościan, chrześcijan do Żydów, łączenie się ludzi różnych warstw, powołań i religijnych przekonań nie

mogło pozostać bez wpływu i na młodzież, studjującą po za krajem, a tym samym musiało się odbić i na naszej garstce w Dorpacie. Trwanie tej garstki w rozdziale, którego powstanie miało zresztą czysto lokalną osobistą przyczynę, było przy budzącym się ruchu w kraju nadal niemożliwe. Oba koła po trzechletniej egzystencji Szczegółu połączyły się roku 1861-go w jeden Konwent Polski. Do roku 1830-go liczba studjujących na uniwersytecie dorpackim Polaków była niewielka. Mieliśmy do tego czasu w zaborze rosyjskim dwa uniwersytety: w Warszawie i Wilnie. Nie potrzebowaliśmy więc po za krajem szukać nauki i światła. Kto mógł i pragnął dalej się kształcić, ten po skończeniu jednej z wszechnic krajowych wyjeżdżał za granicę. Stosunki jednak dla młodzieży, pragnącej wyższego wykształcenia, zupełnie się zmieniły po zamknięciu obu naszych uniwersytetów. Setki młodzieży zmuszone były dla przyswojenia sobie fachowych wiadomości z zakresu medycyny, prawa, matematyki i t. p. jechać do Dorpatu, Petersburga, Moskwy lub Kijowa. Już w pierwszych latach po roku 30-ym młodzież nasza z Królestwa, Litwy i Rusi coraz liczniej zaczęła napływać do uniwersytetu dorpackiego, przywożąc tam z sobą świeże wspomnienia i tradycje wileńskie (Filomaci i Filareci). Gdyby nie było nic innego, to już niejedna z pieśni studenckich, przez nas śpiewanych, które dziesiątki lat przetrwały, przechodząc z pokolenia w pokolenie, świadczyłaby o tej duchowej łączności młodzieży dorpackiej z dawnym uniwersytetem wileńskim. Organizacja obu stowarzyszeń, Ogółu i Szczegółu, była z natury rzeczy bardzo prosta. Prócz przewodniczącego, zwanego gospodarzem, bibljotekarza i kasjera, było jeszcze dwóch t. zw. sędziów. Tych pięciu — wszyscy z wyboru — stanowiło radę, zwaną „sądem", przez który przechodziły wszystkie sprawy, przedstawiane konwentowi t. j. ogólnemu zgromadzeniu stowarzyszonych kolegów. W Szczególe prócz przewodniczącego, zwanego „marszałkiem", był tylko kasjer i bibljotekarz; komitetu czyli sądu nie było. Ten ostatni nieraz i później, po połączeniu się Polonji w jedną całość, był przyczyną sporów i waśni wśród młodzieży. Niektórzy uważali sąd za coś despotycznego, ograniczającego swobodę zdania; było to jednak mniemanie mylne, gdyż sąd przygotowywał tylko, rozpatrywał i wyjaśniał kwe-

stje, które miały być dyskutowane na ogólnym zebraniu koleżeńskim, i zapobiegał tym samym zbyt prędkiemu i nieraz bez dostatecznego wyjaśnienia powzięciu postanowienia. Przy małej liczbie członków mógł być taki komitet zbytecznym, jeśli jednak stowarzyszenie było liczne, mógł duże oddać usługi. Do spraw, któremi zajmował się konwent, należało przyznawanie stypendjum lub jednorazowych zapomóg i pożyczek, sprowadzenie książek (była w tym celu wybierana specjalna rada bibljoteczna), czuwanie nad etyką życia studenckiego, stosunek do korporacji niemieckich, do profesorów uniwersytetu i t. p.

Pierwszym konwentem, w którym brałem udział jako członek Ogółu, był ogólny konwent koleżeński, nie zaś zebranie Ogółowiczów. Konwent ogólny składał się z członków obu stowarzyszeń i studentów, stojących po za stowarzyszeniami. Konwent ten odbył się bodaj w maju 1860-go roku. Zanim go dokładniej opiszę, muszę się cofnąć nieco w przeszłość „Polonji“ w Dorpacie. W roku 1828 niewielka garstka Polaków, studjujących w Dorpacie, zawiązała korporację na wzór istniejących czterech niemieckich, która w roku 1832, aby nie narazić korporacji niemieckich na możliwe kłopoty wobec wypadków politycznych, dobrowolnie się rozwiązała i powstała ponownie w roku 1834. Nie mogąc jednak wywalczyć sobie równych zupełnie praw z korporacjami niemieckiemi (nabycia przedstawicielstwa i głosu w Chargirten-Convent, instytucji, łączącej wszystkie korporacje) rozwiązała się ostatecznie w roku 1843. Od tego czasu do roku 1848 zorganizowania się Polonji w jedno koło, młodzież nasza to się łączyła w jedną całość, to się na grupy rozpadała. Posłuchajmy, co o tych latach pisze jeden z najstarszych, do niedawna jeszcze żyjących kolegów, który przed trzema laty umarł w Wilnie. Pisze w liście swoim do korporacji Polonja, w roku 1898: „Rozpocząłem studja w Dorpacie w roku 1844, ukończyłem zaś je w 1849. Podczas mego pobytu na uniwersytecie Polonja kilkakrotnie łączyła się w jeden ogół i rozpadała się znów na stronnictwa z odrębną organizacją. Była to epoka wielkich wstrząśnień politycznych, która musiała się odbić i na młodzieży naszej.“ W dalszym ciągu listu pisze ten zacny stary nasz filister, Bilewicz: „Różnice opinji, przekonań i kierunków mogą i muszą

istnieć pomiędzy młodzieżą, ale ponad niemi górować powinny i wszystkich jednoczyć we wspólnym braterstwie uczucia narodowe, wiara głęboka, że jako naród mamy do spełnienia misję, leżącą we współzawodnictwie z drugiemi narodami w nauce, sztuce, a szczególniej w etycznym wyrobieniu charakteru."

Drugi dawny dorpatczyk, przed paru laty zmarły, dr. Głogowski, obywatel ziemski z Hrubieszowskiego, pisze: „W pierwszym semestrze roku 1849 byłem immatrykulowany. Zastałem już tylko tradycję o korporacji polskiej, słusznie zniesionej jeszcze przez Tytusa Chałubińskiego i innych (t. j. na ich wniosek) przed kilku laty). Ogół, który ostatecznie utworzył się w roku 1848, łączył całą młodzież polską w Dorpacie i reprezentował ją wobec uniwersytetu i niemieckiej studenterji. W roku 1857 jednak część młodzieży, prawie wyłącznie z Litwy, niezadowolona z rezultatu wyborów na gospodarza, bibljotekarza i t. p., odłączyła się od „Ogółu" i założyła t. zw. „Szczegół". Ogół jednak pomimo swego co do liczby członków uszczuplenia, złożony z młodzieży ze wszystkich stron kraju, i nadal nie przestawał reprezentować na zewnątrz Polaków, studjujących w Dorpacie, i jako taki wybrał w pierwszym semestrze 1860 roku przedstawiciela i zastępców Polonji do Resursy Akademickiej. Ogół i obecnie był uważany przez korporacje niemieckie i przez uniwersytet, jako wyraz i przedstawicielstwo „der Gesamtheit der in Dorpat studierenden Polen." Szczegół jednak, nie uznając tego wyboru i nie porozumiawszy się z Ogółem, wybrał także ze swego łona trzech reprezentantów i przedstawił ich również zarządowi Resursy, jako przedstawicieli ogółu Polonji. Zrobiła się niemiła awantura, w bolesny sposób wykazująca wobec Niemców brak zgody i jedności między młodzieżą polską. To przykre zajście dało powód do ogólnego zebrania wszystkich kolegów, członków obu towarzystw i stojących po za towarzystwami, których, jak już wyżej wspomniałem, było niewielu. To właśnie zebranie było pierwszym, w którym uczestniczyłem, jako najmłodszy członek Ogółu. Nastrój, w jakim rozpoczęło się posiedzenie (wybrano na przewodniczącego Lohrera, członka Ogółu), był bardzo poważny, nawet groźny. Wskutek rozdrażnienia i zobopólnych pretensji można było spodziewać się

bardzo burzliwych obrad i niemiłych zajść. Obawy jednak były zbyteczne. Pomimo gorących dyskusji i wynikłych z nich dwóch spraw pojedynkowych, wszystko, nie wyłączając tych wyzwań, skończyło się ostatecznie pokojowo i zgodnie. Reprezentanci, wybrani przez Ogół, sami złożyli swoje mandaty. Przedstawiciele, wydelegowani przez Szczegół, nie zostali przez zebranie ogólne zatwierdzeni. Na ich miejsce wybrano zupełnie innych i wysłano do zarządu Resursy, jako przedstawicieli: „der in Dorpat studierenden Polen". Na tymże samym zebraniu zapadło ważne zasadnicze postanowienie, że w kwestjach, tyczących się stosunków studentów-Polaków do uniwersytetu, korporacji niemieckich, Resursy Akademickiej i wogóle w stosunkach na zewnątrz nie reprezentuje Polonji ani Ogół, ani Szczegół, tylko delegaci, wybrani przez ogólny konwent studjującej w Dorpacie młodzieży polskiej. Postanowienie to było zupełnie słuszne, gdyż jakkolwiek, biorąc historycznie, Ogół miał prawo za sobą, to jednak po znacznym uszczupleniu liczebnym przez powstanie Szczegółu, nie mógł być rzeczywistym reprezentantem całości młodzieży. Zresztą, jak już nadmieniłem, rozdział ten nie był długotrwały. Dnia 27 (15) marca 1861 roku rozwiązał się Ogół i Szczegół, tworząc odtąd jeden ogólny Konwent, jako dalszy ciąg zawiązanego w roku 1848 Ogółu i korporacji polskiej z roku 1828.

W czasie mego przyjazdu do Dorpatu studenci Polacy żyli wyłącznie między sobą. W towarzystwach niemieckich nie bywaliśmy wcale, nawet ze studentami Niemcami nie mieliśmy wówczas prawie żadnych stosunków, wyjąwszy może jednych Kuronów. Całe życie nasze, prócz zajęć uniwersyteckich i fachowych studjów, ogniskowało się w stosunkach koleżeńskich, które skutkiem tego były bardzo bliskie i zażyłe, jak na żadnym może innym uniwersytecie. Ta zażyłość nietylko zbliżała jednostki z sobą, lecz łączyła cały ogół kolegów w jedną bratnią rzeszę, w której panowały szczerość, otwartość i wzajemna życzliwość. Wieczory, szczególnie w pierwszych dwóch semestrach pobytu na uniwersytecie, fuks rzadko spędzał w domu. W ciągu tygodnia było w pierwszym moim półroczu dwa do trzech *jours fixes* u starszych kolegów, na które schodziliśmy się po kilkunastu a nieraz po kilkudziesięciu. Zebrania tak liczne nie narażały gospodarza na wielkie wy-

datki, gdyż wymagania ówczesne były bardzo skromne. Przyjęcia ograniczały się do kilku szklanek herbaty, smacznego chleba żytniego t. zw. fejnbrodu lub francbrodu w rodzaju naszej bułki, doskonałego chleba razowego i masła. Na jesieni zjawiał się czasami kosz wyśmienitych jabłek. Jednym z takich punktów zbornych był dom Christianiowej przy ulicy Rewelskiej, w owe czasy już za miastem, gdzie mieszkało kilku kończących medyków i teologów. Tam zbieraliśmy się nieraz bardzo licznie, spędzając nader mile czas i nie bez pożytku. Sprawy uniwersyteckie, wykłady profesorów, różne ciekawe wypadki (falle) kliniczne, nasze towarzyskie studenckie sprawy, wieści z kraju, czytanie gazetek, przez niektórych kolegów redagowanych i t. p., dostarczały nam niewyczerpanych przedmiotów do rozmów i dyskusji, przeciągając nasze posiedzenia nieraz do późnej bardzo pory. Dwie wychodziły wówczas redagowane przez nas gazety, obie prawie co tydzień: „Improwizator“ i „Wolne żarty“. Pierwsza z nich pozowała na organ poważny; druga, jak sam tytuł mówi, była humorystyczna. Do „Improwizatora“, jako fuks pierwszosemestrowy, przesłałem artykulik, którego tytułu już sobie nie przypominam, a którego treścią było: aby być zadowolonym z siebie i wewnętrznie szczęśliwym, trzeba kochać ludzi, żyć dla nich i poświęcać się. Artykulik ten był przeróbką i rozszerzeniem wypracowania, które napisałem po wyjściu z gimnazjum realnego, biorąc lekcje języka i literatury polskiej u prof. Sobolewskiego, a za które przez szanownego mego preceptora zostałem pochwalony. Mniej pobłażliwym jednak był areopag moich kolegów, wobec których na jednym z zebrań ta anonimowa rozprawka została przeczytana. Skrytykowano ją z kretesem, nazwano „zieloną“, elaboratem napewno zielonego fuksa i t. p.; tak niefortunny debiut literacki na zawsze powstrzymał moje zapędy autorskie.

„Wolne Żarty“ wychodziły z ilustracjami. Przypominam sobie jedną z nich: rysunek przedstawiał cmentarz i odbywający się pogrzeb, orszak żałobny i pastora, stojącego nad trumną. Z boku sportretowanych było dwóch lichwiarzy z wylękłemi twarzami. Pod rysunkiem był podpis: Seelig, Seelig! Dla wyjaśnienia dodać należy, że był wśród nas wówczas student medycyny Seelig, który jakoby miał znaczne długi; na

cmentarzu przypadkiem obecni byli dwaj jego wierzyciele; ci, słysząc wyraz „Seelig", niemałego doznali przerażenia, sądząc, że ich dłużnik rozstał się z tym światem.

Naturalnie, że gazetki te powstawały i znów z horyzontu znikały: były zjawiskiem krótkotrwałym. Nieraz może nawet oddziaływały one niedobrze na stosunki koleżeńskie, gdyż nie obeszło się bez dotknięcia niektórych osobistości, skąd powstawały kwasy i zatargi. Z gazetek, znacznie dawniej wychodzących, widziałem w naszej bibljotece zachowanych kilka numerów „Miesiączki", gazety raz na miesiąc wydawanej.

Prócz kilku stałych wieczorów w tygodniu, miewaliśmy od czasu do czasu luźne kółka literackie, które szybko powstawały i również prędko znikały. Każdy chętny mógł do nich należeć; jedno z takich kółek przezwało się „kątem literackim" od bardzo skromnego mieszkania na Fortunastrasse, gdzieśmy się zwykle zbierali. Na tych t. zw. „literackich zebraniach" czytywaliśmy już to naszych wielkich poetów, już to dzieła historyczne, tyczące się przeszłości kraju. Niektórzy koledzy odczytywali swoje własne rozprawki. Z licznych tego rodzaju odczytów, w różnych czasach miewanych, przytaczam tytuły niektórych: O sugiestji, telepatji, magnetyzmie, o komórce, o teorji Darwina, o teologji Homerowej. Liczne odczyty historyczne i literackie pomijam.

Na początku każdego semestru, po odbytej matrykulacji i po zgłoszeniu się nowoprzybyłych do naszego koła, odbywała się t. zw. „knajpa fuksowska". Było to zainaugurowanie nowego semestru i pierwszy występ fuksów w życiu koleżeńskim. Nie zbywało na tych zebraniach na epizodach krotochwilnych. Stawiano w ciągu skromnej biesiady fuksów rzędem, jeśli ich było kilku, i żądano wychylenia duszkiem butelki „Schramma", doskonałego piwa miejscowej fabryki, dla oblania matrykuły. Ceremonja ta, do której zresztą nikogo nie zmuszano, wywoływała zgorszenie niektórych srogich Katonów, aczkolwiek to, że fuks mógł mieć nazajutrz mały „katzenjammer", nie było ani nieszczęściem, ani zgorszeniem. W ciągu semestru bywały, chociaż niezawsze, t. zw. „sobótki" t. j. wieczorne sobotnie zebrania koleżeńskie. Odbywały się za czasów najdawniejszych w mieszkaniu jednego z kolegów, następnie zaś w mieszkaniu konwentowym. Przy szklance piwa

i skromnej, zimnej przekąsce, spędzaliśmy ostatni dzień tygodnia na wspólnej pogawędce.

Kolegów, którzy ukończyli studja i opuszczali Dorpat, żegnano uroczyście t. zw. „knajpą pożegnalną". Przed ich wyjazdem zbierali się koledzy na konwent dla przegłosowania, czy wyjeżdżającemu należy ofiarować pamiątkowy pierścionek i pożegnać go biesiadą. Jeśli głosowanie wypadło twierdząco, wybierano rzecznika, który po wypowiedzeniu pożegnalnego przemówienia wręczał wyjeżdżającemu w imieniu konwentu pierścień pamiątkowy, poczym wszyscy stojąc śpiewali pieśń pożegnalną. Ostatnia jej strofka brzmi·

„Jedź więc, kolego luby! Oby Cię szczęsny los
Strzegł od nieszczęścia zguby, omijał każdy cios,
Jedź więc i każdej chwili, pomnij, żeśmy przebyli } bis
Z sobą tak długi czas, że brat Ci każdy z nas."

Pieśń ta zawsze robiła rozrzewniające, głębokie wrażenie na żegnanym i na żegnających.

Od czasu do czasu, zwykle w tygodniach ferji wielkanocnych, urządzano w Polonji teatr amatorski, albo w sali konwentowej, albo też wynajmowano na ten cel salę gimnastyczną. Między innemi grano „Pana Stefana z Pokucia", „Geldhaba", „Zemstę za mur graniczny", „Consilium Facultatis" i wiele innych. Nieboszczyk Staszkowski, jako Milczek, i Weyssenhoff, jako Raptusiewicz, późniejszy autor „Pana Podfilipskiego", grali znakomicie. Role żeńskie były również w rękach kolegów. Nie zbywało nam także na własnych utworach scenicznych, ba, nawet mieliśmy własną operę! Twórcami muzycznemi byli ś. p. E. Wejdel i W. Zachorski, Libretto zaś ułożyli ś. p. Wojciech Baranowski i J. Hoene. Powiedzieć można, że na operę „Na kwaterze" złożyły się niemal wszystkie wydziały, gdyż Wejdel, bardzo zdolny muzyk, był teologiem, Zachorski matematykiem, Baranowski prawnikiem, a Hoene medykiem. Rzecz dzieje się w czasach Księstwa Warszawskiego. Oddział ułanów z dwoma oficerami na czele staje w wiosce, której dziedzic jest ojcem bardzo nadobnej córki. Naturalnie młodszy z oficerów, porucznik, zakochał się w pięknej pannie, odwzajemniającej miłość — miło-

ścią, a rzecz, jak inaczej być nie mogło, kończy się ślubem. Muzyka, może niezupełnie oryginalna, tak nam przypadła do gustu, że musiano sztukę tę powtórzyć trzy razy. Na jedno z przedstawień zaproszono dwóch profesorów uniwersytetu: Vogla i Pautkera. Pierwszy z nich, sławny lekarz chorób dziecięcych, znający się doskonale na muzyce i urządzający wraz ze swą małżonką amatorskie koncerty, wyraził się bardzo przychylnie o tym muzycznym utworze dwóch młodych dyletantów. Jedna z piosnek tej sztuki, odznaczająca się ładną melodją, śpiewana przez długi czas w Dorpacie, tak brzmiała:

„Wino to jest napój boski,
On rozprasza ludzkie troski,
On pociechę w życiu daje,
Niech więc nikt pić nie przestaje,
Pijmy więc, pijmy ten boski trunek: } bis
Wróci wesołość, zniknie frasunek." }

Z dorpackich utworów scenicznych wspominam jeszcze „Bałagan Konwentowy", osnuty na tle życia studenckiego w Dorpacie. Sztuka ta odznaczała się dowcipem i wykazywała niezwykłe zdolności literackie, które się następnie ujawniły w utworach J. Weyssenhoffa, będących prawdziwemi perłami naszej literatury powieściowej. Jeśli do wzmiankowanych wyżej wzajemnych odwiedzań się, licznych zebrań u kolegów, kółek literackich, sobótek, teatrów amatorskich, wieczorów środowych w Resursie Akademickiej dodamy jeszcze częste nieraz posiedzenia konwentowe, to stanie się zrozumiałym, że mogliśmy starczyć sami sobie i nie potrzebowaliśmy bliższych stosunków z niemieckiemi korporantami, ani też nie szukaliśmy t. zw. „filisterji", to jest domów i rodzin, w którychbyśmy bywać pragnęli. Jednak nie chcę pominąć jednego rodzaju filisterji. Były to tak zwane „fresfilisterja", t. j. domy, do których się chodziło na „wyżerkę", z czego jednak niewielu z nas korzystało, a z jakiej przyczyny, zaraz się dowiemy. Dorpat słusznie zwano miastem szkół, gdyż prócz uniwersytetu, wyższej szkoły — później instytutu weterynarji, gimnazjum męskiego i szkoły realnej posiadał jeszcze liczne szkoły prywatne, tak męskie, jak i żeńskie, pomijając liczne niższe

zakłady naukowe. Prócz wyższej szkoły miejskiej dla panien, było szczególnie wiele zakładów żeńskich. Możność kształcenia córek była w Dorpacie wielka, to też każdy, nawet mniej niż średnio zamożny rzemieślnik, mały sklepikarz posyłał swe córki do szkoły. W każdej takiej rodzinie znajdować się musiał fortepian, tym więcej, że w Dorpacie publiczność, należąca do sfer inteligentnych, rzeczywiście odznaczała się zamiłowaniem do muzyki. Jakkolwiek kształcenie córek ze sfer rzemieślniczych tylko pochwalić można, to miało ono i swoją ujemną stronę. Panna taka, skończywszy wyższą lub średnią szkołę, uważała już sobie za despekt wyjść za mąż za kogoś ze swojej sfery; marzeniem jej było wydać się za doktora, prawnika lub pastora. Skutkiem tych aspiracji córek chętnie bardzo przyjmowano i zapraszano studentów do rodzin z tych warstw; szczególnie, jeśli student mieszkał w domu rodziców, niechybnie go zapraszano do bywania w rodzinie. Odwiedziny studenta w takim domu uważano za zaszczyt; rodzice z respektu nie siadali nieraz z gościem do stołu, troszcząc się tylko o to, aby go dobrze nakarmić i napoić. Kto chciał korzystać ze sposobności, mógł od czasu do czasu najeść się wyśmienicie. Lecz niejeden student, zacząwszy od „fresfilisterji", kończył na ślubie. Wielu Niemców żeniło się w tych sferach, ale wśród naszych rodaków przez lat kilkadziesiąt nie było podobnego wypadku. Opowiadano jednak, że niegdyś student X., rodem z Litwy, zaręczył się z dorpatczanką, po kilkoletnim przemieszkiwaniu w domu jej rodziców. Skończywszy wydział medyczny, wyjechał, aby osiąść na praktyce, urządzić się i, wróciwszy do Dorpatu, wziąć ślub i zabrać z sobą żonę. Z początku narzeczeni pilnie korespondowali z sobą; po kilku jednak miesiącach nadeszła hiobowa wieść o ciężkiej chorobie a następnie śmierci narzeczonego. Opłakawszy ukochanego, musiała biedna panna z losem się pogodzić. Po kilku latach wyszła za innego lekarza, Niemca, z którym wyjechała w głąb Rosji, gdzie mąż otrzymał miejsce. Trzeba było wypadku, że w tej podróży młoda żona spotkała swego dawnego narzeczonego w najlepszym zdrowiu. Nie chwaląc arcybrzydkiego postępku kolegi X., przyznać jednak trzeba, że sytuacja musiała być tragikomiczna. Dla dopełnienia powyższego szkicu życia studentów-Polaków przed 50-iu z górą

laty dodaję, że obchodzono rok rocznie dzień 29 listopada i 3-go maja. Obie te rocznice święcono przedewszystkim odpowiedniemi odczytami, deklamacją, śpiewem i muzyką. Święto Wielkiejnocy obchodzono według starego stylu święconym, gdyż większość kolegów była z Litwy. Po święconym w pierwsze święto wyjeżdżano do Molatzu, pięknej, lesistej, o dziesięć wiorst od Dorpatu odległej miejscowości. Nieraz urządzano bliższe i dalsze spacery i wyprawy, piesze i konne, wózkami, saniami lub łódkami, stosownie do pory roku.

Przyjechawszy do Dorpatu w 1860-ym roku, zastałem wśród kolegów pewną, że się tak wyrażę, „gwarę", którą możnaby nazwać polsko-dorpacką, używaną przez młodzież naszą. Język, którym posługiwano się, był przepełniony wyrażeniami, wziętemi z niemieckiego i na modłę polską przerobionemi, lub też wyrażeniami wprawdzie czysto polskiemi, lecz niedopuszczalnemi w obcowaniu. Wielu wyrażeń zupełnie z początku nie można było zrozumieć. Przyzwyczaiwszy się zaś do tego skażonego języka, za powrotem do kraju wywoływało się nieraz temi dziwolągami słuszne zdziwienie, a nawet zgorszenie. To zaniedbanie językowe nie było skutkiem zobojętnienia dla mowy ojczystej, lecz wyrazem swego rodzaju burszonerji i nonszalancji. Koledzy E. Wejdel i W. Zachorski ułożyli słowniczek, zawierający coś około 100 tych dziwolągów. Żałuję, że mi zaginął ten ciekawy dokument. Jakoby znakomity filolog-slawista (B. de C.) zamierzał swojego czasu zbadać te językowe naleciałości, aby stwierdzić, czy wytworzyły się na pewnych prawach językowych, czy też powstały przypadkowo. Dla przykładu przytaczam kilka z tych dziwolągów: lefel, lefelina—służący, służąca, Löffel,—łyżka, więc w znaczeniu żywicielki; laga—położenie, w znaczeniu nieszczęśliwe (to ci laga!); lagowaty tyle co pechowaty, nieszczęśliwy; zlagowany—zmartwiony; kweczyć tyle co dusić; kweczyć buchy—dusić książki; kweczyć do egzaminu—pracować do egzaminu; furjon — dorożkarz; pudlarnia albo pedelsztuba—lokal, gdzie dyżurowali pedlowie, i wiele innych, nie wyłączając wyrażeń polskich, lecz nieparlamentarnych i nie dających się powtórzyć. Z czasem jednak, co przemawia na korzyść młodzieży, pozbyła się ona tej pstrokacizny językowej.

Wspominając życie studenckie w Dorpacie, nie można

pominąć t. zw. „lefelin" t. j. niewiast, usługujących studentom. Były to zwykle starsze wiekiem kobiety, które przez lat kilkadziesiąt z pokolenia w pokolenie studenckie pełniły swe obowiązki. W Polonji było kilka takich, jak np. Fiszka, Fledermaus, Krethe i moja Illack. Przeważnie odznaczały się życzliwością i pieczołowitością względem swych panów, których każda miała po kilku, dostając miesięcznie w dawnych czasach po 2 ruble najwyżej. Za to przychodziła po dwa razy dziennie, rano i wieczór, dla nastawienia samowaru lub maszynki do kawy, zaopatrując często swego Jungherra z mleczarni i od piekarza, nieraz na „puf" (kredyt), w pieczywo, masło lub inne zapasy. Nie lubiały one, jeśli ich Jungherr wykolejał się i nie pracował. Upominały go wówczas w prosty, właściwy sobie sposób.

Fiszka, niegdyś poddanka, rodem z gub. pskowskiej, usługiwała kolegom przez lat dziesiątki, a że służyła uczciwie i wiernie, więc nabyła prawa do pewnej poufałości. Nastawiwszy herbatę, nieraz nalewała i sobie szklankę, siadywała na uboczu, oczekując, czy jej pan nie zacznie z nią rozmowy, którą nader lubiła i uważała sobie za zaszczyt. Mówiła językiem niemal na pół polskim, który też dobrze rozumiała. Skierowywane do niej w rozmowie i bardzo dosadne wyrażenia rosyjskie cieszyły ją, byle mogła tylko rozmawiać ze swym „barinem". Nie znosiła tylko pewnych wyrażeń; jeśli jej ktoś powiedział, że jest metaforą lub hyperbolą, a przedewszystkim, że jest arystokratką, wpadała w gniew i wychodziła z mieszkania. Wyobrażała sobie, że powyższe wyrazy są skondensowaniem najgorszych wymysłów rosyjskich. Umarła w późnym wieku; konwent polski, wydelegowawszy dwóch kolegów, pochował ją skromnie swoim kosztem. Odprowadziliśmy na cmentarz zwłoki, niesione przez bliższych znajomych zmarłej (krewnych nie miała), i zmówiliśmy nad jej grobem polski „Ojcze nasz".

Moją długoletnią służącą była Anna Illack, uczciwa kobieta, której można było zupełnie zaufać. Miała nas kilku do obsługi, ale w późniejszych latach schorowana i obarczona wiekiem mnie tylko służyła. Umarła w 84 roku życia, w kilka miesięcy po moim wyjeździe. Illack, przenosząc razu pewnego rzeczy moje na nowe mieszkanie, miała przykre zdarzenie:

poślizgnęła się i padając wypuściła z rąk duży globus, który się rozbił w drobne kawałki. Pokazując mi kupę skorup gipsowych, opowiadała ze łzami, jak upadła, i że: „die Erdkugel ist weggeflogen“. Uwydatniała tę katastrofę, jak kula ziemska wyfrunęła i w drobne kawałki się rozprysła, tak żywą gestykulacją i płaczem, że nie było można gniewać się na staruszkę, trzeba było mieć tylko litość i współczucie dla biednego naszego planety, na co w zupełności zasługuje (szczególnie w bieżącym 1915 r.).

Przed reformami rosyjskiemi studenci mieli duży kredyt w mieście, zwany „pufem“. Uniwersytet ręczył za każdego studenta do 120 rb.; mieściło się w tym mieszkanie, obiady, piekarz, krawiec, szewc, usługa i t. p. Kredyt studencki miał tę dobrą stronę, że dawał możność i niezamożnym przy dużej oszczędności odbyć studja. Skądinąd jednak ta gwarancja uniwersytetu ułatwiała studentom zbyt duży kredyt, gdyż wielu z nich zaciągało w różnych sklepach (korzennych, bławatnych, restauracjach), długi, dochodzące do setek i tysięcy. Jeśli student nie płacił, skarżył go wierzyciel do syndyka, ten wyznaczał termin kilkomiesięczny; jeśli i w tym terminie dłużnik nie płacił, to zostawał wykreślony z uniwersytetu aż do zapłacenia. Kredytorowie więc mieli do pewnego stopnia gwarancję i kredytu nie skąpili, gdyż na ogół zarabiali na nim dobrze. Sui generis kredyt czyli „puf“ istniał na stacjach pocztowych, na traktach z Dorpatu do Rygi, Rewla i Petersburga. Studenci, jadący na ferje w stronę tych miast, dostawali na stacjach na kredyt konie, jedzenie i picie, powracając zaś — uiszczali się z długu. Niezawsze jednak wracali tą samą drogą i nieraz nie dotrzymywali terminu. To też na jesieni syndyk był zasypywany skargami poczhalterji, co go niecierpliwiło i wprowadzało w bardzo zły humor. Był on członkiem sądu uniwersyteckiego i w kwestjach długów miał pierwszy głos.

Wyjazdy na ferje i powrót z nich odbywały się zwykle w kilku lub kilkunastu i należały do najprzyjemniejszych i najweselszych epizodów z życia studenckiego. Przypominam sobie jeden mój powrót z wakacji, choć nie należał do wesołych. Wracałem przez Psków, gdzie zmuszony byłem przesiedzieć dzień cały i noc, czekając na odejście statku. Pobyt

w Pskowie nie należał do przyjemności: siedziałem przeważnie w hotelu. Wyszedłem wreszcie na miasto, które już nieco znałem z dawniejszych moich przejażdów. Idąc główną ulicą, ujrzałem w niszy jednego z domów starca, wymawiającego, jak mi się zdawało, wyrazy polskie. Wróciłem się więc i po parokrotnym przejściu obok tego człowieka, ubranego w szynel żołnierski, przekonałem się, że trzyma w ręku różaniec i wymawia polskie słowa modlitwy. Zaprosiłem go do hotelu, a dowiedziawszy się, że jest dawnym żołnierzem armji polskiej, zagnanym po roku 1830 na Syberję, gdzie jako żołnierz w szeregach rosyjskich przebył długie lata, ugościłem go herbatą, słuchając z przejęciem jego smutnych opowieści. Na pożegnanie doręczyłem mu niewielki datek, na jaki stać było ówczesną kieszeń studencką. Starzec przyjął go z pewnym wahaniem. Będąc już we drzwiach, odwrócił się i z obawą zapytał: „Ale czyś ty katolik?" W tym wypadku zapewniłem go, że nim jestem, i nie sądzę, żeby mi to poczytane było za zaparcie się mego protestantyzmu.

Nie mogę powstrzymać się od uwagi, że tak silnie rozwinięte w Dorpacie życie koleżeńskie, o którym wyżej mówiłem, ze swemi licznemi obowiązkami i rozrywkami, jakkolwiek mogło dodatnio wpływać i rozwijać przybyłego na studja młodzieńca, to jednakże niejednego słabszej woli studenta mogło zbyt absorbować i odrywać od poważnych studjów i zajęć fachowych, które przecież były przedewszystkim zadaniem każdego przybywającego na uniwersytet.

Rozumie się samo przez się, że wypadki z lat powstaniowych (1861 — 1864) musiały się silnie odbić i na młodzieży polskiej, studjującej w uniwersytetach Cesarstwa. Wiatr, który zawiał w kraju, i nas w Dorpacie dotknął swym tchnieniem. Pod jego powiewem zlały się, jak już wiemy, oba koła studenckie, „Ogół" i „Szczegół", w jedną zgodną całość.

W roku 1861 przyjechał do Dorpatu wówczas student uniwersytetu petersburskiego, Adolf Pawiński, póżniejszy profesor i znany, zasłużony historyk. Jako delegowany innych uniwersytetów cesarstwa, spotkał mnie na Steinstrasse, pyta-

jąc się o kolegę Lohrera, którego mieszkanie mu wskazałem. Wieczorem tegoż dnia zebraliśmy się na konwent, na którym delegat przedstawił nam projekt wszystkich uniwersytetów w państwie wysłania z każdej wszechnicy po dwóch delegatów do Towarzystwa Rolniczego. Projekt ten polegał na prośbie młodzieży, aby Towarzystwo Rolnicze zrobiło podanie do władzy o założenie uniwersytetu w Warszawie, i zaproponował nam, abyśmy się przyłączyli do tej prośby, której forma była jednakowa dla wszystkich uniwersytetów. Po zrobieniu tego wniosku, nastała chwilowa cisza, następnie zaś zawrzało, jak w ulu, i zawiązała się nader żywa dyskusja. Uczyniono między innemi uwagę, czy petycja taka, podana przez Towarzystwo Rolnicze, nie przekracza jego atrybucji i czy ewentualnie nie zachwieje jego egzystencją, co byłoby z wielką szkodą dla kraju. Po parogodzinnych naradach opatrzyliśmy podanie naszemi podpisami, które zarazem służyły, jako uwierzytelnienie naszych delegatów, a zostali niemi: medyk Tejch z Królestwa i matematyk Borejsza z Litwy. Nie można twierdzić, żeby nam się ta delegacja udała; mandat jej polegał tylko na wręczeniu prośby i naszych podpisów. Delegaci jednak nasi, po sprawdzeniu przez Bobrownickiego, sekretarza Towarzystwa Rolniczego, że są naszemi wysłannikami, przyjęci przez Andrzeja hr. Zamoyskiego, prezesa towarzystwa, nie ograniczyli się na spełnieniu otrzymanego poruczenia, lecz uważali za właściwe dać hrabiemu pewne wskazówki co do postępowania w przygotowujących się w kraju wypadkach, powiadając, że należałoby się przedewszystkim wziąć energicznie do zacofanej szlachty. Zamoyski, usłyszawszy tak niespodziewaną propozycję, wstał, skłonił się, zostawiając w sali audjencjonalnej nieproszonych o radę młodocianych polityków.

W kilka tygodni po wyjeździe do Warszawy naszych delegatów dowiedzieliśmy się, że Borejsza został aresztowany w gubernji kowieńskiej, skąd pochodził i dokąd się udał z Warszawy. Na tę wiadomość wysłaliśmy niezwłocznie trzech delegatów do kuratora Bradtkego, prosząc o zrobienie stosownych kroków i o uwolnienie Borejszy z więzienia. Delegaci nasi, któremi byli: W. Komorowski, Mikulicz i Michniewicz, objaśnili kuratora co do celu naszej delegacji do Towarzystwa Rolniczego. Bradtke odrzekł, że prosić wolno i że Borejsza

nie za delegację, o której już wiedział, lecz za listy, pisane z Warszawy do gub. kowieńskiej, został aresztowany. W listach tych między innemi B. dużo mówi o swej ważnej misji. Gubernator Chomiński przesłał jeden z tych listów Bradtkemu, który oświadczył, że gotów jest każdej chwili przyjąć Borejszę do uniwersytetu, jeśli ten załatwi swą sprawę z gubernatorem. Odpowiedź ta dla części kolegów nie była wystarczająca: chciano koniecznie, aby kurator ujął się za Borejszą. Paru głosami większości przeprowadzono nową delegację (Sulżyński, Kurnatowski i Staniewicz), która w dość natarczywy sposób wyraziła kuratorowi żądanie konwentu. Bradtke powtórzył swą pierwszą odpowiedź i szorstko oświadczył, że żadnych pertraktacji dalej prowadzić nie będzie. Konwent pomimo uczynionej mu propozycji nie chciał zajmować się tą sprawą, dopóki nie będzie wiadomości, jak się kwestja skończyła u gubernatora. Jednak kolega Orzeszko, prawdziwy dyplomata i rzeczywiście studjujący dyplomację, rozesłał po kolegach kurendę z zapytaniem, kogo obchodzi sprawa Borejszy, zapraszając każdego, kto się nią interesuje, na zebranie koleżeńskie. Naturalnie, że sprawa obchodziła wszystkich, to też znaczna część kolegów, nie przewidując dyplomatycznego kruczka, obchodzącego ogólny konwent, zebrała się na naradę. Na tym zebraniu, lecz nie na konwencie, znowu, bodaj jednym tylko głosem, przeprowadzono trzecią deputację, już nie do kuratora, lecz do ministra w Petersburgu. Wybrano Zajączkowskiego, bardzo słusznego wzrostu mężczyznę, i M. Kurnatowskiego, sięgającego mu ledwie po pas Ta jednak niedobrana deputacja, rozmyśliwszy się, nie mając zlecenia od ogółu kolegów (od konwentu), nie wyruszyła wcale Na tym skończyła się sprawa Borejszy, który już do Dorpatu więcej nie wrócił.

W Dorpacie między studentami, podobnie jak w kraju, były dwie partje: czerwona i biała, czyli partja ruchu i umiarkowana. Pierwsi twierdzili, że dość sięgnąć, aby wziąć, czego wszyscy pragnęli; mówili, że Rosja nie jest w możności na całej przestrzeni swego zaboru wystawić stu tysięcy wojska, które zarzucimy czapkami. Zamoyskiego nazwano zdrajcą za to, że nie dostarczył broni i nie wywołał ruchu w dzień pogrzebu pierwszych poległych w Warszawie. Drudzy byli zdania, że należy skorzystać z reform, przeprowadzonych przez

Wielopolskiego, który całe wychowanie młodzieży, administrację i sądownictwo oczyszczał właśnie z obcych naleciałości i zwracał w ręce kraju. Sądzili, że trzeba te reformy wyzyskać, w niczym zresztą nie krępując się na dalszą metę.

Projekt urządzenia szkół średnich i Szkoły Głównej (uniwersytetu), wypracowany przez Wielopolskiego, rozesłany został do opinji wszystkich uniwersytetów w państwie. Projektowaną ustawę przesłano i do Dorpatu dla zasiągnięcia zdania conseilu.

Kto pamięta znakomity plan szkół średnich, szczególnie gimnazjów, które umiejętnie łączyły kierunek klasyczny z realnym, i organizację Szkoły Głównej, ten dziwić się nie będzie, że profesorowie dorpaccy, dla których projekt został przełożony na język niemiecki, wydali o nim najpochlebniejsze zdanie. Kilku z nich wyraziło wobec nas swój podziw dla znakomitego, jak mówili, planu szkół. Szkoła Główna według projektu miała mieć cztery wydziały z pominięciem wydziału teologicznego. Uniwersytet warszawski przed 1830 rokiem wprawdzie także nie miał tego fakultetu, wówczas jednak młodzież, kształcąca się na duchownych ewangelickich, przed studjami specjalnemi była zobowiązana do dwuletniego uczęszczania na wydział filologiczny w Warszawie. Po wysłuchaniu przedmiotów historycznych, filozoficznych i kilku klasyków greckich i łacińskich wyjeżdżała dopiero na jeden z uniwersytetów zagranicznych dla specjalnych studjów teologicznych. Po roku 1830 ukazem cesarza Mikołaja I-go wyjazd zagranicę na powyższe studja został wzbroniony. Pierwszym teologiem z Królestwa, który studjował w Dorpacie, był Karol Jonczer, w latach 1832—1836, późniejszy pastor w Lublinie, ur. 1809 w Płocku. Zmarł 1887 roku jako emeryt w Łodzi.

Projektowane założenie Szkoły Głównej w Warszawie skłoniło ówczesnych słuchaczów wydziału teologicznego rodem z Królestwa do próśb, przesłanych do ówczesnej Komisji Rządowej Wyznań i Oświecenia Publicznego, jak też i do obu konsystorzy ewangelicko-augsburskiego i reformowanego w Warszawie. Podanie do Komisji Rządowej brzmiało, jak następuje:

„Reorganizacja wychowania publicznego, opartego na nowych podstawach, a w szczególności założenie szkół wyż-

szych, najmiłościwiej udzielone przez Najjaśniejszego Cesarza i Króla Krajowi naszemu, daje możność młodzieży, obierającej jakikolwiek zawód, nabycia odpowiedniego wykształcenia w kraju i ojczystym języku. Pragnąc korzystać wraz z całą młodzieżą z wypływających stąd zbawiennych skutków, pragnąc równie jak ona w kraju i ojczystym kształcić się języku, niżej podpisani, studjujący teologję na uniwersytecie dorpackim, mamy honor upraszać Wysoką Komisję Rządową Wyznań i Oświecenia Publicznego, aby raczyła w rozwinięciu reorganizacji wychowania publicznego utworzeniem przy Szkole Głównej wydziału teologicznego ewangelickiego dać możność kształcenia się w kraju i tej młodzieży, która ma zamiar sposobić się na duchownych ewangelickich.

„Szczupła liczba kształcących się obecnie na pastorów obu wyznań protestanckich nie zdołała nas powstrzymać od zaniesienia do W. K. niniejszej prośby, gdyż z otworzeniem wydziału teologicznego przy Szkole Głównej, przy obecnym braku duchownych ewangelickich, liczba kształcących się zostałaby podwojoną lub potrojoną, na istniejący bowiem w kraju wydział teologiczny uczęszczaliby nietylko stypendyści, jak to teraz ma przeważnie miejsce, lecz i ci, którzy mimo chęci dla braku środków i dostatecznej znajomości języka niemieckiego w Dorpacie teologji studjować nie mogą. Liczbę słuchaczy wydziału mogliby również zwiększyć nietylko w Królestwie Polskim pragnący być pastorami, lecz i tam poza granicami onego, gdzie znajomość polskiego języka jest potrzebna i niezbędna dla duchownego ewangelickiego. Łatwość utworzenia wydziału tym bardziej zachęciła nas do obecnego podania, gdyż takowy wymagałby tylko kilku profesorów, czystą teologję wykładających, przedmioty bowiem pomocnicze czytane już będą na wydziale historyczno-filozoficznym.

„Składając prośbę naszą, ośmielamy się mieć nadzieję, że W. K. uwględni wyjątkowe, przykre bardzo położenie sposobiących się na duchownych ewangelickich i że poda im środki kształcenia się w kraju i ojczystym języku, środki, na których obecnie nie zbywa nikomu, sposobiącemu się do każdego innego zawodu".

Jednocześnie zwrócili się w Dorpacie studjujący teolodzy do obu konsystorzy w Warszawie z jednobrzmiącą prośbą

o poparcie podania z dnia 12 (24) września 1864 r., przesłanego K. R. W. i Ośw. P. Prośba, przesłana do konsystorzy, tak się kończyła: „Ze względu przeto na błogie skutki, płynące z kształcenia się w kraju i rodzinnym języku, na moralne korzyści, któreby stąd niewątpliwie wynikły dla kościoła ewangelickiego w kraju naszym, mamy honor upraszać Wysoki Konsystorz o poparcie powyższej naszej prośby".

Ale wracam do nastroju i uspobienia naszej młodzieży. Wobec wypadków w kraju, które w szybszym coraz następowały po sobie tempie, utworzyło się w Dorpacie w roku 1862 poza konwentem koło młodzieży przez kooptację. X. i Z. zawezwali do swego grona kolegę N. Tych trzech czwartego i tak dalej. W ten sposób powstało obok konwentu grono, złożone z trzydziestu kilku studentów (jednocześnie członków konwentu), które miało za zadanie znoszenie się z krajem i branie czynnego udziału w wytwarzającym się w nim ruchu. W kole tym stawiono wniosek, aby już w roku 1862 wszyscy się rozjechali z Dorpatu dla przygotowania i przyspieszenia ruchu. Jedni mieli działać po wsiach wśród obywateli ziemskich i włościan, inni w miastach wśród warstw mieszczańskich i robotniczych. Wniosek ten jednak nie został w całości przyjęty, przynajmniej nie miał siły obowiązującej: każdy miał postępować według możności i swego przekonania.

W czasie, o którym mowa, usposobienie młodzieży przejawiało się i w ubiorze; wielu z nas chodziło w czamarkach, świtach, galicjankach, niektórzy nosili konfederatki. Koncewicz z Witebszczyzny, tęgi mężczyzna, nosił jasną, samodziałową czamarkę z czarnym szamerowaniem i czerwoną z czarnym barankiem konfederatkę. Ubiór ten wskutek pokaźnej postaci i dużej circumferencji kolegi K. tym bardziej rzucał się w oczy. Trzeba było zdarzenia, że idącego do kliniki K. spotkał kurator Bradtke, którego K. pozdrowił ukłonem. Bradtke przystanął, obejrzał z ciekawością Koncewicza, zapytał o nazwisko i o to, czy się tak wszyscy u nas w kraju ubierają. W parę dni potym kilku z nas zawezwał do siebie prorektor, który zażądał, abyśmy zwracających na nas uwagę ubiorów nie nosili, dodając, że dla zadosyćuczynienia, jak się wyraził, „świerzbiączce politycznej" radzi nam wybrać inny teren. Widocznie ta admonicja pochodziła od Bradtkego, dymisjono-

wanego generała, który jako młodzieniec w roku 1830 był przy wzięciu Warszawy. Zakaz noszenia świt z szamerowaniem był jeszcze kilkakrotnie wznawiany. W owym czasie nosił jeden z nas zupełnie skromną z czarnego sukna galicjankę, z pod której wystawał amarantowy brzeg kontusika; w tym ubraniu poszedł do uniwersytetu do rektora na prośbę starszego kolegi, medyka, który był chory i w jakimś klinicznym interesie nie mógł sam się stawić. Bidder, który jako rektor był przykry w stosunkach ze studentami, groźnym zmierzył go wzrokiem i oświadczył, że przed audjencją u niego powinien się ogolić. Wyraźnie żenował się powiedzieć, że mu się nie podoba ubiór studenta. Wziął więc za pretekst przerwania rozmowy kilka małych włosów, pokrywających górną wargę i brodę młodzieńca.

Nie odbyło się też wówczas w Dorpacie bez kilku demonstracji. Kilkunastu kolegów urządziło szumną szlichtadę po mieście. W dużych saniach, zaprzężonych czwórką koni w krakowskich chomątach, usadowiło się kilkunastu z Polonji w czamarkach i konfederatkach. Wyciągniętym kłusem przesunęli się kilkakrotnie po głównych ulicach miasta, śpiewając i wydając okrzyki. Ta szlichtada po mieście nie podobała się Bradtkemu, gdyż zawezwawszy kilku z Polonji do siebie, oświadczył, że jeśli chcemy urządzać demonstracje, to możemy je robić u siebie w kraju a nie w Dorpacie, przyczym dodał, że ma do rozporządzenia kilkadziesiąt kibitek i że może nas kazać odstawić na miejsce urodzenia.

W Dorpacie chciano także urządzić nabożeństwo za poległych i zaprowadzić w kościele katolickim pieśni, śpiewane wówczas w kraju po kościołach różnych wyznań. Kto pamięta owe lata, ten nie zapomni wrażenia, jakie wywierały wspaniałe hymny: „Boże coś Polskę“, „Z dymem pożarów“, „Boże Ojcze, Twoje dzieci“, śpiewane przez tysiące pobożnych, zapełniających świątynie. Ówczesny ksiądz proboszcz parafji w Dorpacie, późniejszy biskup sufragan Kossowski, nie chciał jednak odprawić nabożeństwa, czyniąc je zależnym od zezwolenia władzy duchownej. Odpowiedź ta bardzo oburzyła kilku gorętszych i była powodem przesłania księdzu impertynenckiego listu. Ogół jednak kolegów, dowiedziawszy się o obeldze, wyrządzonej proboszczowi, wysłał do niego depu-

tację z oświadczeniem, że konwent polski nie solidaryzuje się z autorami powyższego listu. Raz jeden jednak i w Dorpacie w kościele katolickim zaśpiewano pieśni patrjotyczne. Bezpośrednio po nabożeństwie odsunięto organistę od organów, przy których usiadł kolega Fr. Ungern Sternberg, otoczony kilkunastu studentami. Ci zaśpiewali kilka znanych tak powszechnie wówczas pieśni. Przy tej sposobności nadmieniam, że pierwsze śpiewy w Wilnie, w kościele katedralnym, urządziło w roku 1861 kilku dorpatczyków. Zastanowiwszy się głębiej, musimy stwierdzić, że robienie demonstracji w Dorpacie nie miało rzeczywiście celu. Demonstracje w kraju miały wpływać i rzeczywiście wpływały na lud i masy; miały je rozbudzać, który to cel osiągały. W Dorpacie nie było objektu, na który demonstracjami można było oddziaływać. Jeden chyba mógłby być powód do demonstracji w Dorpacie, a mianowicie chęć zaznaczenia, że młodzież polska łączy się z ruchem krajowym.

Po nadejściu wiadomości o 22-im stycznia 1863 roku, dniu wybuchu powstania w Królestwie, kilkunastu kolegów wyjechało z Dorpatu, spiesząc do kraju. Ci zaś, którzy w grudniu wyjechali na zimowe wakacje, nie wrócili. Z początku uniwersytet dawał urlopy, żądane pod rozmaitemi pretekstami, później jednak odmawiał ich bezwarunkowo. Następnie przyszło rozporządzenie z Petersburga, aby nikogo, chcącego do kraju wyjechać, nie zatrzymywać, lecz każdemu wydawać papiery z zastrzeżeniem bezpowrotnego wydalenia z uniwersytetu. Z tych, którzy wyjechali z Dorpatu, jedni czynny i wybitny mieli udział w organizacji ruchu, drudzy legli na polach utarczek. Pod Birżami np. zginął Wojciech Borkowski z gub. mińskiej, stud. chemji, zaś K. Trzeciak z kowieńskiego, stud. teologji, ciężko ranny, wzięty do niewoli, został zesłany na Syberję.

Czy patrząc na nieszczęsny, tak brzemienny w klęski krajowe koniec tego ruchu, mamy potępić tych, którzy się dali porwać uczuciu? Czynów ludzkich nie należy sądzić według ich powodzenia i pomyślnych skutków, lecz przedewszystkim według ich etycznych pobudek. Ci, którzy ruch wywołali i czynnie w nim uczestniczyli, powodowali się najszlachetniejszemi chęciami i zdążali do celu, który był ostatecznym celem

wszystkich. Droga, którą do tego celu wybrali, była, niestety, błędna, lecz tę swą omyłkę wielu okupiło życiem, wielu dziesiątkami lat cierpień, mało kto z nich ocalał. Zresztą kto może zaręczyć, że reformy, zaprowadzone przez Wielopolskiego, koncesje dane Królestwu, zatym tylko cząstce kraju, i bez ruchu roku 1863 długoby się ostały? Kraj Nadbaltycki, jak najlojalniejszy, którego wielu reprezentantów z dawien dawna było najposłuszniejszemi narzędziami do przeprowadzania najarbitralniejszych i najbardziej despotycznych rozporządzeń, kraj został pozbawiony języka, wielu swych praw i przywilejów. Uniwersytet, sądownictwo, administracja zostały zrusyfikowane, a kraj w cywilizacji o dziesiątki lat cofnięty i użyty za pole propagandy prawosławia. Najlepszym dowodem, czego można się spodziewać od rządu rosyjskiego i w najgłębszym pokoju i przy największej lojalności, jest Finlandja i to, co się w oczach naszych od lat kilku w kraju tym dzieje.

Pozostali w Dorpacie studenci Polacy z gorączkową niecierpliwością oczekiwali wiadomości z kraju. Z korespondencji prywatnej niewiele się można było dowiedzieć, byliśmy ograniczeni do gazet zagranicznych, mocno zamazywanych i obcinanych, które wprost pochłanialiśmy. Codziennie jeszcze przed otwarciem Resursy Akademickiej, gdzie wielka ilość czasopism była do naszego rozporządzenia, już przed 9-tą z rana czekaliśmy, aby przed innemi przeczytać świeże dzienniki, przyniesione z poczty. Schodziliśmy się prawie jednocześnie przed gmachem resursy. Jednym z pierwszych był zawsze A. Pawiński, który w roku 1862 przeniósł się z E. Klimem, stud. matematyki, wskutek zajść studenckich w Petersburgu do Dorpatu. Listowne znoszenie się z krajem było bardzo niepewne, bardziej jeszcze utrudnione było przesyłanie pieniędzy. Poczta w Warszawie nie ręczyła za dojście ich. Pieniądze otrzymywali niektórzy z nas przez instytucje bankowe w Petersburgu, które od siebie przesyłały przekazy na zamożnych kupców w Dorpacie.

W połowie bodaj marca r. 63-go przechodziła przez Dorpat znaczna partja rekrutów z gub. kowieńskiej i wileńskiej, która zatrzymała się na postój w koszarach przy drodze Ryskiej. Dowiedziawszy się o tych rekrutach, poszliśmy do koszar i uzyskaliśmy od oficera pozwolenie zabrania na kilka

godzin trzech nowobrańców dla ugoszczenia ich, jako pochodzących ze znanych nam stron. Dla eskorty dano nam żołnierza, który powierzonych sobie rekrutów na krok nie odstępował. Dwóch z nich było z pod Wilna, trzeci zaś, Dobkiewicz, był drobnym szlachcicem z szawelskiego. Ten ostatni, dowiedziawszy się o ruchu w Królestwie i że w kwietniu ma się rozpocząć powstanie na Litwie i Żmudzi, rozpłakał się rzewnemi łzami, żałując, że wcześniej nie wiedział o tych wypadkach. Wobec jego przejęcia się sprawą powstała w młodych głowach myśl odbicia tej partji rekrutów i przedarcia się z niemi do polskich Inflant. Myśl była szalona i absolutnie niewykonalna. W całej partji było zaledwie kilku takich Dobkiewiczów; reszta byli to po większej części chłopi żmudzini, nie rozumiejący nawet po polsku, i kilkudziesięciu żydów litewskich. Nadto cały nasz arsenał składał się z jednego sztucera, jednej dubeltówki i paru pistoletów, co wobec dwudziestu kilku eskortujących żołnierzy było nieco za mało. Projekt ten raczej trzeba było uważać za żart, aniżeli za zamiar na serjo, który jednak rozgorączkował w wysokim stopniu wtajemniczonych.

Na wiosnę 1863 roku mocno się przeziębiłem i przeszedłem dość silne zapalenie oskrzeli, po którym zaczęła się rozwijać choroba piersiowa; plułem krwią, miałem silne poty i t. p. Prorektor von Quingen, którego radziłem się jako lekarza, zalecił mi pobyt na wsi i picie wód emskich. Z powodu choroby chciałem w 1864 roku wyjechać na kilka miesięcy z Dorpatu. Było to jednak niezbyt łatwe, gdyż prorektor nie miał wówczas prawa wydawania urlopów. Można było wydobyć papiery i zupełnie opuścić uniwersytet, urlopu jednak niepodobna było otrzymać. Udzielanie go zależało w ostatniej instancji od ministra spraw wewnętrznych. Już w marcu 64-go r. zrobiłem podanie na ręce prorektora, a dopiero w lipcu otrzymałem nareszcie urlop, po długich staraniach w Warszawie i Petersburgu. W parę lat po powstaniu prorektor znów miał prawo wydawania urlopów, lecz tylko do ściśle oznaczonych miejscowości; nadto o każdym wyjeżdżającym studencie w chwili doręczenia urlopu musiał donosić telegraficznie miejscowej policji. Każdy student, przebywający czy to w mieście czy na wsi, był przez cały czas swego tam pobytu

pod ścisłym dozorem policyjnym, o którym nieraz wcale nie wiedział. Policja miejscowa przy wyjeździe studenta z powrotem do Dorpatu donosiła znów od siebie o jego wyjeździe władzy uniwersyteckiej. Taka opieka nad studentami-Polakami trwała przez lat dziesiątki. Stosowano ją jeszcze w roku 1881, o czym przekonałem się sam na sobie, mieszkając kilka miesięcy w Wierzbołowie.

Pierwsze lata po roku 1863 w Dorpacie zaliczyć należy do najsmutniejszych w ciągu dziesiątków lat. Nadmierna pijatyka, gra w karty, życie hulaszcze bez myśli i poważniejszych celów zaczęło się rozwielmożniać. Wkrótce jednak nastąpiło opamiętanie. Praca organiczna, do której zwrócił się kraj po powstaniu, stała się hasłem także młodzieży naszej.

Instytucją, która służyła do rozrywki, lecz zarazem miała kształcący wpływ na młodzież uniwersytecką, była t. zw. „Mussa Akademicka“ czyli Resursa studencka, którą oblegaliśmy formalnie w czasie powstania. Mieściła się w gmachu, należącym do uniwersytetu, zajmowała cały budynek, oddany przez uniwersytet bezpłatnie do jej użytku. Na parterze był bufet z restauracją, sala bilardowa, oraz pokoje poszczególnych korporacji. Nasz pokój, narożny o dwóch oknach, z których jedno wychodziło na uniwersytet, drugie zaś na szkołę p. Mujszel, mieścił się również na parterze. Pierwsze piętro zajmowały dwie duże sale, cztery pokoje przeznaczone na czytelnię i dwa kartowe. W mniejszej sali stał fortepian. Czytelnia, otwarta codziennie od 9-ej zrana do 11-ej wieczorem, była bardzo obficie zaopatrzona w czasopisma najrozmaitszej treści. Prócz gazet i dzienników politycznych w języku niemieckim, francuskim, polskim, rosyjskim i angielskim, nie licząc paru gazet estońskich i łotewskich, czytelnia była starannie zaopatrzona w czasopisma specjalne z każdej dziedziny wiedzy. Filozofja, teologja naukowa, historja, geografja, statystyka, ekonomja polityczna, prawo, matematyka, medycyna, specjalne gałęzie nauk przyrodniczych, każdy z tych odłamów wiedzy miał po kilka czasopism naukowych. Ogół tych wszystkich gazet i wydawnictw perjodycznych do-

sięgał cyfry 100 pism. Wypisywanie gazet polskich zależało od naszego reprezentanta. On zwracał się do redakcji. Jedna z nich, nie zrozumiawszy adresu, przez długi czas wysyłała nam swe pismo, pod adresem „Akademie Szemusse". Otrzymywaliśmy „Bibljotekę" i „Gazetę Warszawską", „Wędrowiec", „Tygodnik Illustrowany" i „Medycynę". Prócz licznych gazet, sprowadzano wiele broszur i rozpraw, traktujących o bieżących kwestjach naukowych i społecznych. Nadto bibljoteka czytelni posiadała doskonałe encyklopedje, słowniki i atlasy, któremi można było posługiwać się każdej chwili. Wielu z profesorów było stałemi gośćmi czytelni i jej członkami. Starego prof. Maedlera można było niemal codziennie widzieć w Mussie, pochylonego nad gazetami. Prawie zawsze po swoim odczycie wstępował do Resursy. M. miał wzrok krótki i z tego powodu, rozłożywszy gazetę na dużym stole, schylony dotykał jej niemal twarzą. Opierał się lewą ręką o krawędź stołu, prawą zaś miał w ciągłym ruchu, szybko posuwając ją od lewej ku prawej stronie, jakby coś pisał lub kreślił na stole. M. był słynnym astronomem, a ów bezustanny i bezwiedny ruch prawej ręki pochodził jakoby z nawyknienia do matematycznych wyliczeń i notowań cyfr. M. wydał znaną w swoim czasie mapę księżyca, która nie miała równej sobie ilością i z matematyczną ścisłością oznaczonych miejscowości na tym satelicie. M. miał wygląd bardzo niepozorny; patrząc na niego, sądzićby można, że ma się przed sobą małomiasteczkowego mieszczanina, nie stroniącego od kufelka, nie zaś wszechświatowej sławy uczonego astronoma. Twarz jego z pozoru drzemiąca ożywiała się i zmieniała zupełnie przy wykładach i rozmowach naukowych. M. chodził w długim, granatowym płaszczu o szerokiej pelerynie, o dużym, wykładanym zamszowym kołnierzu, zapinanym na klamrę srebrną z łańcuszkiem.

Profesor Klausen —także astronom (wsławił się swemi obserwacjami nad kometami i jako matematyk stał jakoby wyżej od Maedlera), rodem duńczyk — również zachodził codziennie do Mussy na gazety i szachy, w które grał po mistrzowsku. K. był oryginałem i rzadkim dziwakiem. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni nosił białe płócienne spodnie, granatową mundurową z żółtemi guzikami kamizelkę, popielaty kamlotowy żakiet i czapkę z tego samego materjału.

Jeśli było chłodno, to na ten strój nakładał palto mundurowe. Twarz miał poważną, lecz bliżej przypatrzywszy się jej, widać było przytłumiony śmiech, którym K. wybuchał przy lada okoliczności. Przy takim napadzie śmiechu najpierw dawały się spostrzegać drgania górnej części ciała, twarz przybierała kolor pąsowy, żyły na czole nabrzmiewały, z ust wydobywał się urywany syk, poczym następował głośny wybuch śmiechu, rozlegający się po całym lokalu Mussy. W takich wypadkach K. zrywał się z fotelu, chwytał za brzuch i wylatywał z sykiem i piskiem. Ataki te powtarzały się na ulicy, w uniwersytecie, słowem wszędzie, a mogły być wywołane najdrobniejszą okolicznością. Sam widziałem, jak na wiosnę po ciepłym deszczu K., poślizgnąwszy się na „domie" (w ogrodzie uniwersyteckim), upadł w ten sposób, nie zrobiwszy sobie zresztą szkody, że znalazł się na czworakach na ziemi, przesiąkniętej deszczem, Ta komiczna tym razem sytuacja tak go rozśmieszyła, że przez długą chwilę pozostawał w tej pozie, dusząc się od śmiechu. Ten chorobliwy śmiech, jak opowiadano, uniemożliwił mu karjerę naukową w Danji. K. pierwiastkowo był docentem w Kopenhadze. K., przedstawiając się wraz z całym ciałem profesorskim królowi, zauważywszy coś według siebie śmiesznego w ubraniu króla, dostał swego zwykłego napadu. Król, zdziwiony tym wybuchem wesołości, spytał jakoby o jej przyczynę. Kl. wówczas wskazał palcem na jakąś część ubrania królewskiego i bardziej jeszcze zaniósł się śmiechem. Po takiej scenie dalsza jego karjera w Danji stała się niemożliwą.

Prof. prawa kryminalnego, Ziegler, także stale po swoim odczycie odwiedzał Mussę, odległą tylko o paręset kroków od uniwersytetu. Z. nie lubił czytania na sucho; krzepił się po odczycie i przy lekturze dobrym, gorącym ponczem, którego wypijał zwykle po kilka szklanek. Wykłady prof. Z. miały licznych słuchaczów, gdyż przedmiot, sam z siebie nader zajmujący, potrafił prelegent barwnym przedstawieniem i głęboką, psychologiczną znajomością natury ludzkiej uczynić bardziej jeszcze interesującym. Stałym również gościem czytelni był ośmdziesięcioletni staruszek, emeryt Schroeder, ojciec ówczesnego dyrektora gimnazjum dorpackiego. Służący codziennie przyprowadzał sędziwego S., który przez parę godzin przesiadywał w Mussie, zasypiając nieraz w fotelu. Widząc

kiedyś staruszka, szukającego gazet, jeden z nas podał mu „Gazetę Narodową“ czy też „Kolońską“. S. podziękował, lecz dziennika nie przyjął, oświadczając: „Diese Zeitung ist für mich zu lieberal“.

Lecz nietylko doborową i bogatą czytelnią zjednywała sobie Mussa licznych członków. Wieczory środowe, wieczorki familijne z odczytami, wieczorki taneczne, bale, przedstawienia amatorskie i t. p. dla wielu studentów były magnesem. Każdy, chcący zapisać się do Mussy, podlegał głosowaniu. Zarząd Mussy należał do dyrekcji, która składała się z 6-ciu dyrektorów, wybieranych przez ogólne zgromadzenie członków, i z 6-iu przewodniczących (Vorsteher), delegowanych przez korporacje. Między pierwszemi musiało być przynajmniej trzech profesorów, drudzy trzej musieli należeć do inteligencji. Jednym z 6-ciu Vorsteherów był reprezentant Polonji.

Przedstawienia teatralne amatorskie, dawane przez niemieckie korporacje, cieszyły się wielkim powodzeniem wśród publiki dorpackiej. Prawie zawsze brakowało miejsc. Jedno z tych przedstawień, ostatnie w Mussie, dane przez korporację „Estonję“, miało następstwa dosyć niemiłe. Wystawiono jakąś komedyjkę, w którą wpleciono różne śpiewki i kuplety o osobach bardzo wysoko postawionych, zresztą nie odznaczające się niczym, chyba brakiem sensu i dowcipu. Wrażenie, wywołane kupletami. było jednak o tyle duże, że nazajutrz po tym przedstawieniu przyszło z Petersburga rozporządzenie wsadzenia do karceru nietylko aktorów, ale całej korporacji. Ponieważ karcery uniwersyteckie nie mogły pomieścić 70-ciu przeszło studentów, więc umieszczono ich w dwóch największych audytorjach, gdzie prawie przez 3 dni byli trzymani. Sytuacja tym była gorsza, że w tymże czasie odbyło się kilka pojedynków na pistolety, z rezultatami bardzo serjo, których ukryć nie było można. Kurator Kaiserling, jeden z najświatlejszych kuratorów, jakich kiedykolwiek miał okręg naukowy dorpacki, był właśnie w Petersburgu. Cesarz Aleksander II na obiedzie galowym, na który i Kaiserling był wezwany, wspomniał o częstych pojedynkach w Dorpacie, wyraził jednak swe uznanie dla studentów dorpackich, których zachowanie o wiele się różniło od zachowania studentów rosyjskich uniwersytetów. Korzystając ze sposobności, wspomniał Kai-

serling o przedstawieniu studenckim i o niewłaściwych kupletach. Cesarz jakoby się roześmiał i, machnąwszy ręką, rozkazał wszystkich wypuścić. Jak aresztowanie tak i uwolnienie odbyło się drogą telegraficzną. Odtąd jednak zostały wzbronione wszelkie widowiska teatralne w Mussie.

W wieczorach tanecznych i balach brali udział przeważnie amatorzy pląsów; mazura zawsze prowadził ktoś z Polonji. Jako świetni mazurzyści słynęli swego czasu w Dorpacie i Mussie Witold Załęski i St. Kożuchowski.

Ogólniejszym poparciem cieszyły się wśród nas wieczory środowe i posiedzenia wieczorne w naszym pokoju na parterze. W środę wieczór cały górny lokal Mussy otwierał swe podwoje. W pokoju między większą a mniejszą salą przygrywała miejska kapela pod dyrekcją wcale dobrego skrzypka Arnolda; w mniejszej sali rozstawione były stoliki, przy których sadowili się Niemcy tak licznie, że przez nią nieraz tylko z trudnością można się było przedostać. Druga, większa sala, pod której ścianami stały ławki, służyła do spaceru i dla dogodniejszego słuchania muzyki; czytelnie były przepełnione; w dwóch pokojach zasiadali amatorzy do gry (hazard był wykluczony). Myśmy w środy lokowali się między dwiema czytelniami, gdzie się nas zwykle po kilkunastu zbierało. W dni środowe zamykano lokal o godz. 1-ej w nocy, w dni zwyczajne górną część Mussy już o godzinie 11-ej. W zwykłe wieczory zbieraliśmy się dość często w naszym specjalnym parterowym pokoju. Tutaj schodziliśmy się w mniejszym kółku, przepędzając niejedną miłą chwilę przy pogawędce i kufelku piwa. Kto w tych posiedzeniach brał udział, ten ich bez wątpienia nie zapomniał, chociaż go dzisiaj dzielą od nich lat dziesiątki.

Dzień 12/24 grudnia był dla uniwersytetu dniem uroczystym jako rocznica założenia (r. 1802). Dzień ten obchodzono i w Mussie licznym zwykle bardzo wieczornym zebraniem profesorów i studentów. Przed aktem uroczystym w auli, w kościele uniwersyteckim odbywało się dnia tego nabożeństwo ze stosowną przemową pastora, który był zarazem profesorem-członkiem wydziału teologicznego. Punkt o 12-ej otwierały się na rozcież podwoje auli, zapełnionej już publicznością i studentami; przez nie wchodzili z rektorem na czele

profesorowie w pełnym składzie, zasiadając w fotelach, tworzących półkole naprzeciwko wielkiej katedry. Po ich usadowieniu się i odegraniu przez orkiestrę stosownego muzycznego utworu, jeden z profesorów wydziału, na który właśnie przypadała kolej, wchodził na katedrę dla wygłoszenia uroczystej mowy, której tematem była zawsze jakaś kwestja naukowa, jak np. o uniwersytetach w wiekach średnich, o Machiavellim, o Celsusie, o metodzie induktywnej w historji, a Galileuszu, o teorji Darwina, o monizmie i t. p. Po mowie następowało odczytywanie sprawozdania za ubiegły rok uniwersytecki, a następnie krytyka prac ubiegających się o medale studentów; pedel wnosił dużą srebrną wazę z palącym się spirytusem, koperty uwieńczonych rozpraw odpieczętowywano i nazwiska zwycięzców ogłaszano, zaś koperty z godłami odrzuconych prac rzucano w płomienie wazy. Odegraniem przez orkiestrę hymnu kończyła się oficjalna część uroczystości 12-go grudnia. Wieczorem, jak już wspomniałem, zbierano się w Mussie. Rektor, prorektor, kilkunastu profesorów i kilkuset studentów zasiadało przy kilku dużych i wielu mniejszych stołach, mając przed sobą dymiące wazy z ponczem. Zwykle profesor, który miał dnia tego odczyt w auli, wznosił toast na cześć obdarzonych medalami, poczym jeden z udekorowanych odpowiadał w ich imieniu toastem na cześć Almae Matris i profesorów. Następnie odczytywano liczne depesze, nadchodzące z bliższych i dalszych stron, poczym następowały przemówienia poważne i humorystyczne profesorów i studentów, urozmaicając to pamiątkowe zebranie, przeciągające się zwykle do późnej godziny.

W roku 1890-ym to doroczne zebranie w Mussie było bardzo liczne i bodaj przedostatnie, jakie się wogóle w rocznice założenia uniwersytetu w Mussie odbyło. Nastrój był nader poważny, chociaż chwilami nie brakło i wesołości. Ówczesny rektor, Aleksander Schmidt, słynny fizjolog, wobec zmian, jakich się trzeba było wkrótce w uniwersytecie spodziewać, w serdecznym przemówieniu zaznaczył, że może nie wszystko uczynił, co do niego należało, aby zachować uniwersytetowi te formy i prawa, któremi się dotąd cieszył. Po tych ze wzruszeniem wypowiedzianych słowach i toaście na pomyślność wszechnicy, przystąpił do odczytania kilkudziesięciu

nadesłanych depesz. Natrafiwszy na jedną, zredagowaną w języku rosyjskim, podał ją prorektorowi Brücknerowi, mówiąc: „Tu jest depesza rosyjska; nie znam dobrze tego języka, więc kolega Brückner przeczyta ją panom". B., który był zarazem profesorem historji Rosji, ogłosił depeszę odrazu w tłumaczeniu niemieckim; była to depesza z Rygi od ówczesnego kuratora Kapustina. K., zostawszy przed kilku laty kuratorem, przemawiał do studentów w auli w języku niemieckim, nadmieniając wówczas, że sam studjował w Heidelbergu, że zna młodzież i lubi ją, wkrótce jednak ten sam K. zapomniał jakoś po niemiecku i stał się chętnym narzędziem rusyfikacji uniwersytetu i szkół w prowincjach baltyckich. Przyznawał sam wprawdzie, że cywilizacja kraju cofnie się o lat kilkadziesiąt, lecz twierdził zarazem, że interes państwa czyni tę reformę konieczną (przed zaprowadzeniem języka państwowego do szkół ludowych było w Liflandji zaledwie 5-ciu na 100 nieumiejących czytać; po reformie liczba analfabetów zaczęła się stopniowo zwiększać. W szkołach ludowych językiem wykładowym był język czuchoński lub łotewski). Depesza Kapustina została przyjęta prawie zupełnym milczeniem. Rektor Schmidt dla zakończenia drażliwej sytuacji prędko podniósł kieliszek i wzniósł zdrowie kuratora, które pominięto mrożącą ciszą. Po kilku innych depeszach magnificencja odczytała depeszę od byłego kuratora dorpackiego i byłego ministra oświecenia publicznego, Saburowa. Depesza była zredagowana w języku niemieckim. Saburow za swego kuratorstwa bardzo był lubiany przez młodzież i profesorów. Objąwszy swe urzędowanie w Dorpacie, złożył osobiście wizyty wszystkim profesorom, nie wyłączając docentów. Dla młodzieży był przystępny i wyrozumiały, dom prowadził otwarty, zapraszając do siebie studentów. Żonatym był z hrabianką Sołłohub, której rodzice przez długi czas mieszkali w Dorpacie i których dwóch synów studjowało, należąc do korporacji Estonji. Gdy Saburow został ministrem i opuszczał Dorpat, cała studenterja wyprawiła mu wspaniały korowód z palącemi się pochodniami i wysłała do niego deputację. Po jej przyjęciu Saburow wyszedł do zgromadzonych przed jego mieszkaniem, dziękując za zrobioną mu owację. Depeszę jego, do której wracam, przyjęto przeciągłym „wiwat!" i wołaniem: „antwor-

ten!" na co rektor oznajmił, że odpowiedź zaraz będzie wysłana. Między licznemi depeszami z najodleglejszych krańców państwa, jak np. z Władywastoku, ba! nawet z innych części świata, jak z Ameryki i Australji, znalazł się, prócz kilku depesz z Królestwa, i telegram łaciński z Warszawy krótkobrzmiący: „Pereat diabolus". Po przeczytaniu tej depeszy nastała dłuższa cisza, gdyż znaczenia jej odrazu nie zrozumiano. Nastrój poważny, w jakim znajdowali się wszyscy, ułatwił jednak wkrótce zrozumienie myśli i życzenia, zawartego w tych wyrazach. Całe zebranie wybuchnęło gwałtownym śmiechem, zabrzmiało głośno „wiwat!", zagłuszone w końcu wypiciem zdrowia wysyłającego depeszę, którym był adwokat W. Po ukończeniu odczytywania depesz prorektor Brückner wobec projektowanego zniesienia sądu uniwersyteckiego, władzy prorektorskiej i wszelkich zmian, grożących uniwersytetowi, przemawiał w sposób humorystyczny, że: „jeszcze jesteśmy i pomimo wszelkich wszelakości i ciężkich warunków istnienia być chcemy i będziemy!" Niestety, zmiany, zaprowadzone w najbliższym już czasie (po roku 1891) nadały, zupełnie inny charakter uniwersytetowi i położyły kres jego świetnej naukowej przeszłości.

Mało który z prorektorów był tak lubiany i tak popularny jak Brückner: zawdzięczał to swemu taktownemu i wyrozumiałemu postępowaniu ze studentami. Wobec niego student nie czuł się skrępowanym, widział w nim nie ostrego przedstawiciela prawa i dyscypliny, lecz życzliwego starszego przewodnika i przyjaciela. Wykłady prof. B. (wykładał historję, geografję i statystykę Rosji) nie były wprawdzie tak porywające, jak jego poprzednika Schirrena, odznaczały się jednak gruntowną znajomością przedmiotu. Z licznych prac naukowych B. największe są: „Historja Piotra Wielkiego" i „Historja Katarzyny II-ej", oraz „Europeizacja Rosji." O ile dzieło o Katarzynie II-ej przedstawia ją zbyt pochlebnie, o tyle „Europeizacja Rosji," przedstawiająca przekształcanie się powolne państwa azjatyckiego w europejskie, kreśli stosunki Rosji XVI i XVII stulecia w prawdziwym świetle. Dzieło to, może nieco rozwlekle napisane, ale oparte na faktach historycznych, wywołało sarkanie niektórych gazet rosyjskich i uwagi, że profesor w służbie państwowej tak pisać nie powinien. W dal-

szym ciągu posiedzenia w Mussie, od którego nieco odbiegłem, po prorektorze przemawiał od każdej korporacji jej reprezentant. Od nas na życzenie kolegów mówił student X. naturalnie w języku niemieckim.

O dość późnej godzinie opuszczał dnia tego rektor i profesorowie Mussę, zostawiając w niej studentów, których część zwykle dnia tego dopiero nad ranem wracała do swych mieszkań.

W ósmym dziesięcioleciu stosunki nasze z korporacjami, jak zawsze, były dalekie chociaż życzliwe, szczególniej bardziej zażyłe z Kuronami. W roku 1875 bodaj przypadł 50-cioletni jubileusz korporacji Estlandzkiej. Na propozycję jednego z kolegów, jako goście na uniwersytecie dorpackim, wysłaliśmy do przedstawiciela „Estonji“ deputację, złożoną z trzech kolegów, z życzeniami. Przedstawiciel korporacji był nieco zdziwiony i zakłopotany tym aktem naszej grzeczności. Przyjął delegatów z całą uprzejmością, dziękując za życzenia i zapraszając na „komers obcych.“ Wypiwszy za pomyślność korporacji ze wspaniałego puhara, ofiarowanego przez dawnych filistrów, podziękowaliśmy za zaproszenie, tłumacząc się wyjazdem dnia tego kolegi Ceraskiego, który po ukończonych egzaminach właśnie opuszczał Dorpat.

Od tego czasu przy zdarzonych podobnych okolicznościach (w parę lat później obchodziły korporacje Liwońska i Ryska także 50-cioletnie jubileusze) bywaliśmy bardzo wcześnie o zbliżających się uroczystościach zawiadamiani i wszyscy in corpore zapraszani. Konwent nasz zwykle delegował 3-ch kolegów dla złożenia powinszowań a 10-ciu dla brania udziału w „komersie obcych.“

Te jubileusze korporacyjne wspaniale się odbywały. Zjeżdżało się na nie po kilkuset dawnych słuchaczów uniwersytetu, byłych członków filistrów danej korporacji. Imponujący bywał pochód starej gwardji wraz z młodym pokoleniem z mieszkania korporacji przed gmach uniwersytetu, przed którym z obnażonemi głowami śpiewano strofę z pieśni „Gaudeamus:“ Vivat Academia, Vivat Professores!“ Imponujący i rozrzewniający, powtarzam, był ten pochód! W pierwszych

parach szli najstarsi semestrami i wiekiem filistrzy; czoło pochodu stanowili 80-cioletni starcy; za niemi postępowali coraz młodsi, a kończyli pochód pierwszosemestrowi studenci. W tym czasie jubileuszowym często można było spotykać na ulicach miasta syna w barwach i córkę, idących przodem, a za niemi ojca również z oznakami korporacyjnemi pod rękę z matką. Na uroczystość jubileuszową, trwającą 3 — 4 dni, składał się konwent (posiedzenie) uroczysty w kwestjach korporacyjnych, komers intern, komers dla obcych t. j. dla zaproszonych gości, nie należących do korporacji, obiad uroczysty, bal w Mussie i t. p. Lecz nie na samej zabawie i libacjach upływały te uroczystości. Tworzono stypendja i pożyteczne poważne fundacje; filistrzy liflandcy złożyli dla upamiętnienia 50-cio letniego jubileuszu swej korporacji kapitał 20.000 rubli, od którego procent służy do wysyłania zagranicę dla dalszego kształcenia się tych członków korporacji, którzy chlubnie ukończyli uniwersytet i chcą dalej naukowo pracować. Najwspanialszym ze wszystkich jubileuszów był 75-cioletni jubileusz Kuroński. Pierwszego dnia tej uroczystości przed południem zebrały się wszystkie korporacje ze swemi sztandarami przed ratuszem, tworząc kwadrat z jednej strony otwarty i czekając nadejścia jubilatki. Po nadciągnięciu długiego bardzo pochodu Kurońskiego, który ugrupował się wprost ratusza, wyszedł z niego Jerzy von Oettingen, były rektor, wówczas zaś prezydent miasta, i powitał imieniem Dorpatu w serdecznych wyrazach starych i młodych jubilatów. Z przed ratusza Kuroni poszli przed uniwersytet, przed którym kilkakrotnie schyliła się chorągiew korporacyjna, i zaśpiewano: „Vivat Academia!“ W tej chwili na dachu gmachu uniwersyteckiego otworzyły się okienka od karcerów i widać było kilka rąk, powiewających chustkami. Demonstracja ta wywołała ogólną wesołość. Z pośród starych filistrów Kurońskich wysłano zaraz deputację do prorektora z prośbą o uwolnienie na dzień ten uwięzionych, której niezwłocznie stało się zadość.

W 83-im roku Mussa Akademicka obchodziła także jubileusz 25-cioletniej swej egzystencji licznym bardzo zebraniem członków i skromną kolacją. Nie przypuszczano wówczas, że za lat 7 Mussa przestanie istnieć. Przed samemi letniemi ferjami roku 90-go przyszło zapytanie z Rygi od nowego kura-

tora Ławrowskiego, następcy Kapustina, na jakiej zasadzie Mussa Akademicka mieści się w gmachu uniwersyteckim. Wkrótce przyszło rozporządzenie zabrania Mussie lokalu i urządzenia w nim paru audytorji, pod pretekstem braku w uniwersytecie sal na odczyty, braku, którego dotąd wcale nie odczuwano. Zdawało się jednak, że Mussa i nadal będzie mogła istnieć w mieszkaniu wynajętym, lecz łudzono się tylko, gdyż w kilka tygodni przyszło rozporządzenie, znoszące Mussę w zupełności. Było to tylko preludjum do zmian, jakie miały wkrótce zajść w uniwersytecie, o których głośno mówiono i których wkrótce się spodziewano. Z Mussy pozostawiono tylko czytelnię, znacznie obciętą i zmniejszoną, na którą wyznaczono w podwórzu dawnego gmachu dwa małe pokoiki. Kończąc te wspomnienia o Mussie Akademickiej, muszę jeszcze powiedzieć słów parę o jednej osobistości, związanej ściśle z jej istnieniem. Mam tu na myśli Grassa, nadzorcę czytelni Resursy. Obowiązkiem jego było przynosić codziennie zrana gazety i czasopisma z poczty, wykładać je, utrzymywać w porządku, przeczytane chować, pod koniec każdego roku wysortowane broszury, dzienniki i czasopisma przygotowywać do licytacji, urządzanej dla członków Mussy i t. p. Grass od założenia Mussy aż do jej zamknięcia t. j. przez lat 33 nie rozłączał się z nią i po jej upadku był w dalszym ciągu nadzorcą pozostałej, uszczuplonej bardzo czytelni.

Szwajcarem Mussy był przez dość długi czas Królikowski, tak przez nas zwany dla swego podobieństwa z naszym sławnym dramaturgiem. Był to jowialny człeczyna, który każdemu z członków, częściej Mussę odwiedzających, miał coś do powiedzenia. Umarł on nagle na lat kilka przed zniesieniem Mussy. Pamiętam ostatni wieczór przed jego śmiercią, któryśmy w kilku spędzili w naszym narożnym pokoju. Gdyśmy dnia tego wchodzili, K. powitał nas jakimś żartem i pozawieszał nasze palta. Gdyśmy dość późno opuszczali Mussę, Królikowskiego nie było widać: sądziliśmy, że gdzieś się zdrzemnął. Nazajutrz jednak dowiedzieliśmy się, że zrana znaleziono go nieżywym w fotelu, który stał tuż obok schodów, a obok którego, wychodząc, musieliśmy wieczorem przechodzić.

Wspomnę jeszcze o przyjęciu, urządzonym przez nas dla

Niemców. Po trzech 50-cioletnich jubileuszach, na które byliśmy zaproszeni, po dość licznych komersach, w których zwykle po kilku z nas udział brało, uważaliśmy za stosowne przyjąć u siebie korporantów. Nie mając wówczas odpowiedniego własnego mieszkania, urządziliśmy przyjęcie w Mussie Akademickiej, której zarząd ustąpił nam na ten wieczór cały górny lokal. Do gości przemawiał jeden z kolegów, od zaproszonych mówił reprezentant Kuronji, która była w owym semestrze korporacją prezydującą. Wesołość i wzajemna życzliwość cechowały to zebranie, które się odbyło ku obustronnemu zadowoleniu. Że się goście nasi nie nudzili, tego najlepszym dowodem było pozostanie znacznej ich części niemal do białego dnia, chociaż przyjęcie odbyło się w późnej jesieni. Jedzenia dostarczyła restauracja Mussy, piwa w odpowiedniej ilości sławny browar Schramma, wino sprowadziliśmy z Warszawy ze znanej winiarni Lijewskiego czy też Krzemińskiego. Było to doskonałe, lekkie wino węgierskie, którym Niemcy się delektowali, uważając je za wysoki gatunek wina reńskiego.

Pozwalam sobie tutaj cofnąć się myślą w bardziej odległe czasy, bo przed r. 1860, jeszcze przed moim przyjazdem na uniwersytet, i skreślić kilka sylwetek i obrazków z dawnej tradycji koleżeńskiej.

Poprzednikiem kuratora Bradtkego, o którym już wyżej była mowa, był Kraftstroem, również generał mikołajewski. Krążyły o nim różne opowieści i dykteryjki, do których sam swym nieuctwem i koszarowym traktowaniem uniwersytetu liczne dawał powody. K. zapytany przez parę dam, z któremi przechodził w parku uniwersyteckim pod mostem, noszącym napis: „otium reficit vires", o znaczenie tych wyrazów, miał odpowiedzieć: „tutaj nie wolno palić".

Za Kraftstroema był rektorem Haffner, nie z wyboru, lecz z góry naznaczony, znany ze swej służbistości i pedanterji. Ten o mało nie nabawił jednego z niemieckich fuksów wielkiego kłopotu. Do obowiązków fuksowskich u Niemców należało ostrzenie rapierów, na które korporanci zwykle się pojedynkowali. Otóż przed jakimś pojedynkiem ostrzył je fuks,

gdyż nazajutrz miały być użyte; spełniając tę czynność, zapomniał zamknąć drzwi od mieszkania. Tą nieostrożnością spowodował, że pedel zastał go „in flagranti“ przy tej robocie, a było to w czasie węgierskiej kampanji, która ciężko dawała się odczuwać uniwersytetowi i studentom. Tego przyłapania na gorącym uczynku, zdradzającego zamiary pojedynkowe, bezpośrednim skutkiem była natychmiastowe wezwanie do służbisty i dziwaka-rektora, chociaż w gruncie rzcczy niezłego człowieka. Rektor, któremu już doniesiono o tej kryminalnej sprawie, powitał wylękłego fuksa wyrazami: „Junger Mann, sie sind verloren!“ Tylko wdaniem się w tę sprawę prof. Oettingena, który miał wpływ na Kraftstroema, skończyło się na 3-ch dniach karceru.

Za czasów tegoż kuratora wykładającym zoologję był doktór Asmus, dzielnie znający swój przedmiot i doskonale wykładający. Ponieważ jednak z powodu swych rzekomych liberalnych przekonań nie cieszył się względami pana kuratora, przeto przez czas dłuższy siedział na docenturze i nie mógł dostać katedry.

Wykłady Asmusa były bardzo zajmujące, chociaż profesor często odstępował od przedmiotu a mówił o ówczesnych stosunkach, nie mających ścisłego związku z zoologją. Na jeden z takich wykładów, na którym A. znacznie odbiegł od przedmiotu, wszedł nagle i niespodziewanie Kraftstroem. A. nie stracił kontenansu, a zobaczywszy kuratora we drzwiach audytorjum, rzekł donośnym głosem: „Meine Herren, jetzt kommt der Affe!“—i resztę godziny miał odczyt o... małpach. Mówił zaś tak pięknie i zajmująco, że K. wyraził mu swe zadowolenie i podziękowanie za bardzo pouczający odczyt.

W owym czasie rząd wysyłał wyprawę naukową do Chiwy, w której i uniwersytet dorpacki brał udział. A. pragnął należeć do niej w charakterze zoologa. Pomimo jednak robionych starań K. wyznaczył kogo innego. Koniec tej wyprawy był nader smutny, gdyż wszyscy jej członkowie zostali przez chiwińców wymordowani, a z niemi i delegat dorpacki. A.. odznaczający się kąsającym dowcipem, wyraził kuratorowi przy zdarzonej okoliczności swą wdzięczność za niewyznaczenie go do tej wyprawy i uratowanie go tym sposobem od śmierci.

Noszenie bród i wąsów było wówczas studentom surowo wzbronione; profesorowie musieli się również stosować do tego zakazu. Wolno im było tylko nosić faworyty. Zakaz ten był dla Asmusa, który miał piękny zarost, nader niemiły. Wysokim stojącym krawatem, dużemi kołnierzykami dawnego fasonu i półkoszulkiem ratował i zasłaniał przynajmniej część zarostu, który tym troskliwiej pielęgnował. Kiedyś latem w dzień upalny, w czasie ciszy wakacyjnej wyszedł na „dom" bez żadnych ostrożności; trzeba było jednak wypadku, że w jednej alei spotkał się oko w oko z Kraftstroemem, który ze zgorszeniem spostrzegł nielegalny zarost. Utwierdził on kuratora tym więcej w podejrzeniu o przewrotne i niebezpieczne dla państwa przekonania i tendencje jego posiadacza.

Profesora Kurtza, jednego z głośnych i zagranicą uczonych, członka wydziału teologicznego i kilkakrotnie dziekana, poznałem po raz pierwszy, przedstawiając mu się zaraz po matrykulacji. K. pomimo myślącej twarzy nie robił swym zewnętrznym wyglądem wrażenia profesora i uczonego, przeciwnie, widząc go, można się było bardzo pomylić co do rodzaju jego zajęć. K. był jednak wówczas ozdobą wydziału teologicznego i uniwersytetu. Jeżeli zagranica wiedziała wówczas o wydziale teologicznym Dorpatu, to tylko dzięki Kurtzowi. Inni profesorowie-teolodzy, prócz Christianiego, byli jeszcze ludźmi młodemi i nie dali się jeszcze poznać swemi późniejszemi pracami w świecie naukowym.

K. był prawdziwym mólem książkowym. Z licznych jego prac zachowała trwałą wartość jego historja kościelna, którą do końca życia rozszerzał i dopełniał, a która po jego śmierci była wielokrotnie wydawana. Mówiono o Kurtzu, który miał liczną rodzinę, że przy narodzinach każdego dziecka, jako posag lub wyposażenie wydawał nowe jakieś dzieło, lub przynajmniej nowy nakład dawniejszego. Jedną z pierwszych książek, wydanych przez Kurtza, była „Biblja i Astronomja." Była to jedna z pierwszych teologicznych książek, którą przeczytałem z wielkim zajęciem. W jej końcu znajduje się dość obszerna rozprawa o aniołach, w której K. szczegóło-

wo opisuje różne rodzaje aniołów wyższych i niższych, ich kształt, budowę i czynności (zresztą w tej książce stara się autor wykazać, że wyniki badań astronomicznych i wogóle nauk przyrodzonych nie są w sprzeczności z Pismem Świętym). Jeden z medyków, zobaczywszy u mnie tę książkę, wziął ją do przejrzenia i, oddając po kilku dniach z nadmienieniem, że go traktat o aniołach wielce zajął, prosił mnie, abym mu przyniósł z bibljoteki uniwersyteckiej również jakoby dzieło Kurtza mianowicie: „Porównawczą anatomję aniołów." Przeczuwając w tej propozycji złośliwy żart i chęć skorzystania z nieświadomości fuksa, odmówiłem spełnienia tego żądania.

Przedmiotem, wykładanym przez K., była pierwiastkowo historja kościelna. Po usunięciu się jednak Keila z katedry języka i egzegezy hebrajskiej Kurtz objął tę ostatnią, ustępując swoją młodemu wówczas prof. Engelhardtowi. Kurtz i Keil różnili się w swych zapatrywaniach co do wielu kwestji, tyczących starego testamentu, co było powodem ostrej między niemi polemiki. Szczególnie zaciekły toczyli spór o pierwszy rozdział proroka Hozeasza (chodziło o mniej lub więcej realistyczne zapatrywanie się na małżeństwo proroka), tudzież o „Małżeństwo synów bożych z córkami ludzkiemi." Kurtz wypowiadał w obszernej broszurze, napisanej w tej kwestji, jak też w swej obszernej „Historji Starego Przymierza" dziwaczne zapatrywania, które jednak nie zmniejszyły jego trwałej zasługi, jako autora „Historji Kościelnej" i innych dzieł. Objąwszy katedrę po Keilu, Kurtz wykładał w drugim moim semetrze t. zw. Introdukcję t. j. historję literatury starego testamentu. Przedmiot sam przez się obszerny i trudny ze względu na negatywną krytykę, której pominąć w wykładzie nie było można, wymagał od profesora dużo pracy i poważnych studjów. Słuchacze jednak źle się Kurtzowi wypłacali, gdyż z 40-tu zapisanych na ten przedmiot uczęszczało zaledwie pięciu. Dopiero na ostatnie kolegjum dla uzyskania poświadczenia „besucht," wszyscy hurmem zjawili się, zapełniając prawie całe audytorjum. Poczciwy profesor, który jakkolwiek był w obejściu dość szorstki, lecz nikomu nie szkodził, był bardzo rozgoryczony. Głosem pełnym żalu i żółci powiedział nam, że w pocie czoła wypracowywał to kolegjum, wykłady zaś jego spotkały się z taką obojętnością. Zapisał też prawie wszystkim „wenig besucht."

Do podającego swój „belegbuch" teologa reformowanego z Litwy, kolegi M., powiedział, „Sie haben auch wenig besucht," na co tenże ze zwykłą swą flegmą odrzekł: „Ich war drei mal, Herr Professor!" Tą odpowiedzią dotknięty Kurtz zażądał powtórnie belegbuch i do danego zaświadczenia, „wenig besucht" dodał jeszcze „sehr."

K. pomimo swej całej uczoności i doskonale opracowanych wykładów, nie posiadał wcale daru słowa. Bez rękopisu nie umiał skleić 10 słów. Zawsze z uderzeniem akademickiego kwadransa wchodził szybko na katedrę, rozkładał swój skrypt i dyktował, od czasu do czasu dodając krótkie wyjaśnienia. Razu pewnego już nieco po kwadransie tym szybciej wstąpił na katedrę, by rozpocząć odczyt, gdy ku wielkiemu swemu przerażeniu, sięgnąwszy do bocznej kieszeni surduta, nie znalazł przygotowanego odczytu. Mina uczonego profesora była tragikomiczna; głosem zbolałym i błagalnym powiedział: „Panowie, poczekajcie nieco, zaraz przyniosę skrypt". Musieliśmy się wstrzymywać od głośnego śmiechu, tak przerażoną i nieszczęśliwą miał minę skonfundowany Kurtz. Dopiero po jego wyjściu wybuchnęliśmy śmiechem. Kurtz, wyleciawszy jak bomba z audytorjum, dopiero po kilkunastu minutach zdyszany i spocony rozpoczął swój wykład. Kurtz nietylko nie miał wymowy, ale i żadnych danych na administratora. Zdarzyło się jednak, że w czasie jednych wakacji letnich musiał zastępować prorektora i rektora, co go nabawiło wielu kwasów i nieprzyjemności, szczególnie ze względu na różne sprawy dyscyplinarne, związane z urzędem prorektora. Latem kąpaliśmy się w Embachu u starego Stoeckela, nadzorcy kąpielowego, do którego i Kurtz codziennie przychodził w godzinach rannych z ręcznikiem w ręku. Jakkolwiek przyprowadzanie psów do kąpieli było wzbronione, wielu jednak nie stosowało się do tego. To było powodem, że K. kazał wywiesić w kąpieli obwieszczenie, przypominające ten zakaz. Trzeba było jednak wypadku, że rozporządzenie to z podpisem Kurtza zostało zerwane, o czym przyszedłszy się kąpać sam Kurtz naocznie się przekonał.

Niezwłocznie zjawiło się w kąpieli drugie ogłoszenie, lecz tym razem za szkłem w ramkach. Ogłoszenie to oznajmiało w stanowczej formie, że w razie niestosowania się do

przepisu i najmniejszego uszkodzenia obwieszczenia kąpiel zostanie zamknięta. Powrót do Dorpatu właściwego prorektora oswobodził wkrótce Kurtza od kłopotliwych funkcji prorektorskich. O kąpielach rzecznych w Embachu nadmienię tutaj jeszcze kilka słów. Idąc kąpać się, nie mówiliśmy: „Idę do kąpieli", lecz „idę do Stoeckela". Był to, jak już nadmieniłem, nadzorca kąpieli w Embachu, urządzonych wówczas bardzo prymitywnie. Część Embachu w dole rzeki jeszcze prawie w mieście odgrodzona była od pozostałej części rzeki palikami, na brzegu zaś stał rząd budek do rozbierania się; ręcznik zwykle każdy przynosił i zabierał z sobą, lub też zostawiał go na gwoździu w większej nieco budce, będącej zarazem letnim mieszkaniem Stoeckela. Jak wiele innych rzeczy, tak i letnią kąpiel można było mieć wówczas na tak zwany „puf," czyli kredyt; można było płacić później, jak w tym razie dopiero po letnim sezonie — we wrześniu lub październiku. Ponieważ jednak większa część kąpiących się w Embachu o tym długu, który wynosił od $1^1/_2$ do 2 rb., nie pamiętała, przeto zwykle na jesieni stary St. zgłaszał się do syndyka z długim spisem dłużników, których liczba dochodziła do kilkuset. Syndyk Bejze, zwykle bardzo pobłażliwy dla studentów, bardzo się wtedy niecierpliwił, gdyż te setki dłużników z rublowemi zaległościami, przysparzały mu dużo roboty.

Kurtz jako profesor-emeryt usunął się z zajmowanej katedry, ustępując ją prof. Volckowi. Żegnaliśmy K. przed jego wyjazdem zagranicę w Handwerkervereinie obiadem. Harnack, późniejszy prof. uniwersytetu berlińskiego, przemawiał od studentów, Kurtz zaś odpowiedział w serdecznych, prostych wyrazach — mówił bodaj pierwszy raz bez „heftu". Kurtza, o którego śmierci nadszedł telegram latem 1891 roku, możnaby nazwać prawdziwym izraelitą, w którym nie było fałszu, tak był prosty i szczery w postępowaniu ze wszystkiemi.

Jednym z najwybitniejszych profesorów uniwersytetu w siódmym dziesięcioleciu o dużym wpływie na swych kolegów był Karol Schirren, prof. historji Rosji. Już sama powierzchowność Schirrena świadczyła, że ma się przed sobą niezwykłą osobistość. Wzrost średni, twarz głęboko myśląca, chociaż przypominająca nieco negra, usta grube, cera niemal cygańska, oczy

przeszywające, górna część ciała podana ku przodowi, ruchy prędkie, cała postać wyrażała silną wolę i energję.

Profesor S. w roku 1859 wysłany był kosztem uniwersytetu do Sztokholmu i do Moskwy w celach naukowych. W obu tych miastach spędził długi czas na studjach archiwalnych. Owoc tej mozolnej pracy złożył w swych znakomitych odczytach, mianych po powrocie z tej naukowej wyprawy. Przedmiotem ich była wojna północna. Byłem tak szczęśliwy, żem mógł uczęszczać przez cały semestr na te porywające prelekcje. Po każdej z nich żałowało się niewymownie, że odczyt nie trwa dłużej. Audytorjum największe w uniwersytecie było tak nabite, że część słuchaczów siedziała na oknach i stała pod ścianami. Na odczyty uczęszczali nietylko historycy, filolodzy, lecz i studenci innych wydziałów. Wielka frekwencja tych odczytów, owianych duchem wolnomyślnym, nie mogła podobać się w Petersburgu. Przyszło więc stamtąd nagle rozporządzenie, że ci tylko ze studentów mają wstęp na prelekcje prof. S., którzy się na nie formalnie zapisali, czyli, jak w Dorpacie mówiono, zabelegowali jego wykład. Rektor uniwersytetu, Samson von Himmelstiern, ogłaszając to rozporządzenie plakatem na czarnej desce, wyznaczył 3 dni czasu do zapisania się na odczyty Schirrena tym studentom, którzyby pragnęli na nie uczęszczać. Rezultat był taki, że zapisały się setki słuchaczy, którzy dotąd na wykłady jeszcze nie chodzili. S. musiał przenieść się z audytorjum do auli, t. j. wielkiej sali uniwersyteckiej, aby, o ile możności, pomieścić wszystkich słuchaczy.

Siłą przykuwającą uwagę słuchaczów był nietylko urok, jaki te odczyty roztaczały, żywe, barwne przedstawienie przedmiotu, znakomita zewnętrzna forma, porywająca wymowa, lecz również gruntowne, źródłowe opracowanie przedmiotu. Charakterystyka osób, plastyczne przedstawienie knowań i konszachtów dyplomatycznych, żywe odmalowanie wypadków, akcji wojennych, realistyczne przedstawienie tła, na którym rozwijał się ten dramat dziejowy—wszystko to było tak żywe, bezpośrednie, iż zdawało się słuchaczowi, że żyje w owych czasach, że patrzy na wypadki i ludzi. Między innemi źródłami, na które powoływał się S., była nader ważna i ciekawa korespondencja między Piotrem W. a Szeremietiewem, głów-

nodowodzącym w Liflandji przeciw Szwedom. Każdy list Piotra zawierął rozkaz: „разорить;“ zaś każda odpowiedź wodza kończyła się relacją: „разорилъ;“ i rzeczywiście osady, miasteczka znikały z powierzchni ziemi w Liflandji, lub zamieniały się w rumowiska. Mieszkańcy Dorpatu, których Piotr podejrzywał o stosunki ze Szwedami, dostali rozkaz opuszczenia miasta w ciągu dni 3-ch. Żadne prośby i błagania nie pomogły. W czasie ostrej zimy licznych mieszkańców miasta, które już tak wiele od wojny ucierpiało, wsadzono na sanie i wywieziono w głąb Rosji. Rozdzierające było nabożeństwo w kościele św. Jana, gdzie przed deportacją zgromadzili się wygnańcy, którzy nawet nie mieli możności spieniężenia lichej swej chudoby. W tym to czasie na rynkach w Pskowie i Moskwie można było kupić Czuchnę za kilka kopiejek; za kobiety czuchońskie z dziećmi płacono drożej; cena Niemców była wyższa.

Główni działacze wojny północnej, Patkul, Karol XII. August II, Piotr Wielki, byli wyrzeźbieni z niezrównaną plastyką. Ponieważ znaczna część tego dramatu odbywała się na ziemi Rzeczypospolitej, której niecny król był sprzymierzeńcem Piotra, przeto ówczesny stan Polski, jej życie w tej epoce, partje polityczne, magnaci i szlachta, intrygi Piotra, jego gospodarka na ziemiach polskich, machinacje Augusta II, wielce krajowi szkodliwe lub wprost zdradzieckie — odmalowane były ręką artysty. W dwóch popularnych odczytach o Patkulu dla szerszej publiczności przedstawił Schirren polityczne położenie Liflandji między Polską, Szwecją i Rosją. Patkul wobec ucisku Szwedów i gwałcenia praw i przywilejów kraju dążył do oderwania Liflandji od Szwecji. Czym się skończyły te dążności, wiemy z arcytragicznego końca Patkula oraz z wyniku wojny północnej. Przejmująco też przedstawił mówca stosunek Liflandji do Polski, Szwecji i Rosji. Polska mimo przywilejów, nadanych przez Zygmunta Augusta (Privilegium S. A.), ograniczała prawa te i przywileje, wbrew nim wprowadzała Jezuitów i dążyła do restytucji kościoła katolickiego. Polska w końcu upadła, chociaż rozciągała się od morza do morza. Szwecja, która prawa te gwałciła również i tak zwaną „redukcją“ kraj do ekonomicznej ruiny przywiodła — państwo w drugiej połowie XVII wieku potężne — również upa-

dła. Rosja od pokoju Nisztadskiego (1721-y) jest w posiadaniu Liflandji. Dzieje nie wypowiedziały w tej sprawie ostatecznego słowa. Pokój ten, zagwarantowany przez Piotra i jego następców, potwierdził prawa i przywileje Liflandji, które były i są naruszane. Pracą, która największy zrobiła rozgłos Schirrenowi, jest jego broszura pod tytułem: „Liefländische Antwort." Jest to odpowiedź na zarzuty i napaści Samarina na kraj Nadbaltycki. W pracy tej z wielką erudycją i werwą napisanej powołuje się S. na „Privilegium S. A." i na potwierdzenie tych praw przez Szwecję i Rosję. Prawa, które mimo uroczystych przyrzeczeń wielokrotnie były gwałcone, do niedawna były obowiązujące. Wykazuje w dalszym ciągu cywilizacyjne znaczenie kraju Nadbaltyckiego dla Rosji, jego wyjątkowy pożyteczny wpływ i stosunek do państwa. Broszura była tak śmiało, bez wszelkich ogródek napisana, że stanowisko S. jako profesora stało się niemożebnym. Kurator ówczesny, Kaiserling, jeden z najświatlejszych kuratorów, jacy kiedykolwiek byli w okręgu dorpackim, osobisty zresztą przyjaciel Schirrena, zmuszony był donieść do Petersburga o ukazaniu się tej broszury. Schirren musiał wyjechać zagranicę, gdzie wkrótce został powołany na profesora historji w Kolonji. Broszurę Schirrena, której trzeba przyznać słuszność wywodów, przekonywających z nieubłaganą logiką, nie zostawił bez odpowiedzi Samarin, który wydał niewielką książeczkę pod tytułem: „Отвѣтъ на отвѣтъ." „Tak", mówi Samarin w tej swej odpowiedzi na odpowiedź Schirrena: „dawaliście nam, Rosji, mężów stanu, prawników, doktorów, wodzów i t. d.; lecz kto przeprowadzał najdespotyczniejsze rozporządzenia, nietylko w Polsce i Litwie, ale i w samej Rosji?..." W tym miejscu broszury na trzech bitych stronnicach wymienia długi szereg znanych dobrze nam nazwisk, począwszy od Igelströma, Siewersa, Stackelberga, oprawców Polski z czasów rozbiorowych, a zakończony nazwiskami Kaufmanów, Bergów z czasów roku 63-go. Na tę „Odpowiedź" Samarina nie było już odpowiedzi Schirrena, gdyż jej być nie mogło.

Niezbyt długo po wyjeździe z Dorpatu profesora S. usunął się ze swego urzędu kurator Kaiserling. Ustąpienie jego odbyło się w arcycharakterystycznych okolicznościach. Gubernator estlandzki, Gałkin, wydał rozporządzenie do nauczy-

cieli ewangelików w Rewlu, aby w święta galowe chodzili na nabożeństwa do cerkwi. Nauczycielstwo zwróciło się telegraficznie do kuratora z zapytaniem, co ma robić? Odpowiedź brzmiała: chodzić nadal jak dotąd do kościoła ewangelickiego. Ta stanowcza odpowiedź sprawiła, że dotychczasowy usus został utrzymany. Wkrótce jednak K. otrzymał z Petersburga „bumagę," w której minister oświaty uczynił mu uwagę, że nie należy mu się mięszać w nieswoje sprawy. Rzecz jasna, że odpowiedzią na ten papier mogło być tylko żądanie dymisji.

Uroczyste było pożegnanie tego wysoko wykształconego i wielkiej zacności męża z profesorami i młodzieżą uniwersytecką. W prostych, poważnych i serdecznych słowach przemówił ustępujący kurator do studentów. Wspomniał, że starał się być pobłażliwym dla wykroczeń młodzieży, o ile te nie były w sprzeczności z etyką i wyrazem złej woli. Upominał do wystrzegania się wszelkich wykroczeń, stronienia od lekkomyślnych i zdrożnych czynów i wzywał do pracy i poważnego oddania się nauce. Konwent reprezentantów korporacji niemieckich (Chargirtenconvent) wysłał do kuratora deputację pożegnalną; myśmy również wysłali dwóch delegatów z podziękowaniem za jego dla nas życzliwość i względność. Delegacja od Polonji była tym bardziej na miejscu, że stosunek władzy w innych okręgach naukowych do młodzieży był zupełnie inny, jak w Dorpacie, gdzieśmy żadnych nie doznawali ograniczeń i ścieśnień ani przy wstępowaniu do uniwersytetu, ani w naszych studjach, ani w naszym życiu.

W roku 1860-ym i latach późniejszych profesorem języka rosyjskiego był prof. Rossberg, wielki oryginał i dziwak. Jakkolwiek w owych czasach egzamin z tego przedmiotu był tylko formalnością, obowiązywał jednak wszystkich studentów bez względu na wydział. Przed przystąpieniem do ostatecznego egzaminu każdy musiał przedstawić świadectwa ze zdanego egzaminu z języka rosyjskiego. Świadectwo to (blankiety były drukowane w języku niemieckim) wyglądało bardzo poważnie. Zawierało ono stopnie z tłumaczenia z rosyjskiego na niemiecki, z niemieckiego na rosyjski, z konwersacji ro-

syjskiej, z literatury, oraz wzmiankę, czy dany osobnik jest w stanie prowadzić korespondencję w języku państwowym. Dla uzyskania tych pięciu stopni wystarczało jednak napisanie stronicy lub co najwyżej dwóch tłumaczenia z niemieckiego na rosyjski. Egzamin zwykle odbywał się w mieszkaniu prof. R., w ciągu którego, t. j. w czasie pisania tłumaczenia szanowny egzaminator spacerował po pokoju, karmił liczne swe ptaki, których miał moc, i zabawiał piszących rozmową. Szczególnemi względami cieszyli się u niego Polacy, z których niemal każdy dostawał bardzo dobry stopień. „A Pan jesteś z Królestwa, czy z Litwy?" pytał Rossberg; „Pan musisz dobrze znać zapewne język rosyjski?" „Czyś Pan kończył gimnazjum w Warszawie czy w Wilnie?" „Pan władasz doskonale językiem!"—W czasie tej rozmowy wypełniał profesor wszystkie rubryki blankietu bardzo dobremi stopniami. Trzeba jednak nadmienić, że w porównaniu z Niemcami rzeczywiście daleko lepiej znaliśmy język rosyjski, nie wyłączając i tych z nas, którzy pochodzili z Królestwa.

Odczyty prof. R. były sławne tym, że się bardzo rzadko odbywały. Na początku każdego semestru stale rozpoczynał R. swe prelekcje wykładami o braciach Cyrylu i Metodym— apostołach słowian. Po 2-im lub 3-im odczycie oświadczał, że czuje się chorym (był rzeczywiście niedomagający) i że zapewne 2 lub 3 tygodnie nie będzie mógł wykładać. Po upływie tego czasu wykład zaczynał się znowu od początku, znów od Cyryla i Metodego. Po kilku odczytach następowała znów dłuższa pauza, co się powtarzało do końca semestru. Profesor R. był oryginalną postacią, znaną niemal wszystkim mieszkańcom starego Dorpatu. Wzrostu dość wysokiego, nadzwyczaj chudy, o policzkach zapadłych, cery żółtej. Samym już oryginalnym ubraniem wyróżniał się od innych i zwracał mimowoli uwagę na siebie. Nosił jakiś odwieczny kaszkiet z ogromnym daszkiem, obwijał się w bardzo szeroką, czarną algierkę, przypominającą damską rotundę. Na przedzie przytrzymywał ją prawą ręką, w której dzierżył duży, gruby kij. Nogi tkwiły w olbrzymich filcowych kaloszach. Szczególnie zimą był R. przedmiotem obserwacji przechodniów. Postać ta dziwna kroczyła środkiem ulicy, szczególnie w czasie śniegów. Kij, trzymany w ręku, służył do usuwania wszystkiego, co leżało na

śniegu, na boki ulicy. Konie i stróże powinni byli czuć wdzięczność dla R. za dbałość o porządek i czystość. Pomimo wielu dziwactw i śmieszności Rossberg, jako człowiek o wysokim wykształceniu i bezstronności, był ogólnie poważany. Najlepiej charakteryzuje tego niezwykłej miary dziwaka - hipochondryka fakt następujący. Przed naznaczeniem Wittego na kuratora okręgu warszawskiego, w samych początkach rusyfikacji szkół w Kr. Polskim zaproponowano Rossbergowi objęcie w Warszawie urzędu kuratora. R. odmówił stanowczo. przyjęcia tej godności, tłumacząc się przed władzą słabym swym zdrowiem; główną jednak przyczyną odmowy było to, jak sam mówił, że nie chciał przyłożyć swej ręki do rozpoczętej następnie przez Wittego, a tak bezwzględnie i brutalnie dokonanej przez Apuchtina roboty. W nawiasie wspominam, że Witte na czas pewien przed swoim kuratorstwem w Warszawie był młodszym nauczycielem języka rosyjskiego w czteroklasowej szkole realnej w Dorpacie.

Następcami Rossberga na katedrze języka rosyjskiego byli Kotlarewski i Wiskowatow. Pierwszy poprzednio był profesorem w Kijowie, skąd dla swych wolnomyślnych przekonań był usunięty i pozbawiony prawa zajmowania gdziekolwiek katedry, z wyjątkiem jednego Dorpatu. Tutaj K. przebywał tylko czas krótki: stan jego zdrowia zmusił go do złożenia profesury. W czasie jednak swej krótkiej działalności potrafił zjednać sobie sympatję tak studentów, jak i profesorów.

Po nim zajął katedrę Wiskowatow i był profesorem aż do rozpoczęcia radykalnej rusyfikacji uniwersytetu. Zostawił po sobie pamięć względnego i wyrozumiałego egzaminatora, wymagającego wprawdzie znacznie więcej, niż Rossberg, lecz nie szkodzącego nikomu. Jak nieraz przy egzaminach, tak w szczególności przy egzaminie z języka rosyjskiego nie brakowało zajść komicznych. Dwaj studenci-żydzi z Litwy, nazywający siebie „mi russkije", zg.osili się do egzaminu do Wiskowatowa. W. był jeszcze w negliżu i spytał się przez drzwi swego gabinetu: „Ilu się panów zgłasza i z jakiego wydziału?" Usłyszawszy odpowiedź: „mi, dwie farmacewta" — zawołał, nie otwierając drzwi: „Zgłoście się panowie za pół roku". Profesor W. odznaczał się w obejściu gładkością form, a w stosunku do reform rusyfikacyjnych — dyplomatyzowa-

niem. Z jego odczytów o literaturze rosyjskiej zajmujące były głównie odczyty o „Słowianofilstwie“ i o „Zapadnikach“. Wszyscy studenci prawosławni, których w siódmym dziesięcioleciu było zaledwie kilkunastu, zobowiązani byli słuchać wykładu religji u tak zwanego „zwyczajnego profesora“ teologji prawosławnej. Profesorem tym był Aleksiejew, nie „diejatiel“, spokojny, nikomu nie szkodzący, nie uczony wprawdzie, lecz człowiek prawy i ogólnie szanowany. Miał on bardzo nielicznych słuchaczy, którzy albo wcale albo też bardzo rzadko chodzili na jego wykłady. Ta jednak okoliczność nie wstrzymywała Aleksiejewa od przychodzenia do uniwersytetu. Z uderzeniem uniwersyteckiego kwadransa wchodził do audytorjum, zasiadał na katedrze, rozkładał swój skrypt, a zastawszy pustą salę, odwracał tyle stronnic, ile byłby przeczytał w ciągu godziny, a posiedziawszy chwilę, z powagą wychodził z audytorjum. Pewien fakt najlepiej charakteryzuje protojereja Aleksiejewa: jednemu Polakowi - katolikowi, który nie był studentem, ani ksiądz, ani pastor nie chcieli dać ślubu; wobec tej odmowy zainteresowany zagroził przejściem na prawosławie. Trzeba było koniecznie rozmówić się z batiuszką Aleksiejewem i sprawę mu wyjaśnić. Ten, dowiedziawszy się o pobudkach, skłaniających do zmiany wyznania, o całej sprawie nie chciał nic wiedzieć. Aleksiejew miał dość liczną rodzinę: jeden z dwóch synów był korporantem estońskim.

Do oryginalnych zwyczajów na wydziale medycznym z dawnych lat zachowanych, które jeszcze po roku 60-ym zastałem w Dorpacie, należy posyłanie pewnych zapasów domowych w naturze dziekanowi wydziału medycznego i ugaszczania oponentów i kolegów przed i po doktoryzacji.

Egzamin odbywał się wówczas w mieszkaniu dziekana co czwartek, gdzie zbierali się członkowie wydziału medycznego. Egzamin trwał od 3-ej do 9-ej, a nawet i dłużej. W czasie egzaminowania roznosiła służba herbatę, kawę; papierosy i cygara stały na stolikach. Tym ugaszczaniem zdających i egzaminatorów daje się tłumaczyć zwyczaj przysyłania dziekanowi przez zdającego egzamin różnych zapasów, jak herbata, kawa, czekolada, cukier,. kilka butelek wina, cygara i papierosy.

Znany właściciel cukierni, Luchsinger (jeden z jego potomków ma jeszcze obecnie cukiernię w Dorpacie), załatwiał

dostarczanie tych materjałów. Naturalnie, że procent ten, do którego według zwyczaju każdy był obowiązany, nie miał żadnego wpływu na rezultat egzaminu,

Drugim zabytkiem, przypominającym pierwsze lata uniwersytetu, był zwyczaj urządzania przed doktoryzacją w pokoiku portjera śniadania dla dziekana, oponentów i zaproszonych kolegów, zamawianego również w cukierni Luchsingera. Składało się z różnych przekąsek, z małej ilości wódki i porteru. Trwało bardzo krótko i odbywało się na stojąco. Bezpośrednio po odbytej doktoryzacji zbierano się raz jeszcze w tym pokoiku, (w którym przy znacznej liczbie obecnych formalnie nie można się było obrócić), dla wypicia zdrowia nowokreowanego doktora. Prócz kilku butelek wina i tortów nieodzowną była „piramida“, kunsztownie zbudowana przez L. Punktem kulminacyjnym tego wesołego zebrania po doktoryzacji było odłamanie przez jednego z profesorów listka z piramidy. Wówczas, jakby na dany znak, nagle wyciągało się kilkadziesiąt rąk ku piramidzie, która w okamgnieniu znikała. Już w oczekiwaniu tego błyskawicznego faktu trzeba było wstrzymywać się od śmiechu; prawdę mówiąc, był to widok dość nieestetyczny,

Profesor J. von Oettingen, zostawszy dziekanem wydziału medycznego, zniósł i przysyłanie zapasów dziekanowi i ugaszczanie przed i po doktoryzacji; stało się to chyba tylko ku zmartwieniu starego Luchsingera, który odczuł bez wątpienia dotkliwie tę zmianę na swej kieszeni.

Cukiernia Luchsingera i jej właściciel był ogólnie znany w mieście. Stałym gościem u niego był prof. Adelman, chirurg, który codziennie w oznaczonej godzinie, wracając z odczytu czy też z kliniki, zachodził na gazety, czarną kawę lub sławny luchsingerowski „Glühwein“ (czerwone wino, gotowane z różnemi korzeniami). Stary L. przy całej swej usłużności i wyszukanej grzeczności nie zapominał o finansowym prosperowaniu swego zakładu. Wydając resztę, jeśli chodziło o jakąś małą kwotę, często zamiast miedziaków dawał kilka cukierków w papierze. Prof. Adelman zauważył, że takie wydawanie reszty zbyt często się powtarzało, postanowił więc w oryginalny sposób ukarać pomysłowego L. Zbierał przez dłuższy czas owe „reszty“ w postaci cukierków i składał do

dużego papierowego worka. Uzbierawszy w ten sposób pokaźniejszą sumę, zapłacił L-wi jakiś rachunek za świąteczne zamówienie — cukierkami od niego otrzymanemi, tłumacząc się, że nie ma grubszych pieniędzy, tylko drobne, od niego otrzymane.

Niezwykłą ozdobą cukierni Luchsingera, która dawniej mieściła się na Küterstrasse w lokalu, gdzie następnie była księgarnia Karowa, były pyszne, w wielkim formacie miedzioryty, przedstawiające epizody z wojen napoleońskich. Miedzioryty te w liczbie kilkunastu wielką posiadały wartość. L. pomimo wysokiej ofiarowanej mu ceny nie chciał się ich pozbyć, słusznie uważając je za ozdobę swego zakładu. Jeszcze przed dwoma laty widziałem je na ścianach czytelni w cukierni L.

Jednym ze środków kształcenia biegłych medyków, którzy w niemałej mierze przyczyniali się do utrzymania sławy dawnego uniwersytetu, była na wydziale medycznym instytucja tak zwanej „polikliniki." Każdy z kończących studentów medycyny mógł, a raczej musiał z niej korzystać. Poliklinika przysparzała dużo materjału do praktyki, oraz wdrażała przyszłych lekarzy do samodzielności. Całe miasto podzielone było pod względem poliklinicznym na pewne rewiry, przyczym każdy kończący medyk miał przez semestr lub dwa jeden taki rewir. Każdy chory, a raczej jego najbliżsi, którzy pragnęli mieć pomoc lekarską — uniwersytecką, zawiadamiali o wypadku choroby klinikę, podając ulicę i numer domu. W razach poważnej choroby lub w wątpliwych wypadkach, student, t. zw. poliklinikier, zawiadamiał asystenta klinicznego, zwykle skończonego doktora, lub samego profesora, z którym udawał się w razie potrzeby do chorego. Chorzy otrzymywali bezpłatnie lekarstwa z apteki klinicznej. Poliklinikierzy mogli też w lżejszych wypadkach przyjmować chorych u siebie ambulatoryjnie.

Jeden z takich kończących medyków, student Wr., w wyborze chorych przekładał pacjentki nad pacjentów i licznie je u siebie przyjmował. Snadź młody eskulap starał się leczyć, przedewszystkim wpływając na humor i psychiczne usposo-

bienie chorego, rozweselając i bawiąc pacjentów. Konsultacje te często przeciągały się do późna wśród głośnych rozmów, śpiewów i tym podobnych oznak wesołości. Ta metoda leczenia jednak nie przypadła do smaku sąsiadom, którzy często skarżyli się przed gospodarzem na zbyt głośne zachowanie się studenta Wr. Ponieważ prośby i zażalenia gospodarza nie odnosiły pożądanego skutku, przeto ostatecznie sprawa oparła się o prorektora. Wr. tłumaczył się, że jako kończący medyk ma prawo leczenia poliklinicznie i przyjmowania u siebie pacjentów. Prorektor zgodził się w zupełności z tym wyjaśnieniem, zwrócił jednak uwagę oskarżonego na zakłócanie spokoju domowego, że wolno mu leczyć ambulatoryjnie t. j. przychodzących pacjentów, nie zaś stacyjnie, t. j. takich, którzy stale dla leczenia życzą sobie przebywać u niego; dodał nadto, że niezastosowanie się do tej uwagi pociągnie za sobą niemiłe skutki. Wobec tego kolega Wr. zmuszony był zmienić swój system leczenia i ograniczyć się u siebie w domu ściśle na ambulatorjum.

Z dawnych czasów, kiedy łacina jako język wykładowy na uniwersytetach grała jeszcze bardzo ważną rolę, pozostało w siódmym dziesięcioleciu w Dorpacie na wydziale medycznym pisanie clausury w języku łacińskim, jak również rozprawy doktorskiej i jej obrony, w tym jeszcze czasie nawet ustny egzamin z anatomji odbywał się po łacinie. Filarem, podtrzymującym te przeżytki, był profesor Bidder, doskonale władający tym językiem. Stopniowo jednak łacina została zupełnie usunięta ku wielkiej radości młodych medyków, wśród których jej znajomość coraz bardziej szwankowała. Pisanie clausur— odbywało się ono w auli w obecności dziekana—było połączone z dużym kłopotem. Przedewszystkim trzeba było otrzymany temat dostarczyć kolegom nazewnątrz auli, z których jedni pisali po niemiecku, drudzy zaś tłumaczyli na łacinę. Ta robota odbywała się w jednym z mieszkań studenckich, w pobliżu uniwersytetu. Temat albo przesuwano pod drzwiami auli, albo przez dziurkę od klucza, lub wyrzucano oknem, albo spuszczano przez lufcik na cienkim sznurku. Delegowany ad hoc fuks chwytał kartkę z tematem i biegł z nim do oczekujących starszych medyków, którzy z gorączkowym pośpiechem brali się do pracy. Ponieważ jednak studenci z małemi wyjątkami nie dowierzali swej łacinie, więc w mieszkaniu znaj-

dował się zwykle zamówiony z góry Schoenrock, doskonały łacinnik, który taką miał wprawę w pisaniu clausur, że za dyktandem w języku niemieckim pisał odrazu doskonałą łaciną. Tak skoncypowana clausura wędrowała znów tą samą drogą do auli, gdzie była z niepokojem oczekiwana. Profesorowie wiedzieli o tych tragikomicznych sztuczkach, lecz patrzyli na nie przez szpary, czując sami niewłaściwość tego przeżytku, utrzymywanego tylko powagą prof. B.—Ze zniesieniem onego medycyna nic nie straciła; stracił jednak dużo Schoenrock, który dobrze kazał sobie płacić za clausury, tłumaczenie rozpraw i tez. Źródłem znacznego dochodu Schoenrocka były również lekcje łaciny i greckiego, udzielane t. zw. mułom, t. j. tym, którzy przygotowywali się do egzaminu wstępnego do uniwersytetu. Egzamin wstępny trzeba było za dawnych czasów składać przed profesorami uniwersytetu. S. miał dar i wprawę szybkiego przyspasabiania do egzaminu. Miał też bardzo dużo lekcji i pobierał dość wysokie honorarja. S. należał do osobników znanych całemu miastu. O ile mu czas pozwalał, snuł się wolnym krokiem po ulicach z filuternym uśmiechem na twarzy, dążąc na krańce miasta, skąd trakty pocztowe wychodziły ku Rydze, Pskowowi i t. d.; tam przystawał na czas dłuższy, czekając na wyjazd lub przyjazd bryczek lub powozów, zaprzężonych końmi pocztowemi. Konie te były, prócz łaciny i greckiego, jego specjalnością i słabą stroną. Znał wszystkie, jakie tylko były w Dorpacie i na sąsiednich najbliższych stacjach. Każdy z nich miał swą nazwę, każdy był przez Schoenrocka z radością witany, twarz jego rozpromieniała się, jak na widok dobrego znajomego. S. prowadził samotne, starokawalerskie życie, więc może to oryginalne upodobanie, ten sport sui generis zapełniał mu choć w części wewnętrzną pustkę.

Pewne ulice i domy były uprzywilejowaną, tradycyjnie ulubioną siedzibą studentów Polaków. Pewne mieszkania przechodziły z rąk do rąk, z pokolenia na pokolenie; wyjeżdżający z Dorpatu odstępowali je tym, którzy jeszcze nie ukończyli studjów. Do takich ulic i mieszkań w dawnych czasach należała między innemi Steinstrasse, a na niej dom stolarza

Webera i dom hr. d'Orurke; następnie Marktstrasse — dwa domki młodej Chmielkowej; róg Aleksander i Stappelstrasse— dom starej Chmielkowej. Do mieszkań, przez długi ciąg lat przez Polaków studentów zamieszkiwanych, zaliczyć należy jeszcze dom wdowy Umblja na Marktstrasse, dom Taunowej — róg Markt i Stappelstrasse, dom pp. Lenc na Mühlenstrasse, który wyróżniał się pięknym nader widokiem na ruiny tumu, zagłębie tumskie i przepiękny park tumski. Z mieszkań, które sam zajmowałem, najmilsze mi pozostało wspomnienie z domu Schlittera, róg Jacobs i Breitestrasse. Z mieszkaniem tym łączyło się wspomnienie dłuższej usilnej pracy i zdawania egzaminów; wreszcie nie mogę pominąć domu pani Christiani na Alleestrasse. — Gospodyni Chmielkowa—matka, starowierka (staruszka prawie 90-cioletnia), była bardzo względna i wyrozumiała dla swych lokatorów—studentów, niewyczerpanej cierpliwości w oczekiwaniu na odebranie komornego.

Co kilka tygodni zjawiała się na poddaszu swego domu, gdzie się mieściły 2 pojedyńcze pokoiki, nie z żądaniem, lecz nieśmiałą prośbą o zapłacenie zaległego komornego, zwykle jeszcze z ubiegłego semestru. Zaczynała zawsze od przeproszeń, że nachodzi swego lokatora, a kończyła prośbą o kilka rubli czynszu.—„Mileńkij barin, dajtie nieskolko rublej; ja uże skoro umru". Mówiono, że pieniądze za mieszkanie, wpływające bardzo zresztą nieregularnie, składała na swój pogrzeb. W lat kilka po jej śmierci sam mieszkałem w tym domu przez czas letnich ferji. Pawiński, o którym już na innym miejscu wspomniałem, upamiętnił to mieszkanie kilkakrotną swą bytnością. Przychodził czasami ze „Starożytnościami Rzymskiemi" Mommsena. Pawiński przygotowywał się wówczas do ostatniego egzaminu, cierpiąc zaś na oczy, nie mógł sam wiele czytać i musiał się wyręczać kolegami.

W trzecim moim semestrze wniosłem się na Alejkę do p. Christiani. Posesja ta była już za miastem, naprzeciwko cmentarza estońskiego, od którego przedzielało ją szerokie pole. Dzisiaj pole to jest w zupełności zabudowane, stoi na nim nowa część miasta. W mniejszym parterowym domku w posesji p. Ch. mieszkało dwóch medyków (L. i S), pracujących do rigorosum; w większym na górze—dwóch starszych teolo-

gów, a na dole moja osobistość. Mieszkania u pani Ch. miały wiele zalet dla kończących studja i pracujących do ostatecznego egzaminu. Mieszkało się tam, jak na wsi, miało się czyste powietrze i spokój. Dość znaczna odległość od centrum miasta wstrzymywała od częstego wychodzenia i zabezpieczała od zbyt częstych wizyt kolegów. Mieszkania jakby stworzone do cichej, spokojnej pracy. Dla studenta jednak, słuchającego jeszcze wykładów w uniwersytecie, a tymbardziej mającego kliniki, mieszkanie było bardzo niedogodne. Mając wykłady przed i po południu, traciło się za dużo czasu na chodzenie. Szczególniej zimą, przy krótkich dniach i dużych zaspach śnieżnych, przejście do miasta i powrót były prawdziwą przeprawą. W pokoju medyków, największym ze wszystkich, odbywały się czwartkowe zebrania koleżeńskie; w tymże mieszkaniu w r. 1861-ym odbyło się zebranie studentów Polaków dla wysłania deputacji do Tow. Rolniczego.

Mieszkając tak daleko, stołowaliśmy się w domu, a żywicielką była nasza gospodyni, która za rb. 5 od osoby dawała nam skromne co do wyboru potraw, lecz czysto przygotowane, prawdziwie domowe gospodarskie jedzenie, przytym tak obficie, żeśmy wszystkiego często zmóc nie mogli. Po ustawieniu 5-ciu talerzy i innych przyborów wnosiła Lena, służąca gospodyni, ospowata, zwykle zagniewana, złośliwa Czuchonka, dwie ogromne miski, pełne dymiących się wonnych potraw. Każdy dzień miał swoje uprzywilejowane dania. W jednym z nich np. zjawiała się w jednej z mis potrawka cielęca z kartoflami i długim, zawiesistym sosem, a w drugiej kasza, pokryta warstwą świeżego, rozpuszczonego masła. Pomimo naszych zdrowych wówczas żołądków i doskonałych apetytów nieraz nie mogliśmy zjeść wszystkiego. Z tego kłopotu ratował nas wówczas kolega W.: popuszczał pasa i z poświęceniem zjadał wszystko, wybawiając nas od podejrzeń gospodyni, że nam obiady nie smakują lub że grymasimy. Za ten dobry uczynek nazwaliśmy kolegę W. poświętliwym.

W lat kilka później p. Christiani, sprzedawszy swoją posiadłość, wyjechała z Dorpatu. W naszej dawnej rezydencji urządzono następnie restaurację: „Grünertannenbaum" t. zw. dla kilku jodeł, rosnących przed domem. Wkrótce po jej otwarciu posesja ta spłonęła prawie doszczętnie, przynajmniej

mniejszy domek, z którym łączyło się niejedno miłe wspomnienie. Większy dom odbudowano i restaurację przywrócono. Była ona rodzajem warszawskiego Marcelina — zakład gastronomiczny, uczęszczany głównie w bardzo późnej porze dnia, raczej w nocy. W tym lokalu, gdy Polonja jeszcze w nim zamieszkiwała, odbył się z małemi przeszkodami obchód imieninowy jednego z kolegów. Zgromadziło nas się wieczorem przeszło 30, co było przeciw przepisom, gdyż bez zawiadomienia władzy uniwersyteckiej nie wolno było za kuratora Bradtkego zbierać się studentom w liczbie, przechodzącej 10-ciu. W tym czasie, jeśli zebranie liczyło więcej jak 10-ciu, należało zawiadomić o nim pedeli; jeśli przenosiło 20-tu, trzeba było mieć pozwolenie prorektora, przenoszące zaś 30-tu wymagało pozwolenia kuratora. Około godziny 11-ej wieczorem, gdy wśród najlepszej zabawy zapasy nasze koniaku, rumu i medocu, cytryn i cukru zaczęły się wyczerpywać, zostałem jako fuks pierwszosemestrowy wydelegowany wraz z kolegą P. do miasta dla sprowadzenia świeżych zapasów. Zbliżywszy się do furtki, która była na szczęście zamknięta, spostrzegliśmy dwóch pedeli, którzy zwietrzyli liczniejsze zebranie i od dłuższego już czasu krążyli koło naszej siedziby. Niezwłocznie zawiadomiliśmy o niespodziewanej wizycie kolegów, którzy zaraz rozeszli się do 3-ch mieszkań, znajdujących się w dwóch przyległych domach, połączonych z sobą krytym gankiem, tak, że w każdym z mieszkań było po 10 studentów t. j. liczba, nie wykraczająca przeciw kodeksowi. Po przeprowadzeniu tych wszystkich ostrożności zostali pedele wpuszczeni, żądali oni już przedtym w imieniu prawa (im Namen des Gesetzes) otworzenia drzwi. Nie znalazłszy w żadnym z mieszkań więcej jak 10-ciu, z niedowierzającym kiwaniem głów i chytrym uśmiechem opuścili nas nasi opiekunowie, któremi byli pedele Wissor i Reinberg. Po ich wyjściu zeszliśmy się na nowo w jednym mieszkaniu; to małe konieczne intermezzo dodało nam tylko bodźca do dalszego posiedzenia i wspólnej zabawy.

Mieszkania studenckie, szczególniej małe, a tym samym tańsze, o jednym pokoiku często na poddaszu, były zwykle

czyste i schludne i miały tę dogodność, że wszelkie wygody były niedaleko. Kolega C. mieszkał w małym pokoiku na poddaszu, w posesji narożnej przy zbiegu ulic Botanische i Erbsenstrasse. Dom ten nie mógł się pochlubić porządkiem i czystością, a o jakiejkolwiek wygodzie nie było tam mowy. Ponieważ zima w owym roku była bardzo ostra, spacery więc z poddasza na dół i przez podwórze były niemożliwe i zmusiły C. do wielokrotnego żądania od gospodyni domu pewnych zarządzeń pod strychem obok swego pokoiku. Ta jednak, znana Herod kobieta, była głucha na słuszne żądania. Ale trafiła kosa na kamień. Wiadomo zresztą, że potrzeba i bieda czynią niekiedy człowieka wynalazczym. Prawda ta i w tym razie została stwierdzona. Od chwili, odkąd na jakiekolwiek udogodnienie ze strony gospodyni nie można było liczyć, spadały na ogród z okna pokoiku papierowe paczki różnej wielkości i kształtu. Dopóki trwały mrozy i śnieg zalegał ogród, wszystko było w porządku; zmieniła się jednak postać rzeczy z nastaniem ciepła, ze zniknięciem śniegu i rozpoczęciu robót w ogrodach. Po oschnięciu dróg i ścieżek, korzystając z ciepłego dnia, gospodyni wyszła do ogrodu, aby zobaczyć, jak przezimował, i aby w blasku słonecznym użyć przechadzki. Uwaga jej wkrótce skierowała się jednak na liczne torebki, paczki i zawiniątka, wiszące na gałęziach jabłoni, grusz i innych drzew, lub wstydliwie ukrytych pośród krzaków agrestu, porzeczek, jaśminu i bzu. Z niemałym zdziwieniem i ciekawością przystąpiła też do bliższego obejrzenia tego zjawiska. Bliższe zbadanie paczek przekonało wkrótce gospodynię o ich zawartości i pochodzeniu. Wielce rozgniewana tym niespodziewanym odkryciem, bezzwłocznie zaskarżyła swego lokatora z poddasza do prorektora. Ten jednak, wysłuchawszy uważnie obu stron, przyszedł do przekonania, że właściwie stroną oskarżoną powinna być właścicielka domu, nie dbając o niezbędne wygody swych lokatorów, i kazał studentowi C. zapłacić tylko dwa ruble dla usunięcia z drzew i krzewów tych sui generis z domowych owoców, które w cieple słonecznym ulegały rozkładowi i wydawały silną, przejmującą woń.

Po tym procesie chciałbym wspomnieć o niektórych żartach, dowcipach, wybrykach i kawałkach studenckich.

Zaczynam od dwóch zakładów. Student W. z grodzieńskiego założył się z paru kolegami, że przejdzie z placu Barclay'a do kamiennego mostu i z powrotem, między 1-ą a 2-ą w południe tylko w kalesonach, przewiesiwszy spodnie przez ramię, i że go nikt nie zaczepi i nie przeszkodzi mu w odbyciu tego spaceru. I rzeczywiście: na stopniach pomnika Barclay'a zdjął spodnie i, przerzuciwszy je przez plecy, przeszedł przez Kühnstrasse i główny rynek do mostu, skąd wrócił do pomnika, przy którym znów się ubrał. Białe kalesony można było uważać za jasne spodnie, nadto cała wówczas policja miejska składała się z 5-ciu czy 6-ciu policjantów, z których czterech w południe szło na obiad, jeden zaś dyżurował w gmachu policji. Pedele także w tej godzinie w czasie ferji, kiedy się właśnie zakład rozgrywał, oddawali się wywczasowi. Wygranie więc tego oryginalnego zakładu było niezbyt trudne.

Drugi zakład tegoż kolegi W. skończył się również wygraną, chociaż pociągnął za sobą niemiłe następstwa. Chodziło o pocałowanie panny W., krewnej i narzeczonej jednego z profesorów. Na ulicy w upatrzonym miejscu student W. złożył na licu wcale przystojnej panny pocałunek; wygrał więc zakład, lecz za ten niewczesny wybryk został na 2 czy też 3 semestry wykluczony z uniwersytetu, z pozbawieniem prawa przebywania w ciągu tego czasu w Dorpacie. Rok przeszło mieszkał w Werro, w małym miasteczku o 60 wiorst odległym od Dorpatu. Tu zaopatrywali go koledzy w „hefty", książki, a czasem nawet odwiedzali go. W drugim moim semestrze W. powrócił ze swego wygnania, złożył z powodzeniem egzamin i stał się następnie gorliwym gospodarzem wiejskim.

Innym procesem, wytoczonym kilku kolegom, była skarga o rzekome znieważenie bóżnicy. Koledzy W-f., S. i P. z Królestwa, wracając z jakiejś późnej wyprawki zamiejskiej, przechodzili wczesnym rankiem koło otwartej bóżnicy, do której też wstąpili. Być może, że zachowanie ich nie podobało się niektórym izraelitom, gdyż za wychodzącemi rzuciło się kilkunastu z nich, wygrażając pięściami i głośno a dobitnie wyrażając swe niezadowolenie i gniew. Położenie trzech wobec kilkunastu zaperzonych było nawet niebezpieczne; bóżnica znajdowała się na samym końcu miasta niedaleko pola, co pogarszało sytuację. Atakowani spostrzegli na szczęście stojący w bli-

skości próżny wóz z browaru Schramma. Kolega S. małego wprawdzie wzrostu, suchy i zawiędły z pozoru, lecz odznaczający się niezwykłą siłą, wyciągnął z wozu dyszel, który uchwycony przez wszystkich trzech rejterujących stał się pożądaną bronią wobec nacierających starozakonnych. Pod osłoną dyszla udało im się dokonać szczęśliwie rejterady. Zaczął się komiczny spacer naprzód i wtył: skoro żydzi zanadto się zbliżali, wówczas napastowani nacierali tą białą bronią, a cały tłum żydów uciekał w stronę synagogi, z czego korzystając, studenci cofali się ku więcej zaludnionej stronie miasta, gdzie mogli się spodziewać sukursu kolegów. Żydzi zaś, widząc odwrót, znów śmielej nacierali, wobec czego następował ponowny atak dyszlem. Taki taniec powtarzał się wielokrotnie. W końcu żydzi już w ruchliwszej dzielnicy zaniechali dalszej napaści i obrali mniej niebezpieczny sposób pomszczenia mniemanego najścia bóżnicy. Zaskarżyli owych 3-ch kolegów do policmajstra o zakłócenie nabożeństwa i poranienie kilku swych współwyznawców, żądając 600 rb. odszkodowania. Rzekome rany okazały się zmyślonemi, a profanacji nabożeństwa wcale nie było. Stwierdzono tylko, że trzej owi koledzy za głośno rozmawiali w synagodze. Upierającym się żydom przy żądaniu tak znacznej sumy zagroził policmajster wytoczeniem ze swej strony procesu o wyzysk. Cała sprawa skończyła się ostatecznie ofiarowaniem drobnej sumy na bóżnicę.

Paru kolegów postanowiło zażartować z dwóch drugich, o których mówiono, że są zabobonni i lękają się strachów. Ci ostatni, byli to P. i B., królewiacy, mieszkający razem w domu Bandelier nad Embachem, gdzie był duży skład mebli. Koledzy, urządzający żart, upewniwszy się, że P. i B. spędzą cały wieczór środowy w Mussie Akademickiej, zabrali im z palta klucz od ich mieszkania, które też naprędce do niepoznania zmienili. Wszystkie meble poprzestawiali, łóżka ustawili na środku pokoju i przykryli białemi prześcieradłami, na których, paląc papier, umieścili duże czarne krzyże. Szafa, komoda, stoły — wszystko stanęło w innych miejscach. Tak urządziwszy mieszkanie, wrócili do Mussy i włożyli klucz do tej kieszeni paltota, z której go wyjęli, i cały wieczór dla niepoznaki nie rozłączali się z P. i B. Ci, nic nie podejrzewając, wrócili późno do domu.

Wielkie było ich zdziwienie, skoro w ciemności odrazu natknęli się na jakiś przedmiot, którego się w tym miejscu nie spodziewali. Zdziwienie zaś ich zmieniło się wkrótce w przerażenie, gdy zobaczyli łóżka z tajemniczemi krzyżami i wszystkie meble w największym nieładzie. P. i B. taka opanowała trwoga, że z pośpiechem opuścili mieszkanie, wracając do niego dopiero nazajutrz w południe. Obaj przez długi czas nie mogli się dowiedzieć, kto im urządził tę niespodziankę; czy ich jednak ten żart wyleczył z zabonności, jest więcej niż wątpliwe. P. studjował chemję i w roku 97-ym umarł w Warszawie na chorobę sercową, jako wicedyrektor cukrowni na Wołyniu.

Zakładem, w którym często zbierała się Polonja, była restauracja Mossa, na rogu ulicy Markt i Neumarktstrasse, od wielu lat stamknajpa korporacji Estonów. Mieściła się ona przedtym naprzeciwko domu gościnnego (Kaufhofu); i tu i tam mieliśmy swój własny osobny pokój, gdzieśmy się schodzili. Między 9-ą a 10-ą wieczorem kto chciał się zobaczyć z kolegami, pogadać, rozerwać się i odświeżyć gardło paru szklankami schramowskiego piwa, szedł do Mossa, pewny, że zastanie kogoś z kolegów. Na jedno z takich wieczornych zebrań, wyjątkowo liczne, przyszedł kolega W-t., przyprowadzając z sobą studenta liwona, bar. B. Po obu widać było, że nie byli naczczo, a szczególniej B. był dość sfatygowany. Do B. jako gościa często przepijano, starając się, aby nie czuł wśród nas pragnienia. Gdyśmy się po 11-ej rozchodzili—pedele z knajp o tej godzinie w imieniu prawa wypraszali wszystkich studentów—B. był mocno szarpnięty. W. odwiózł go do domu i chciał mu pomóc przy rozbieraniu się; B. jednak zapewniał, że sam da sobie radę. Zdawało się, że na tym się wszystko skończyło i W., nic złego nie przeczuwając, udał się do swego mieszkania. B. jednak, zostawiony sobie, zdjąwszy z siebie palto i marynarkę, porwał ze ściany szablę i rewolwer i, jak stał, wyszedł na ulicę. Zimno było dokuczliwe; wiał silny, przejmujący wiatr i drobny deszcz przesiąkał wszystko — był to koniec października. B., dopadłszy dorożki, kazał się wieźć, sam nie wiedząc dokąd, uprzyjemniając sobie tylko od czasu do czasu jazdę wystrzałami z rewolweru. Tak dojechał z Breitna Marktstrasse, na której zobaczył w jednym parterowym domku rzęsiście oświetlone okno; odbywało się tam wesele ży-

dowskie. B. dał przedewszystkiem do okna dwa strzały, a na stępnie, wpadłszy do mieszkania, z którego w mgnieniu oka godujący pierzchnęli, zaczął szablą dziurawić meble i sprzęty, szukając ukrytych. Wystrzały jednak, dawane podczas jazdy, zbudziły czujność policji, która prócz pościgu za niepoczytalnym zawiadomiła niezwłocznie ojca o tym, co się dzieje.

B., przytrzymany nareszcie w swej rycerskiej wyprawie przez własnego ojca, nazajutrz sam się oskarżył przed władzą uniwersytecką. Na szczęście nikt nie był raniony; żydzi za sprawiony im przestrach dali się bez trudności ułagodzić, student B. jednakże za nielada zakłócenie porządku publicznego został wykreślony z listy na jeden, czy też dwa semestry z uniwersytetu, z prawem jednakże powtórnego zapisania się.

Student X., korporant niemiecki, wracał późnym bardzo wieczorem do domu w stanie mocno nietrzeźwym. Zapomniawszy klucza od bramy, musiał przedostawać się przez płot, co mu się też szczęśliwie udało. To jednak było fatalne, że przelazł przez płot nie od domu, w którym mieszkał, lecz przez ogrodzenie, otaczające posesję prof. Mühlau. Znalazłszy się na podwórzu, kroczył śmiało dalej, a natrafiwszy na studnię, wpadł do niej, zatrzymując się na kuble, wiszącym w głębi nad samą wodą. Szczęściem nie odniósł żadnego szwanku; siedzenie jednak, czy też leżenie na wiadrze nie musiało być zbyt wygodne. Profesora M. zajętego przy biurku pracą, zaczęły od czasu do czasu dochodzić jak gdyby jęki i westchnienia. Ponieważ to nie ustawało, wyszedł więc ze swej pracowni, obudził stróża i zaczął poszukiwania. Wkrótce odnaleziono studenta w studni i wyciągnięto go. Oswobodzony z niewygodnego położenia zapadł zaraz w głęboki sen. Uprzejmy profesor kazał w sali swego mieszkania zgotować uratowanemu wyśmienity nocleg, a rano, kiedy student był jeszcze pogrążony we śnie, postawić mu na stole śniadanie. Późno bardzo, bo około południa, przebudził się nareszcie zbłąkany. Wszelkie wysiłki pamięci nie mogły przebudzonemu objaśnić, gdzie się znajduje i w jaki sposób dostał się do tego lokalu. Sądził wprost, że śni, lub że jest jeszcze w stanie niepoczytalnym. Profesor M., słysząc ruch w pokoju studenta, wszedł i wyjaśnił mu, w jaki sposób do niego się dostał. Wielkie było zakłopotanie i zawstydzenie nie umiejącego zachować miary

studenta; brak mu było słów na przeproszenie i wyrażenie wdzięczności szanownemu zacnemu profesorowi.

Bracia K. Michał i Gabryel z Nowo - Aleksandrowskiego, mieli dwóch dogów; jeden z nich był biały z czarnemi łatami, drugi żółto-szarego koloru. Obu tych psów przyzwyczaili ich posiadacze do picia piwa; uciechą było ulicy przypatrywanie się im, gdy były w stanie nietrzeźwym. Psy te, zresztą bardzo łagodne, nie cierpiały świń, które nierzadko można było w siódmym dziesięcioleciu spotykać na ulicach w trzeciej części miasta (za Embachem). Biada nieszczęśliwemu reprezentantowi trzody chlewnej, jeśli Rolf i jego towarzysz spotkali go na drodze. Chwytały biedne zwierzę za uszy i ciągnęły w stronę mieszkania swych panów. Można sobie wyobrazić kwik i rwetes, jaki powstawał na ulicy. Największy jednak podziw wywoływała ta para czworonogów w czasie wielkanocnym. Pewne części ich ciała wyzłacano lub malowano na czerwono, niebiesko lub zielono i z takiemi malowankami wyprowadzano na spacer: gaudium gawiedzi było wielkie.

Kolega H. miał także doga, przypominającego kolorem i kształtem kilkomiesięczne lwiątko. „Świnka", tak się wabił ten pies, miała doskonałą pamięć. Dokładnie zapamiętywała wejścia do knajp i restauracji, w których jej pan dość często bywał. Idąc przed nim ulicą, zawsze zatrzymywała się przed każdym tego rodzaju zakładem, patrząc w oczy swemu panu, jakby namawiała go do wejścia. Kolega H. skończył uniwersytet jako kandydat i, wracając do kraju, zabrał psa z sobą. Koledzy i znajomi, oczekujący go na stacji w Warszawie, po przywitaniu, zapytali go o bagaż. H. wskazał na małą, ręczną walizkę i na swą ulubioną „Świnkę", mówiąc z udaną powagą: „omnia mea mecum porto".

Kolega M. O. z Podola miał dwa psy: ładnego owczarka, zwanego zdrobniale „Kloziem" z powodu silnej woni, którą z siebie wydawał, i dużego duńskiego doga. Ten ostatni dobrze znał i zapamiętał dorożkarza, którym pan jego często jeździł. Korzystając z tej znajomości, spotkawszy niezajętą dorożkę, pies wskakiwał do niej, a dorożkarz obwoził psiego pasażera po głównych ulicach miasta, poczym zajeżdżał przed mieszkanie O., a pies, zadowolony z przejażdżki, szedł do do-

mu swego pana. Dorożkarz również był zadowolony, gdyż co pewien czas podawał O. rachunek za zrobione z jego dogiem kursy.

Kuronowie celowali w urządzaniu na szerszą skalę krotochwil. Odznaczali się oni, jako studenci, rubasznością, lecz zarazem szczerością i humorem. Wspomnę o dwóch żartach na większą skalę, przez nich zrobionych. Dali oni prawdziwy spektakl pełen humoru i werwy na polu, po prawej stronie drogi, prowadzącej do majątku Robkoj. Policmajstra Rasta i kilku komisarzy—słowem policję dorpacką — przedstawiono z wiernością fotograficzną, w czasie spełniania ich czynności, a mianowicie utrzymywania porządku w mieście. Ucharakteryzowanie policmajstra i jego pomocników (Dorbeck, Karlsohn) było łudząco wierne. Ich ruchy i całe zachowanie się były tak dokładnie oddane, że nie można było odróżnić prawdziwego policmajstra oraz jego pomocników od naśladowców. Rast przypatrywał się zdaleka temu widowisku i serdecznie się uśmiał. Tysiące ludzi wyległo z miasta na pole Robkojskie dla ujrzenia tego spektaklu, który nie wykraczał niczym z granic przyzwoitości i nie ubliżył ogólnie szanowanemu i przez studentów Rastowi.

Drugim podobnym, doskonale urządzonym kawałem było przedstawienie pewnego wyższego urzędnika sądowego i jego znajomej—bardzo urodziwej osoby. Sędzia X., wychodząc z sądu, zwykle spotykał się z nią na ulicy Rycerskiej lub przed ratuszem. Po wymianie ukłonów A. L. siadała do jednej dorożki, sędzia do drugiej, udając się na śniadanie do mieszkania A. L. Otóż ten moment spotkania, powitania, usadowienia się w dorożkach i jazdy został znakomicie uchwycony i oddany przez kuronów. A. L. była latem zwykle ubrana w jasno-niebieską jedwabną suknię, kaftanik z tejże materji, na głowie miała mały, zgrabny kapelusz, białą, jedwabną parasolkę trzymała w ręku, na rękach zaś w jasno-perłowych rękawiczkach nosiła śnieżnej białości pudelka. Sędzia X., krępy, tęgi, około lat 50 mężczyzna z dużemi, wyszwarcowanemi wąsami i bakami mikołajewskiemi, nosił zwykle jako zwierzchnią szatę pelerynę; na głowie miał czarną, sztywną urzędniczą czapkę, w ręku zwykle laskę. Obie te postacie z największą dokładnością zostały odtworzone. Między księ-

garnią Huppego a ratuszem spotkałem dnia pewnego po 1-ej w południe, jak mi się zdawało, sędziego, lecz to mię nie zadziwiło, bo go często spotykałem. Następnie spostrzegłem z drugiej strony idącą A. L. i wzajemne ukłony tej pary. Zdziwił mnie tylko niezwykły ruch na ulicy, dużo wyległej publiczności i niezwykła wesołość. Kolega M. K., spotkawszy mnie, zapytał: „Czy widziałeś?". Oświadczyłem mu, żem nic szczególnego nie zobaczył, jeno przed chwilą spotkałem znanego sędziego. „Ależ to był kuron G.", odrzekł K. „A teraz patrz; po drugiej stronie ulicy idzie także kuron, przebrany za A. L. A teraz, widzisz, już siadają do dorożek." Za tą parą podążyło kilkadziesiąt dorożek, zajętych przez studentów Kuronji, którzy objechali parokrotnie główne ulice miasta, podążając za przebraną parą. Żart ten, doskonale inscenizowany, był etycznym odruchem młodzieży (sędzia był żonaty i miał dorastające dzieci), nie podobał się jednak dotkniętemu nim. Zwrócił się on ze skargą do prorektora, którym był wówczas zacny von Rummel, prof. prawa prowincjonalnego. Ten skargi nie przyjął, oświadczając, że w czynie studentów nie widzi nic karygodnego. Rozgniewany sędzia groził skargą do ministra; zastanowiwszy się jednak, zaniechał jej.

Wanemuine, resursę czuchońską, odwiedzali dość często studenci zarówno Polacy, jak i Niemcy. Żeby się tam dostać, trzeba było być wprowadzonym przez kogoś z członków, którzy jednak niezbyt chętnie widzieli studentów w swym klubie, gdyż zwykle ich wizyty kończyły się jakimś zajściem lub skandalem. Płeć piękna zaś rada była z bytności studentów, którzy obficie częstowali damy klubu ciastkami, butersznitami, limonadą lub piwem, co przy tańcach, na które głównie zjawiali się studenci, było tym bardziej pożądane.

Student S. chemik, wołyniak, wybrawszy się na wieczorek taneczny, zaopatrzył się w kilka baniek z cienkiego szkła, napełnionych siarkowodorem. W czasie tańców rzucił nieznacznie na podłogę wśród rozochoconej publiki jedną z nich. Gdy się rozeszła wstrętna woń, zwrócił się do dyżurującego dyrektora z zażaleniem na takie nieporządki. Pootwierano wszystkie drzwi i okna i z żażenowaniem tłomaczono się przed gośćmi. Po pewnym czasie powtórzyła się operacja z bańką, nastąpiła jeszcze energiczniejsza skarga, wietrzenie lokalu

i ekskuza. Przy trzeciej jednak bombie pochwycono na gorącym uczynku rzucającego bańkę z siarkowodorem, czego rezultatem było wyproszenie z klubu pomysłowego chemika i pozbawienie go na zawsze wstępu do Wanemuine. Tenże student S. doskonałym był jeźdzcem. Razu pewnego zapowiedział swemu koledze, mieszkającemu na drugim piętrze, że go odwiedzi w jego mieszkaniu konno. Przyrzeczenie to niebawem spełnił dosłownie, stanąwszy w pokoju kolegi na rumaku. Łatwiej jednak było wdrapać się na koniu na górę, niż zjechać lub sprowadzić konia na dół. Ponieważ miało się już ku wieczorowi, więc musiano konia zostawić w mieszkaniu. Rozesłano słomę, dostarczono siana i owsa i przenocowano szkapę. Nazajutrz zrana 8 ekspresów miało dużą pracę ze ściąganiem konia z góry. Spętano go sznurami, przywiązano powrozami do szerokiej deski i z wielkim trudem zdołano go spuścić na ulicę. — Wieść o tym figlu rozeszła się po mieście. Setki ludzi zebrały się na Ritterstrasse, ciekawych zobaczyć konia a bardziej jeszcze składającego konno wizytę na piętrach.

Po przytoczeniu niektórych wykolejeń się i wybryków studenckich, należy wspomnieć o karcerach, w którym studenci odpokutowywali nieraz nadmiar swej wesołości.

Na dachu dwupiętrowego gmachu uniwersyteckiego z obu stron fryzu, od frontu i od podwórza widniały po trzy niewielkie okienka w kształcie półksiężyca: były to okna od karcerów uniwersyteckich, mieszczące się pod samym wiązaniem. Od drugiego piętra prowadziły do tych bezpłatnych studenckich mieszkań bardzo wązkie strome, niewygodne schody, któremi wchodziło się na obszerny strych. Kilka drzwi z okuciem żelaznym wiodło do pojedyńczych karcerów. Jakkolwiek nie zdarzyło mi się być chociaż chwilowym z musu lokatorem tych apartamentów, znałem je jednak nieźle, odwiedzając nieraz kolegów, zmuszonych w nich przemieszkiwać. W bliskości jednych z tych podwoi stały, jakby na straży, wypchana i wypłowiała lwica i ogromny ryś — egzemplarze wysortowane z uniwersyteckiego gabinetu zoologicznego.

Na ogół biorąc, karcery często stały pustkami; bywały jednak czasy, że dość obszerne cele, do których nieraz po dwóch skazanych zamykano, nie starczyły dla przyjęcia wszystkich gości. Odsiadywanie kary musiano wówczas odkładać do czasu opróżnienia karceru—nieraz do ferji zimowych lub nawet letnich. Skazany musiał wyczekiwać swej kolei. Polacy stosunkowo rzadko siadywali w karcerze, lecz zdarzały się wśród nas jednostki z żywym, wesołym usposobieniem, które niejednokrotnie i to na czas dłuższy lokowały się pod dachem Almae Matris. Prorektor miał władzę skazania studenta najwyżej na 2 tygodnie karceru, sąd zaś uniwersytecki najwyżej na 6 tygodni. Wyższa kara polegała na wykluczeniu czasowym lub zupełnym z uniwersytetu, najwyższa zaś—na wykreśleniu bez prawa wstąpienia do jakiegokolwiek wyższego zakładu. Jeśli zamknięcie w kozie trwało dłużej jak dni kilka, to uwięziony po pierwszych trzech dniach mógł codziennie między 1-ą a 2-ą w południe przechadzać się po podwórzu uniwersyteckim, gdzie też mógł się czasami widywać z kolegami. Żywić musiał się na własny koszt i dlatego dozwolone było przychodzenie służby studenta z obiadem i podwieczorkiem. Ta okoliczność o wiele łagodziła przykrość zamknięcia, gdyż przez służbę zamknięty mógł komunikować się z kolegami. Zresztą były sposoby ulżenia i uprzyjemnienia sobie samotności. Bezpośrednim nadzorcą karceru był woźny kancelarji uniwersyteckiej, dla swej bladej cery, wymokłej twarzy, chudości i wysokiego wzrostu zwany „długim O." Był to mąż niezbyt twardego serca, czuły na cierpienia swych bliźnich. Na tym jego dobrym sercu wszyscy dobrze wychodzili: i „długi O", który z biegiem czasu wybudował sobie piętrowy, pokaźny dom drewniany, i uwięzieni studenci i blizcy koledzy. O humanitarnym usposobieniu nadzorcy miałem sposobność sam się przekonać. Z kolegą S. zapragnęliśmy odwiedzić zamkniętego w karcerze Zm., który za nietrafny strzał dostał się do karceru. Zm., będąc pod dobrą datą, upatrzył sobie jako cel ścianę między dwoma oknami domu, położonego w podwórzu naprzeciwko jego mieszkania. Jakkolwiek wybór celu był, przyznać należy, wcale niewłaściwy, może to pukanie z floweru pozostałoby bez niemiłych dla strzelającego skutków, gdyby nie parę chybień. Jedna z kul, wy-

biwszy szybę, utkwiła w szafie, druga gdzieś nad kanapą. Sąsiad z przeciwka, mający dzieci, stanowczo uważał miejsce, obrane na strzelnicę, za nieodpowiednie; dla zabezpieczenia się w przyszłości od wybijania szyb, zniszczenia mebli i ewentualnie od wielce poważniejszych skutków tych ćwiczeń podał skargę do prorektora, której rezultatem było zamknięcie Zm. na dni pięć. Odwiedzając go, zobaczyłem po raz pierwszy studencki karcer. Aby być do niego wpuszczonym, trzeba było zaskarbić sobie względy „długiego O". Z początku nie chciał on o niczym słyszeć, twierdząc, że może nadejść oberpedel, a nawet sam prorektor, który parę dni temu zwiedzał karcery. Jednakże kilka sztuk monety zmiękczyło cerbera i przełamało wszelkie trudności. Po długim wdrapywaniu się w górne regiony stanęliśmy nareszcie przed karcerem, którego ciężkie drzwi zaraz po naszym wejściu znów się zamknęły. Skrzypienie ich i obracanie klucza w zamku, jakkolwiek dobrowolnie pozbawiliśmy się wolności, chwilowo przygnębiające zrobiły na nas wrażenie. Zastaliśmy Zm. w bardzo kwaśnym humorze. Uznawał niewłaściwość swego wybryku, który mógł był łatwo stać się powodem nieszczęścia, przytym silnie odczuwał samotność i pozbawienie wolności. Zm., matematyk, zdolny i pracowity student, nie mógł, pomimo zaopatrzenia się w książki i „hefty", wziąć się do pracy. Postaraliśmy się, otrząsnąwszy się sami z przykrego chwilowego uczucia, rozweselić naszego kolegę. Wyjęliśmy z palt, cukier, cytryny, ciasto, a przedewszystkiem butelkę araku. Wody w karcerze było pod dostatkiem. Mały samowarek zasyczał po paru chwilach przed piecem; w kwadrans siedzieliśmy przy wcale niezłym ponczu i wesołej rozmowie, zapominając o karcerze i połączonych z nim nieprzyjemnościach. Dwie godziny upłynęły nam niepostrzeżenie. Usłyszeliśmy z przykrością znów otwieranie drzwi i wezwanie do opuszczenia naszego dobrowolnego więzienia. Pożegnaliśmy kolegę, mówiąc: „do widzenia na wolności".

Sprowadzanie do karceru wyskokowych napojów było surowo wzbronione; można było jednak zakaz ten łatwo obejść. Brano się na różne sposoby. Zamknięty mógł, a raczej musiał, sprowadzać sobie jedzenie z miasta, służący więc prócz butelek, które mógł mieć ukryte (przy sobie w ubraniu), przyno-

sił w menażkach w razie wzmocnionej kontroli nietylko potrawy, lecz na żądanie zamiast zupy— piwo, rum lub inne podobne napitki. Potrafiono więc sobie radzić, chociaż niestety przebierano czasami miarę. Odsiadywało kiedyś dość długotrwałą karę dwóch Rygarzy, którzy tak się uraczyli, że wyszedłszy przez okienko karceru na dach, spacerując po nim, opuścili się do samej rynny. Z powodu podniecenego ich stanu i znacznej bardzo wysokości sytuacja była nader niebezpieczna. Pedele, którzy zauważyli, co się dzieje, prosili przechodzących, aby nie zatrzymywali się i nie zwracali uwagi na wołania i gestykulacje prawie niepoczytalnych. Prorektor, zawiadomiony o tym wypadku, sam zaraz przybył. Z wewnątrz karceru nie można było zwracać się do siedzących nad rynną, gdyż to mogłoby ich zachęcić do dalszego spaceru po dachu. Przemawiano więc z ulicy; perswazje poczciwego, bardzo zaniepokojonego prorektora O. Szmidta nareszcie poskutkowały. Spacerowicze szczęśliwie wykonali odwrót do swej celi bez groźnego wypadku. W parę dni po tym niemiłym zajściu wszystkie okna karcerów silnie okratowano.

Z naszych kolegów wyrobił sobie pewną sławę wśród studentów wogóle medyk W. H., który w ciągu swoich 6-letnich studjów przesiedział wyjątkowo długi czas w karcerze. Policzywszy wszystkie pojedyńcze odsiadywania kar, przekonał się, że przeszło 4 miesiące przesiedział w kozie. Nie przeszkodziło mu to jednak w ukończeniu uniwersytetu; dzisiaj zaś jest lekarzem i pożytecznym obywatelem kraju. Sangwiniczne, wesołe usposobienie, nieco zawadjacka natura często przesiedlały go z jego własnego mieszkania na poddasze uniwersytetu.

Kolega P. K., bodaj chemik, także kilkakrotnie odbywał kilkotygodniowe rekolekcje. W czasie jednej z nich sąsiadem jego był jakiś student Niemiec. Porozumiawszy się z sobą pukaniem, wywiercili scyzorykami, widelcami i nożami niewielki otwór w niezbyt grubej dzielącej ich ścianie, który służył im nietylko do łatwiejszego porozumiewania się, lecz i do przepijania do siebie. Przez otwór przeprowadzili trzcinę z otynkowanej ściany i w ten sposób, nie widząc się wzajemnie, mogli pić razem. Przesiedziawszy już 2 tygodnie, (skazany był na 3) K. zażądał stawienia go przed prorektorem,

któremu oświadczył, że jest niezdrów i że czuje konieczną potrzebę użycia ciepłej kąpieli. Tak umiał przemówić do prorektora, że otrzymał pozwolenie na opuszczenie karceru na godzin kilka. Wyrwawszy się po 14-tu dniach na wolność, używał całą piersią swobody i dopiero nazajutrz rano wrócił do karceru. Byłoby się to prawdopodobnie nie ujawniło, gdyż z nadzorcą kwestję można było załagodzić, lecz K. w czasie swych miejskich i zamiejskich na wolności peregrynacji zdążył zrobić nową jakąś awanturę, za którą znów zaskarżono go do prorektora. W ten sposób wydało się, że K., wyszedłszy z karceru o 6-ej po południu, wrócił dopiero nazajutrz o 8-ej zrana. Pociągnęło to naturalnie za sobą zwiększenie kary.

Ściany karcerów pokryte były różnemi rysunkami i wierszami, których przedmiotem byli pedele i przedstawiciele władzy uniwersyteckiej, a przedewszystkiem—marne życie w karcerach. Wiele z tych karykatur i napisów odznaczało się humorem i dowcipem. Kolega nasz W., (przesłał ową słynną depeszę na 12-go grudnia) siedząc koło tygodnia, pokrył cały sufit i skośne ściany jednego z karcerów bardzo udatnemi rysunkami, przedstawiającemi rektora Wahla w różnych chwilach jego życia, według krążących wesołych o nim opowieści. Był to cały cykl czarnych malowideł, tym oryginalniejszych, że zostały wypalone świecą. Ówczesny rektor był doskonale sportretowany. Niestety, praca naszego kolegi musiała ulec zagładzie. Wobec prześwidrowywania ścian, odrywania tynku, musiano karcery perjodycznie restaurować. Przy jednym z takich remontów zamalowano wszystkie produkcje muz wsłowie i pędzlu. Przed ich zniszczeniem jednak rektor, dowiedziawszy się o ich egzystencji, zwiedził karcer wraz z prorektorem; jakoby, oglądając rysunki kolegi W., szczerze się obaj uśmiali. W. był wówczas jeszcze studentem, jednakże popuszczenie wodzy swej artystycznej wenie nie naraziło go na żadną nieprzyjemność ze strony władzy. Fakt ten stawia w charaktestycznym świetle stosunek władzy uniwersyteckiej do studentów. Stosunek ten był dla wszystkich studjujących życzliwy, niemal ojcowski. Uniwersytet był bardzo pobłażliwy dla wielu młodzieńczych wybryków, jeśli nie było w nich złej woli, karał zaś surowo postępki nieszlachetne i prawdziwie zdrożne.

Po karcerach uniwersyteckich wypada wspomnieć o policmajstrze Raście i o policji uniwersyteckiej. Chociaż policja miejska przed reformą uniwersytetu nie miała władzy nad studentami, to jednakże w razach nagłych i wyjątkowych jej kompetencja rozciągała się, chociaż tylko chwilowo, i na nich. Policmajster Rast skończył w Dorpacie wydział prawny i należał do korporacji ryskiej. Był to mężczyzna doskonale zbudowany, wysokiego wzrostu, o twarzy miłej i pociągającej, o dużym czarnym wąsie. Przytym wesoły, uprzejmy i koleżeński. Po skończeniu prawa dostał miejsce w biurze generał-gubernatora w Rydze, ostatecznie był przy nim urzędnikiem do szczególnych poruczeń. Po śmierci policmajstra Jannaua, wysłużonego wojskowego, uprzejmego staruszka, gubernator naznaczył, jako jego następcę, Rasta. Wybór ten wypadł doskonale, gdyż Rast przez cały szereg lat piastował swój urząd ku powszechnemu zadowoleniu miasta, uniwersytetu i studentów. Sam będąc kiedyś studentem, umiał być wyrozumiałym na wybryki młodzieży. Niejeden student zawdzięczał pobłażliwości Rasta załagodzenie drażliwej nieraz sprawy, która mogłaby, dostawszy się do uniwersytetu, skończyć się karcerem lub gorzej jeszcze. Taktem swym i dobrą wolą zapobiegał wielokrotnie kolizjom między policją miejską a uniwersytecką.

W pierwszych czasach swego urzędowania Rast miał następujący wypadek: pewna kobieta, oskarżona o kradzież zegarka, stanęła przed sądem policyjnym, któremu Rast, jako policmajster, przewodniczył. Zegarek wprawdzie się znalazł, wyrok jednak skazywał puellę na kilka dni aresztu. Skazana, pamiętając Rasta z jego czasów studenckich, zgorszona wyrokiem, ze zdziwieniem zawołała: „Aber Eduard (to było jego imię), was denkst du?“ Ta niewczesna poufałość była powodem podwyższenia kary. Rastowi proponowano kilkakrotnie wyższą posadę. Został on jednak wierny Dorpatowi, poprzestając na niższym stanowisku, aby tylko nie opuścić Dorpatu. Ostatni rok życia spędził, niestety, w pożałowania godnym stanie. Powitawszy na stacji kolei żelaznej gubernatora, jadąc do miasta, został w dorożce sparaliżowany. Umarł ku ogólnemu żalowi.

Przy mej matrykulacji, jako oberpedel, fungował Schmidt. Pamiętał on w Polonji różne czasy, które zwał złotemi, srebrnemi i drewnianemi. W pierwszych pito w Polonji, według słów jego, tylko wino, w drugich glühweiny, aiergroki i t. p., w ostatnich przeważnie tylko piwo. Jednym z jego następców był Tahl, którego często nazywano zamiast „Herr Oberpedell"—„Herr Obertahl", co go bardzo gniewało. Wissor odznaczał się czerwono-granatowym nosem, twierdził jednak stanowczo, że nigdy nic nie pije. Nos ten snać darzył go doskonałym węchem, którym często z dobrym skutkiem, wietrzył przygotowujące się lub już odbyte pojedynki. Oryginalną postacią wśród pedlów był stary Hermann, który dożył 92-go roku życia. Siedział on w ostatnich swoich latach zawsze w przedpokoju kancelarji uniwersyteckiej i był wysyłany z papierami, nie wymagającemi pośpiechu. Małą postać starego H., silnie pochyloną, zawsze z koniuszczkiem cygara w ustach, idącego wolniutkim krokiem, można było często spotkać na ulicy. Jakkolwiek funkcje pedlów musiały być dla studentów niesympatyczne, to jednakże trzeba stwierdzić, że nie mieliśmy nigdy prawie kolizji z niemi. Obowiązki swe spełniali uczciwie i z umiarkowaniem: było to naturalnie wynikiem rozumne i zacnej dyrektywy, danej im przez uniwersytet.

Już przed przyjazdem do Dorpatu, jeszcze jako uczeń gimnazjum, słyszałem dużo o pojedynkach tamtejszych. Przedstawiano je jako istotną plagę, a życie studentów wogóle w bardzo niekorzystnym świetle. Czynili to jednak nie znający wcale stosunków miejscowych byli studenci uniwersytetów stołecznych, Petersburga i Moskwy. W czasie mego długiego pobytu w Dorpacie wielokrotnie odbywały się pojedynki nieraz z bardzo tragicznym wynikiem, gdyż kończące się śmiercią. Bywały wypadki, że student, kończący egzaminy, medyk w końcu swego rygorozum lub zaraz po doktoryzacji, jedynak w rodzinie, ginął w pojedynku. Nazwisk nie będę tu wymieniał, dodam jednak, że, niestety, wyzwania następowały często w stanie nietrzeźwym. Pojedynki odbywały się przeważnie na rapiery—wśród Niemców, na pistolety—w Polo-

nji. W ósmym dziesięcioleciu powstał między studentami ruch przeciwpojedynkowy. Żądano, aby nie uznających pojedynków t. zw. gewissensfrei t. j. takich, którym sumienie nie pozwalało pojedynkować się, nie zmuszać do ewentualnego występowania z korporacji. Kierownikiem tego ruchu wśród Niemców był, jeśli się nie mylę, student A. Harnack, późniejszy profesor w Berlinie. Za jego wpływem w korporacji „Liwonja" byli cierpiani członkowie, zasadniczo odrzucający pojedynki. Wśród Polonji B. Korewo wniósł projekt zniesienia lub co najmniej ograniczenia pojedynków. Projekt ten jednak nie znalazł w konwencie większości i upadł. Następnie jednak o tyle ograniczono wśród nas pojedynki, że między kolegami, należącemi do konwentu, musiał się odbyć przed każdą sprawą pojedynkową sąd koleżeński, złożony z 4-ch kolegów, wybrany przez strony, z każdej po dwóch, i z superarbitra. Ten sąd orzekał, czy sprawa jest tego rodzaju, że bez szwanku dla honoru obu stron da się załatwić bez wyjazdu w pole. Chociaż z niejednego względu, nietylko z punktu widzenia chrześcijańskiego pojedynki potępić należy, to jednakże miały one w Dorpacie i swoją dobrą stronę: chroniły życie studenckie od brutalności, zapobiegały nieobyczajnym wyrażeniom, wymysłom i czynnym obrazom, nadawały stosunkom wśród studentom ich właściwy, charakterystyczny ton.

Zdarzenie, jakie miał jeden pierwszosemestrowy fuks w Polonji, rzuci nieco światła na te stosunki. Zrobiliśmy latem spacer piechotą do Kabina, miejscowości, położonej na lewym brzegu Embachu, o 8 mniej więcej wiorst od miasta. Zmęczeni nieco szybkim marszem i głodni, zamówiliśmy jakiś posiłek. W oczekiwaniu na jedzenie rozglądaliśmy się po izbie, przez nas zajętej. Jeden z obecnych, spostrzegłszy na szafie dużą jakąś księgę, zdjął ją. Księga ta, a była nią Biblja w języku słowiańskim, stała się powodem małej dyskusji, w której brał żywy udział młodzieniec, jeszcze nawet nie student, popisujący się ze swemi pseudo-wolnomyślnemi zapatrywaniami. Wyrażał się on o tej księdze lekceważąco, nawet obelżywie. Fuks pierwszosemestrowy, znajdujący się w gronie kolegów, wysłuchał wszystkich niewczesnych wywodów i rzekł w końcu: „Koledzy! Tyle nagadaliśmy głupstw i bredni, że lepiej przejdźmy do innego przedmiotu". Po tym odezwaniu

się jego nastała zupełna cisza. Koledzy spojrzeli po sobie; po chwili zaczęły się szepty, a jeden z najstarszych zawołał fuksa, który przeczuwał coś niezwykłego, na chwilę rozmowy. Oświadczył mu on, że ze stosunków wśród nas (studentów) wykluczone są tego rodzaju wyrażenia, jakich on przed chwilą użył, i że tylko względ na jego nieobycie się ze stosunkami i na to, że jest jeszcze „zielonym“ fuksem, wstrzymuje kolegów od żądania satysfakcji i że udziela mu w ich imieniu napomnienia (mores).

Do wyjazdów pojedynkowych miała Polonja głównie dwóch uprzywilejowanych dorożkarzy: Johanna i Karla, szczególnie pierwszy miał dobre konie, obaj zaś umieli milczeć i mylić czujność pedlów. Furmanem, który miał na stajni kilkanaście doskonałych koni i parę dorożek, był t. zw. Esti Peter. Konie wynajmował do wyjazdów powozami i pod wierzch. Wśród dorożkarzy poważaną osobistością był Fufciger, bodaj tak zwany od 50-go numeru swej jednokonnej dorożki. Ten do późnej starości uprawiał swój proceder, nie rozstając się przez lat przeszło 50 ze swym kozłem. Konie dorożkarskie w Dorpacie były doskonałe, często czystej rasy czuchońskiej, wprawdzie dość małego wzrostu, lecz bardzo rącze i wytrwałe. Dorożkarze byli wyłącznie narodowości czuchońskiej, znający prawie wyłącznie swój ojczysty język; rzadko z którym można się było porozumieć po niemiecku lub rosyjsku. Ubrani byli w ciemne sukienne kurtki, w skórzane z daszkiem czapki, zimą w płaszcze szwedzkie; wygląd mieli europejski.

Pojedynki odbywały się stosownie do okoliczności bliżej lub dalej od Dorpatu; zależało to po części od mniejszej lub większej czujności pedlów. Zwykle strzelano w lasku Techelferskim, w Ruenthalu, nawet w samym Techelferze, w Robkoy obok karczmy i t. p. Niekiedy wyjeżdżano o parę stacji za Dorpat, a nawet jeżdżono do Rewla. Czasami dla uniknięcia podejrzenia przeciwnicy niby spacerem wychodzili z sekundantami i flikerami (lekarze) z miasta różnemi drogami, aby się spotkać w bliskim umówionym miejscu, gdzie nagle i zupełnie niespodziewanie odbywała się rozprawa.

Prócz wspomnianych miejscowości celem spacerów i wycieczek były w okolicach Dorpatu, Annenhoff, Mollatz, Kwistenthal, Hasenkrug, Muga i t. d. Trzy ostatnie miejscowości

leżały nad Embachem i zwykle jeździło się do nich łódkami. W Mudze był młyn wodny i znajdowały się nad samą rzeką szczątki fortów, założonych bodaj przez Rosjan za Jana Groźnego. We wszystkich tych, po większej części brudnych, karczmach, gdyż na inne miano te zajazdy nie zasługiwały, prócz wszelkiego rodzaju spirytualjów, dostać można było jaj na twardo, sera i pieczywa — zwykle wasserkrękli (obwarzanki bez masła na wodzie), a co najwyżej—jejecznicy z szynką. Usługiwali zaś sam gospodarz lub gospodyni. Wielkie było moje zdziwienie, gdy za mej bytności przed kilku laty w Dorpacie zawieźli mnie młodzi moi koledzy do Kwistenthalu, ze zmian, jakie tam znalazłem. Zamiast jaj na twardo i gomółek (Knappkäse) na prymitywnym bufecie, ujrzałem zastawę, która uszłaby nawet w średniej miejskiej restauracji. Ale mało tego! Kawę podał nam wyfraczony kelner, przynosząc jednocześnie „menu", na którym figurowały kurczęta, szparagi i t. p. Gdym o tych zmianach w powrocie z Dorpatu opowiadał dawnym swym kolegom w Wilnie, Warszawie i Łodzi, wierzyć prawie nie chcieli mym opowieściom. Gdzie się podziała dawna, znana starym dorpatczykom gospodyni Kwistenthalu — nazywaliśmy ją Frau von Kwistenthal,—jej wędzone ryby (sielawy), zimne raki i knappkäseny! Tempora mutantur et Kwistenthal mutatur in illis.

Celem dalszych wycieczek było Heiligensee — po czuchońsku Pihha Jerw (święte jezioro). W tym jeziorze jakoby misjonarze chrześcijańscy ochrzcili pierwszych nawróconych estończyków. Do H. S., odległego od Dorpatu przeszło o wiorst 40, jeździli zwykle za dawnych czasów studenci małemi, jednokonnemi wózkami, zaprzężonemi w znane ze swej rączości konie. Sadowiło się 2-ch lub 3-ch na wózek; wózków wyruszało kilka, jeden za drugim. Wyjeżdżaliśmy, sami powożąc, zwykle pod wieczór, a stawaliśmy na miejscu około drugiej nad ranem. Czas ten był z powodu letnich upałów najdogodniejszy do jazdy, jasne zaś noce w północnej Liflandji (raczej tylko zmierzch) nie utrudniały jazdy. Stanąwszy na miejscu, rozkładaliśmy się w najobszerniejszej izbie zajazdu; rozścielano nam słomę, pokrywano ją grubemi czystemi prześcieradłami, wszyscy kładliśmy się pokotem, przykrywając się, czym kto mógł. Rano około 8-mej, wypiwszy kawę, ruszaliśmy

na pieszy spacer po Heiligensee i jego okolicach. Wchodziliśmy na Munnameggi (Góra Jajko) i Obezameggi (Góra Kówuka), dość wyniosłe pagórki, skąd otwierał się wspaniały widok na kilkanaście wiorst wokoło. Zwiedzaliśmy Odenpäh, przed kilku dziesiątkami lat małą osadę z parafialnym w pobliżu kościołem. Wróciwszy z tego forsownego marszu po górach, dolinach i lasach około 1-ej do zajazdu, po spożyciu obfitego obiadu i małym odpoczynku, siadaliśmy do łódki i wyjeżdżaliśmy na jezioro, podchodzące pod samą karczmę. Odpłynąwszy o kilka staj od brzegu, miało się przepiękny widok na jezioro, około 3-ch wiorst długie a półtorej szerokie. Z prawej strony dochodził do samego jeziora piękny iglasty las, nurzający gałęzie swych drzew w jego wodach. Z lewej strony wznosił się pochyły, niezbyt spadzisty brzeg i uprawne pola, pokryte rozlicznemi zbożami. Pośrodku jeziora ciągnęły się jedna za drugą w znacznych odległościach 3 wyspy, zarośnięte wspaniałemi drzewami. Pierwsza, zwana wyspą Siostrzaną (Schwester-Insel), stanowiła właściwie dwie wyspy, połączone z sobą płaskim przesmykiem. Miała ona kształt dwóch bułek, połączonych z sobą; była poprzerzynana alejami i drogami, czysto utrzymanemi. Nad brzegiem, wychodzącym na dalszy ciąg jeziora, stał stół i ławka: tutaj była przystań i stąd rozciągał się najpiękniejszy widok. Druga wyspa była zupełnie dzika, odwiecznemi zarosła krzakami i drzewami; trzecia nizko położona, wabiąca oko piękną zielonością, nie nadawała się do wysiadania. Dojechawszy do końca jeziora, stawało się w miejscu, skąd wypływa Embach; dążąc w kierunku północnym, przepływa jezioro Würtzjerw, z którego płynie następnie ku wschodowi, wpadając do jeziora Czudzkiego.

W czasie jednej takiej wycieczki, zrobionej przez 10-ciu kolegów, gdyśmy siedzieli na pierwszej wyspie, lubując się przepięknym widokiem i wchłaniając w siebie czyste balsamiczne powietrze, jakby z pod ziemi wyrośli, stanęli przed nami dwaj pedele. Przywitawszy nas: „Guten Tag, meine Herren“, uważnie przypatrywali się każdemu z nas, aby się przekonać, czyśmy cali i żywi. Wprawdzie przed kilku dniami odbył się w Ruenthalu wśród Polonji pojedynek na ostrych warunkach, lecz z szczęśliwym przebiegiem. Wyjazd nasz

do H. S. miał cel zupełnie pokojowy, odbył się w największej zgodzie i harmonji. Pedele jednak sądzili, że zapobiegli zamierzonemu pojedynkowi, który właśnie miał się tu rozegrać, i wezwali nas „Im Namen des Gesetzes" do niezwłocznego powrotu do Dorpatu. Oświadczyliśmy, że się zastosujemy do żądania, lecz nie wcześniej jak przed wieczorem. Po powrocie do zajazdu — pedele drugą łódką jechali za nami—doręczyli nam scyzoryk, zostawiony przez nas na wyspie, najlepszy dowód, w jak troskliwej i bacznej mieli nas opiece. Pomimo przynagleń dopiero po wieczerzy, ugościwszy naszych aniołów stróżów, wyruszyliśmy do Dorpatu. Nazajutrz stanęliśmy przed jego ekscelencją, prorektorem poczciwym O. Schmidtem, profesorem prawa prowincjonalnego, bratem Aleksandra, sławnego fizjologa. Prorex bardzo serjo, lecz życzliwie przemówił do nas: rodzice, powiedział, nie wysyłają do Dorpatu swych synów, żeby się pojedynkowali i zabijali, lecz żeby pracowali. Zapewnienia nasze, żeśmy wcale nie mieli zamiaru pojedynkowania się, przyjął z pewnym niedowierzeniem.

Młodzież polska nierzadko miewała wizyty ojców, odwiedzających swych synów, studjujących w Dorpacie. Jednym z nich był reformowany pastor Zumpft z Radziwiliszek. Sam odbył niegdyś studja w Dorpacie i miał w nim trzech synów: Jana—medyka, Konstantego—matematyka i Adama—teologa. Przyjechał na doktoryzację najstarszego, który był następnie asystentem w klinice ocznej prof. Reblmana, znanego okulisty, a później osiadł w Poniewieżu, gdzie założył oczną klinikę leczniczą. Zumpft ojciec był u nas w konwencie na skromnym studenckim obiedzie, złożonym z dwóch potraw. Wspomnę jeszcze tutaj, że Konstanty, skończywszy chlubnie matematykę, był nauczycielem w Petersburgu i Archangielsku, a następnie w Rydze na politechnice docentem fizyki. Adam został z czasem następcą ojca w zborze w Radziwiliszkach, gdzie w młodych latach umarł.

Hrabia Mohl z Wyszek (druga stacja za Dynaburgiem) odwiedził również dwóch swoich synów. Trafił na jakąś dużą „knajpę" pożegnalną czy też sobótkę, w której żywy i czynny

wziął udział, stając się wśród młodych młodym swym zachowaniem się i humorem. W czasie powstania skonfiskowano mu jego majątek ziemski, pomimo tego, że kiedyś służył w huzarach, że walczył na Kaukazie, gdzie był ranny i doszedł do rangi majora. Pozbawiony majątku postanowił zwrócić się wprost do cesarza Aleksandra II. Dwóch swoich synów, wówczas kilkoletnich chłopców, ubrał w piękny strój polski i postarał się dla nich o dostęp do parku, w którym się cesarz przechadzał. Ukryci w klombie malcy, gdy cesarz przechodził koło niego, wyszli z ukrycia i podali mu prośbę. Cesarzowi podobała się snać ta para dzieci i ich krótkie, proste przemówienie Prośbę przyjął, oddał towarzyszącemu mu adjutantowi i kazał następnie majątek zwrócić.

Obywatel z Wołynia, Kaszkiewicz z Ładych, miał aż czterech synów w Dorpacie. Ostatniego sam przywiózł na studja. Wszyscy słuchali prawa. Ojca Kaszkiewiczów przyprowadzili na obiad do hotelu w Belle-vue, gdzie przez czas pewien wielu z nas stołowało się, tak że zajmowaliśmy osobny pokój. Niespodziewany gość dość nieszczęśliwie trafił, gdyż zupełnie nieoczekiwanie przyszedł dnia tego kolega J. w stanie nietrzeźwym. Przykro nam było, że niewłaściwe zachowanie się kolegi J. mogło źle nas zapisać w pamięci ojca 4-ch naszych kolegów. Dodać tu jednak muszę, że wówczas w hotelu B. nigdy prawie przy obiedzie nie używaliśmy napojów wyskokowych. Z Witebszczyzny odwiedził Dorpat ziemianin Sokołowski, który przekonawszy się naocznie, że syn jego młody chłopiec dał się wciągnąć w złe towarzystwo,. zabrał go niezwłocznie z Dorpatu. Z Królestwa przyjeżdżał obywatel z Kujaw, Kożuchowski, i Boetticher. Syn pierwszego skończył medycynę, doktoryzował się, a następnie specjalizował się zagranicą jako chirurg. Przez szereg lat miał on w Wieluniu klinikę chirurgiczną.

W czasie jednych ferji letnich przyjmowaliśmy w Dorpocie skromnym śniadaniem niezwykłego gościa. Był nim Wesselgreen, drugi bibljotekarz uniwersyteckiej książnicy w Sztokholmie. Zwiedzał on właśnie nadbaltyckie prowincje, Dorpat, uniwersytet i bibljotekę uniwersytecką, którą się szczególnie interesował. Spotkawszy w niej któregoś z nas, wyraził chęć poznania młodzieży polskiej. Niestety,

tych wakacji bardzo mało nas było w Dorpacie. Kilka godzin, które nam W. poświęcił, upłynęło nader mile i pouczająco. W zebraniu uczestniczył i nasz filister, Hr. Belmi, przebywający wówczas w Dorpacie jako nauczyciel. W przemówieniach i rozmowie poruszano dawny stosunek Szwecji do Polski i zachowanie się Szwecji wobec powstania r. 1863. W., mężczyzna wówczas lat około 60, z wyższym wykształceniem, zrobił na nas nader miłe wrażenie. Wyrażał on swą i swego kraju życzliwość i sympatję dla Polski, mówił też z największym uznaniem o Polakach, których powstanie zmusiło do szukania schronienia w Szwecji. Tylko śpiewów naszych nie pochwalił, które w porównaniu z chórami i kwartetami studenckiemi jego ojczyzny srodze raziły kokafonją.

Pisząc o podróży mej do Dorpatu w roku 1860-ym, wspomniałem o przejeździe przez Kiejdany na Żmudzi. K. należały wówczas do hr. Marjana Czapskiego. W czasie jednak powstania 1863-go roku zostały mu skonfiskowane, a on sam — zesłany do Troicka. Po paru latach dozwolono mu zamieszkać w Dorpacie, gdzie go internowano. Tutaj przebywał ze swą rodziną: dwiema córkami i dwoma synami, którzy studjowali prawo, a młodszy z nich, Michał, skończył uprzednio dorpackie gimnazjum. Rodzina ta była jedną z najwybitniejszych rodzin polskich, które w szeregu lat czasowo przebywały w Dorpacie (nieco wcześniej mieszkali tutaj Bienisławscy i Manteufflowie z Białej Rusi). Hr. M. Czapski był mężczyzną nadzwyczaj przystojnym: dobrego wzrostu, twarzy otwartej i pociągającej, nosił wąs zawiesisty; nos miał orli, postawę imponującą—iście pańską: był typową postacią polskiego szlachcica i pana. Lecz nietylko zewnętrznie dobrze reprezentował nasz kraj; i pod względem intelektualnym godnym był jego przedstawicielem. M. C. jest autorem obszernego dzieła o koniu pod względem historycznym i przyrodniczym; jest ono opatrzone własnemi illustracjami i wspaniale wydane. Uprawiał także jako amator malarstwo, w którym jednak mniej okazał talentu. Miewał także w towarzystwie naukowym w Dorpacie odczyty, jak np. o pszczelnictwie. W domu swym przyjmował studentów,

kolegów swych synów; po obiedzie lub wieczerzy czytywano nieraz wyjątki z historji konia, co wywoływało zajmującą dyskusję.

Odwiedzał Dorpat kilkakrotnie, lub też czas krótki w nim przebywał, drugi hr. Czapski — Emeryk, który miał tutaj na uniwersytecie również dwóch synów: Karola, późniejszego burmistrza Mińska gubernjalnego, i Jerzego, mieszkającego obecnie w Przyłukach nad Ptyczem, niedaleko Mińska. E. Cz. był kiedyś zarządzającym lasami w całym państwie i jako znany numizmatyk został powołany do uporządkowania starych monet w zbiorach muzealnych Petersburga. Po wykonaniu tej pracy cesarz Mikołaj I. chciał E. Czapskiego wynagrodzić jakimś tytułem, lecz Cz., posiadając już go, wyjednał sobie pozwolenie zabrania na własność znalezionych duplikatów. Zbiory monet polskich Emeryka Czapskiego są największe, jakie wogóle istnieją, zawierają przyszło 200 tysięcy sztuk starych monet i pomieszczone są obecnie w Muzeum imienia hr. Czapskich w Krakowie, znajdującego się we własnym gmachu przy ulicy Wolskiej. Ten niestrudzony zbieracz wydał wspaniały katalog w języku francuskim z naukowym opisem monet i ofiarował to drogocenne, jedyne w swoim rodzaju, muzeum miastu Krakowowi na własność. Hr. Emeryk do końca życia nie przestawał powiększać swych zbiorów; bywając w Dorpacie, jeśli się dowiedział o jakiejś rzadkiej monecie lub dziele, nie szczędził trudów i dalszych wycieczek po Liflandji, aby pozyskać tę rzadkość.

W długim szeregu lat, które myślą przebiegam, byli także, wprawdzie nieliczni, Polacy, którzy należą do grona nauczających na wszechnicy dorpackiej. O docencie Mikszewiczu już wyżej wspominałem. Wykładał on ekonomję polityczną i zaraz po śmierci Mikołaja I przeniesiony został jako docent do Kazania, gdzie był następnie zwyczajnym profesorem. Przyczyną usunięcia M. z Dorpatu była jego rozmowa ze studentami Polakami w cukierni Luchsingera, prowadzona zaraz po nadejściu wiadomości o śmierci cara. Rozmowa ta zbyt, głośna przy szklankach glühweinu, uznaną została przez kuratora Kraftstroema, któremu treść jej doniesiono, za nielojalną.

Znacznie później bo w dziewiętym dziesięcioleciu był profesorem filologji słowiańskiej Baudouin-de-Courtenay, slawista

głośny w całym uczonym świecie. Był on wychowańcem Szkoły Głównej, która w czasie swego krótkiego istnienia wydała tylu wybitnych mężów. Po krótkotrwałej docenturze w Moskwie był profesorem w Kazaniu, następnie w Krakowie, a później powołany został na katedrę do Dorpatu. Prócz odczytów w uniwersytecie urządzał on kursa u siebie w domu. Na prywatny taki wykład o historji języka polskiego miałem sposobność uczęszczać z kilku kolegami. Prof. B. odznaczał się w swych zapatrywaniach w traktowaniu różnych spraw politycznych i narodowych wielką bezstronnością i odwagą cywilną. Może niezawsze można było zgodzić się ze zdaniem szanownego profesora, trzeba było jednak zawsze uznać jego głębokie przekonanie, wygłaszane bez względu na skutki, mające z tego wyniknąć. Należąc do uczonego estońskiego stowarzyszenia (Gelehrte Estnische Gesellschaft), wystąpił raz z odczytem, ujmując się za ludem estońskim i czuchońskim, rzekomo przez Niemców nadbaltyckich uciskanym i krzywdzonym. Już w początkach rusyfikacji wygłosił w auli odczyt publiczny, w którym bezwzględnie potępił zakusy zniszczenia dotychczasowego uniwersytetu.

Koledzy moi, A. Wikszemski i J. Świrski, obaj medycy, byli docentami uniwersytetu; pierwszy przez szereg lat był prosektorem i wolno-praktykującym lekarzem. Cierpiąc na nieuleczalną chorobę, nie mógł pomimo dużych zdolności rozwinąć szerszej naukowej działalności. Umarł w Berlinie, gdzie prof. Bergmann (b. prof. uniwersytetu dorpackiego) zajął się jego pogrzebem. W tym czasie, kiedy Bergman był głównym chirurgiem w walkach pod Plewną, Wikszemski zastępczo prowadził w Dorpacie klinikę chirurgiczną.

Świrski, urodzony w Wilnie, należał do oddziału Czerwonego Krzyża, na którego czele stał prof. Oettingen w czasie wojny z Turcją. Był następnie lekarzem w Jewe w Estlandji, a po kilkoletnich dalszych studjach zagranicą — decentem w Dorpacie, już za wykładów rosyjskich. Specjalnością jego była farmakologja. Przy wyborze na katedrę tego przedmiotu tylko jednym głosem został przebalotowany. Nie mając widoków jej uzyskania, przeniósł się do Estlandji, gdzie już był pochlebnie znany ze swej poprzedniej działalności i gdzie, przeziębiwszy się w rozjazdach do chorych, umarł w sile wie-

ku. Ze Świrskim łączyła mnie bliska przyjaźń, odwiedzałem go kilkakrotnie w Jewe i w Wajwarze, stąd robiliśmy wycieczki nad zatokę Fińską. Estlandja w tej części odznacza się pięknym położeniem. Widok na morze ze stromego brzegu (Saackhoff) przedstawia się wspaniale.

Muszę tu jeszcze wspomnieć o H. Bennim, starszym bracie niedawno zmarłego doktora Benniego. H. Benni studjował teologję, za rozprawę zaś filozoficzną z dziedziny psychologji otrzymał medal. Będąc wikarjuszem w Warszawie, wezwany przez margrabiego Wielopolskiego do złożenia swych naukowych kwalifikacji, był kandydatem na profesora filozofji w Szkole Głównej, którą to katedrę otrzymał Henryk Struve. Po szeregu lat pastorstwa w Tomaszowie i Kaliszu został lektorem języka angielskiego na uniwersytecie warszawskim i był kierownikiem wzorowo urządzonej i renomowanej szkoły średniej, obsadzonej najlepszemi siłami pedagogicznemi. Duch jednak i kierunek szkoły nie podobały się Apuchtinowi, który nagle kazał szkołę zamknąć. Ta katastrofa przyprawiła Benniego o materjalną ruinę. Był zmuszony przyjąć w Dorpacie obowiązki nauczyciela języka francuskiego w szkole realnej, gdzie był kilka lat czynny. Następnie wrócił do Warszawy do dawnych obowiązków lektora języka angielskiego. Będąc nauczycielem w Dorpacie, zapraszany przez konwent, brał udział w życiu Polonji.

Przy uniwersytecie istniał urząd „nauczyciela religji dla studentów rzymsko-katolickiego wyznania". Księdzem, którego zastałem w Dorpacie, był ks. Leszczyński. Jednym z jego następców był ks. Landsberg, którego kilku krewnych dawniejszemi czasy studjowało w Dorpacie. Ks. Landsberg odznaczał się taktem, uprzejmością i był gorliwym duszpasterzem nielicznej gromadki katolików. Mianowany kanonikiem, przeniesiony został do Rygi. Żegnając się ze swą parafją, po ostatnim nabożeństwie, przez siebie odprawionym, dał każdemu na pamiątkę mały krzyżyk. I mnie, chociaż dysydenta, obdarzył krzyżykiem, który dotąd zachowałem.

Najwybitniejszym ze wszystkich proboszczów dorpackich był ksiądz Kossowski, późniejszy biskup-sufragan płocki. Odznaczał się wyższym wykształceniem (prócz teologji studjował niegdyś prawo) i piękną ognistą wymową. Kazania jego i od-

czyty licznych ściągały słuchaczy. W drugim bodaj semestrze 1862 roku wykładał etykę za pozwoleniem kuratora w języku polskim. Wkrótce jednak wrócił do języka niemieckiego, aby dać możność studentom Niemcom korzystania z odczytów. Ks. Kossowski nawet lepiej władał językiem niemieckim niż polskim, przynajmniej w kwestjach naukowych, gdyż w tym języku odbywał swe studja. Jego etyczne wykłady były właściwie orjentowaniem się w ówczesnych wypadkach krajowych z lat 61 i 62. Z następnych proboszczów wspomnę jeszcze o ks. Martinowie i Juskowie. Pierwszy z nich, człowiek światowy, został powołany na proboszcza kaplicy Maltańskiej w Petersburgu, zaś J. był księdzem pełnym poświęcenia i rzadkiej gorliwości, którego niestrudzonym zabiegom przypisać jedynie należy wybudowanie w Dorpacie pięknego, o wysokiej wieży kościoła. Za jednego z jego poprzedników, ks. Pietkiewicza, spalił się dom parafjalny, w którym mieściła się kaplica. Ks. P. zresztą nie miał dodatniego wpływu na młodzież studencką ani na swych parafjan. Wpływowi parafjanie, jak prof. B. de C. i inni, robili starania o innego proboszcza, lecz ks. P. miał takie stosunki i plecy, że władza duchowna nie mogła go z Dorpatu usunąć.

Parafja katolicka w Dorpacie była bardzo szczupła. Należało do niej kilku profesorów: Adelman, Helmling, B. de Courtenay, Rauber, kilku urzędników pocztowych, kilku obywateli miejskich i rzemieślników, np. Kaubel — kuśmierz, Mackiewicz, szewc, kilku żołnierzy dymisjonowanych i zresztą młodzież akademicka. Po reformie sądownictwa i innych władz liczba katolików znacznie się zwiększyła.

Na starym cmentarzu w Dorpacie znajduje się kilka mogił zmarłych tam kolegów, z bardziej lub mniej okazałemi krzyżami. Między innemi na grobie Michałowskiego i Lewandowskiego stoją duże, żelazne krzyże, skromniejsze na mogile Korczkego (umarł wskutek rany, otrzymanej w pojedynku), Łopatty (zmarł nagłą śmiercią). Na nowym cmentarzu pochowany jest Konrad Iwański, dawny student dorpacki, zmarły w Walku jako urzędnik kolei żelaznej. Na cmentarzu prawosławnym leży Spiridjon Grabowski, małorus, który żył blizko z Polonją i przez nią został pochowany. Nad grobem wypo-

wiedział kolega Ehrlich, student medycyny, mowę w języku polskim, na co otrzymaliśmy pozwolenie ówczesnego prorektora; ten jednak zastrzegł sobie, aby w mowie nie było tendencji politycznych. Był to rok 1862. Nieboszczyk znany był ze swoich przekonań demokratycznych, ukrainofilskich. Mówca jednak nie zastosował się do żądania prorektora, podnosząc w jaskrawy sposób w swym przemówieniu wolnomyślne przekonania zmarłego. Przytaczam to, aby uwydatnić życzliwy stosunek prorektora do nas. Po tej niewłaściwej mowie, która nas w fałszywym postawiła wobec niego położeniu, pop Aleksiejew, który chował zmarłego, zapytał von Oettingena, czy słyszał dobrze tę mowę. Tenże odpowiedział: „Nic nie słyszałem i nie zauważyłem". Ciało kolegi Nieniewskiego, który utonął w Embachu, po uroczystym nabożeństwie i wypowiedzeniu pięknej mowy przez Ludwika Platera zostało przesłane do kraju.

W roku 1913, jak mi mówiono, zarząd starego cmentarza zawiadomił „Polonję", że miejsce, gdzie leżą pochowani dawniej koledzy, ma być skopane. Żeby temu zapobiedz, miała Polonja tę niewielką kwaterę zakupić na wieczystą własność, na co było potrzeba koło 200 rb. Polacy w Dorpacie i niektórzy dawni filistrzy składali datki na ten cel. Niewiadomo mi, jak się ta sprawa skończyła: wybuch wojny zapewne odwlókł ją lub unicestwił. W Dorpacie w drugim semestrze 1914 roku zostało zaledwie 4-ch studentów Polaków.

W części odrestaurowanej gmachu tumskiego mieściła się bibljoteka uniwersytecka, licząca w roku 1860 przeszło 200,000 tomów. Podwójny posiadała katalog: w wielkich foljantach według przedmiotów, oraz katalog kartkowy, umieszczony w szufladkach według autorów. Ten ostatni był owocem niestrudzonej pracy drugiego bibljotekarza (pierwszym był Anders) — Kappa. Znał on bibljotekę doskonale, wiedział na pamięć, w jakiej sali, na jakiej półce i gdzie znajduje się żądane dzieło. Do bibljoteki dorpackiej zabłąkały się, chociaż w niewielkiej liczbie, książki z wileńskiej uniwersyteckiej bibljoteki. Natrafiłem na kilka dzieł z pieczęcią uniwersytetu wileńskiego.

Na miejscu, gdzie się dziś wznosi gmach uniwersytecki, był niegdyś stary, z ubiegłych wieków cmentarz. W roku 1802

przeniesiono zebrane szczątki pochowanych tam różnej nacji ludzi, w wojnach, które się toczyły między Szwecją, Polską i Rosją, i złożono w zagłębieniu na tumie naprzeciwko mostu, zwanego Djabelskim (Teufelsbrücke), i wzniesiono tam pomnik. W lat kilkadziesiąt potym splantowano to zagłębienie i przeniesiono pomnik nieco dalej. Pomnik jest czworogranisty, murowany, opatrzony daszkiem, na którym umieszczona jest kula z krzyżem na wierzchu. Po każdej stronie pomnika wmurowane są tablice z napisami łacińskiemi, niemieckiemi, czuchońskiemi i rosyjskiemi. Napisy te opiewają, że pomnik wzniesiony został po zniesieniu starego cmentarza dla uczczenia poległych wojowników--Szwedów, Niemców, Polaków, Rosjan i Czuchnów.

Najwspanialszym pomnikiem z dawnych czasów są ruiny tumu, o których już wyżej wspomniałem. Nadmienić jeszcze muszę o obelisku, poświęconym pamięci prof. Morgensterna, który park tumski zwiększył darowizną swego ogrodu, znajdującego się na stoku wzgórza tumskiego od strony ulicy Jakóba. Obelisk ten dotąd egzystuje, chociaż w roku 1914, gdym go ostatni raz widział, był nieco zaniedbany. Niedaleko tego obelisku jest piękny pomnik sławnego przyrodnika E. v. Baera, który był rodem z Estlandji i jako student—członkiem korporacji „Estonja". Pomnik jest dłuta rzeźbiarza Apiekuszyna, który na konkursie otrzymał pierwszą nagrodę. V. Baer przedstawiony jest w siedzącej postawie na fotelu na granitowym podłożu, Lewą ręką wspiera twarz, palcem zaś prawej ręki wskazuje na otwartą księgę, leżącą na jego kolanie. Pomnik, otoczony trawnikiem i pięknemi modrzewiami, okolony żelazną kratą, przedstawia Baera, jak wyglądał w ostatnich latach swego życia, które spędził w Dorpacie. Miałem sposobność niejednokrotnie widywać go i słyszeć jego przemówienia. Jednym z ostatnich, wygłoszonym w późnej starości, był odczyt, wypowiedziany w auli w dzień jubileuszu Aleksandra Humboldta. Przed kilku laty postawiono na tumie naprzeciwko t. zw. baraków chirurgicznych pomnik prof. E. Bergmana, twórcy tej kliniki. Prof. B. był synem pastora z Ruyen. Pochodził z dawnej pastorskiej rodziny, która bez przerwy przez 100 lat z górą piastowała urząd duszpasterski w Ruyen. Wychowaniec uniwersytetu dorpackiego, docent, a następnie profesor tegoż, powołany był potem zagranicę do Würzburga

i Berlina, gdzie też życie zakończył. Był jednym z najwybitniejszych chirurgów w końcu XIX wieku. Pomnik był odsłonięty podczas ogólnego kongresu lekarzy nadbaltyckich, który się odbył w Dorpacie.

Na placu, znajdującym się między wzgórzem tumu a Gościnnym dworem (Kaufhof), wznosi się na dużej kolumnie granitowej bronzowe popiersie Barclay de Tolly, wodza armji rosyjskiej w wojnie przeciwko Napoleonowi. Postać, którą pomnik przedstawia, należy do historji tych wojen, a nie do historji uniwersytetu; nazwisko to jednak, ze względu na wnuka tego wodza i na szykany, których tenże doznawał od rządu, naprowadza mnie na ruch konwersyjny, wszczęty w prowincjach baltyckich w roku 46-ym i w czasach późniejszych. Ta propaganda w Liflandji i Estlandji przypomina caeteris paribus nawracanie unitów w siedleckim i lubelskim. W roku 1846 zjawili się w Liflandji handlarze rosyjscy, skupujący niby szczecinę i trzodę chlewną, a w rzeczywistości namawiający lud estoński do przechodzenia na prawosławie. Handlarze ci obiecywali włościanom ziemię, bydło i pieniądze; obietnice te przy znanej chciwości Czuchnów padły, niestety, na grunt podatny. Wmawiano nadto chłopom, że jako wierni poddani cara powinni należeć do tegoż kościoła, co i car. W roku 1846 i następnych przeszło na prawosławie przeszło 40,000. Liczba nawróconych wskutek prawa, że z mieszanych małżeństw między prawosławnemi a ewangielikami dzieci należeć muszą do kościoła państwowego, wzrosła po niewielu latach do przeszło 100 tysięcy. Lecz nastąpiło wkrótce otrzeźwienie: dzieci nie chrzczono i nie posyłano do szkółek ruskich; popów nie wpuszczano do chat, cerkwie stały pustkami, starsi nie przystępowali do komunji — lud chciał koniecznie wrócić do dawnego swego kościoła. Pastorowie byli, niestety, skrępowani prawem, wielu z nich jednak, idąc tylko za swym sumieniem, dopuszczało do sakramentów zgłaszających się, przyjmowało odpadłych lub ich potomków. Wynikało z tego wiele procesów, było wiele zawieszeń w urzędzie i zupełnych usunięć od obowiązków pastorskich. Lud był szykanowany i środkami policyjnemi zmuszany do wierności cerkwi. Sejm liflandzki za inicjatywą synodu zwrócił się z prośbą do cesarza Aleksandra II, który przysłał do Liflandji księcia Bariatinskie-

go dla zbadania tej kwestji i wynikłych z tego powodu komplikacji. Po relacji tegoż Aleksander wydał rozporządzenie, że z mięszanych małżeństw dzieci mogą być chrzczone w kościele luterskim. Ukaz ten nie został wprawdzie ogłoszony w zbiorze praw, lecz pastorowie ogłosili go wszędzie z ambon. Był on też wielką ulgą dla tysięcy sumień. Na podstawie tego rozporządzenia wnuk wodza B. de T., żonaty z prawosławną, wychował swe dzieci w wierze ewangielickiej. Po cofnięciu jednak tego pozwolenia przez Aleksandra III żądano od B. de T., aby dzieci swoje chował w wierze prawosławnej. To sprawiło, że B. napisał list do cara, powołując się w nim na zasługi dziada swego, na wolność sumienia i swobodę przekonań, poczym opuścił Rosję i przeniósł się zagranicę.

Do zabytków dawnych czasów należą szczątki muru, otaczającego niegdyś Dorpat. Między budynkiem sali gimnastycznej a domem bodaj niegdyś v. Vittinghoffa, po prawej stronie ulicy Botanicznej, idąc ku rzece, jest zachowany ułomek grubego muru, który niegdyś otaczał Dorpat od strony Embachu i bronił go od różnych najazdów.

Powiedziawszy słów kilka o pomnikach, nie mogę zamilczeć o wystawach malarskich i o artystce, która je urządzała.

Wśród osób wybitnych i znanych w starym Dorpacie muszę wymienić panią Schwartz, żonę profesora astronomji, znaną portrecistkę. Wspominając o niej, spełniam jednocześnie dług wdzięczności. Pani S., z domu Hagen, była córką byłego rysownika i malarza-artysty, który dożył późnego wieku i miał niewielką posesję przy ulicy Blumenstrasse. Pani S. odbywała studja artystyczne w Monachium a następnie we Włoszech. Urządzała w Dorpacie wystawy obrazów, gromadząc dzieła sztuki z prywatnych galerji, (głównie z galerji w Ratshofie, własności von Liephardta) i wystawiając też własne liczne prace. Najpiękniejszą z tych ostatnich była, o ile sobie przypominam, główka młodej Włoszki, na której twarz padał blask kaganka, niesionego w ręku, oraz portret Napoleona I. Jedna z tych wystaw urządzona była w starym gmachu uniwersyteckim. Pani S. na mą prośbę wymalowała z fotografji i według mego ustnego opisu w roku 1870 portret mego przed rokiem zmarłego ojca. Portret ten, przywieziony przeze mnie do Warszawy, wywołał wprost podziw. Przed dwoma laty artysta-

malarz, p. Lipiec, z wielką uprzejmością odrestaurował ten portret i oświadczył na moje zapytanie, że z fotografji nie mógł być lepiej namalowany i że ta praca prawdziwie artystyczna ma dużą wartość.

Do urządzeń, których nieraz zazdrościliśmy Dorpatowi, należała ochotnicza straż ogniowa, a jednocześnie ćwiczenia gimnastyczne, tak szkolne jak i pozaszkolne. W pierwszych latach szóstego dziesięciolecia XIX wieku jeszcze nie było w Dorpacie dobrze zorganizowanej straży ogniowej. Pamiętam dobrze parę ręcznych sikawek, dwie czy trzy beczki, kilka drabin i t. p. przyborów, umieszczonych w wozowni ratusza. W razie pożaru wyruszało kilku miejskich stróżów z temi narzędziami. Twórcami Ochotniczej Straży Ogniowej byli prof. Strümpell, oraz kilku obywateli miasta; późniejszym i właściwym organizatorem był profesor a następnie dyrektor Instytutu Weterynaryjnego, Raupach. Jemu to należy przypisać urządzanie perjodycznych zjazdów Straży Ochotniczej ze wszystkich miast i miasteczek baltyckich. Nadto, biorąc udział w obradach, tyczących się organizacji straży ogniowych w Rosji, przyczynił się do ich udoskonalenia w całym państwie.

Ojciec dyrektora Raupacha był lektorem języka włoskiego na wydziale historyczno-filologicznym. Za moich czasów piastował ten urząd już po raz drugi po wysłużeniu emerytury. Nielicznym swym słuchaczom objaśniał zwykle utwór Ariosta, „Orlando furioso". R. był miłym, uprzejmym, dzielnie się trzymającym starcem; mieszkał nad samym Embachem. Znany był też dla swej flotylli, t. j. jako posiadacz kilku łódek, na których latem spędzał dużo czasu, jeżdżąc Embachem i łowiąc ryby.

Do ochotniczej straży należeli też licznie studenci Polacy; służyli w różnych oddziałach, ale szczególniej w oddziale toporników. Mieli też osobną sikawkę, przez nich wyłącznie obsługiwaną.

U nas w kraju przez długi czas bardzo utrudniano tworzenie straży ogniowych ochotniczych. Żądano komendy rosyjskiej i narzucano różne ograniczenia. Gdy nastała nieco pomyślniejsza chwila dla zakładania społecznych instytucji, powstawały po miastach i miasteczkach, a nawet większych wsiach, straże ogniowe ochotnicze, których organizatorami byli

nieraz dawni dorpatczycy, należący kiedyś do straży dorpackiej. Przynieśli oni zapał dla tej pożytecznej instytucji do kraju i tu go szerzyli.

Zakładanie stowarzyszeń gimnastycznych było również u nas utrudnione; to też z pewną zazdrością patrzyliśmy na swobodę, z jaką można było w Dorpacie uprawiać gimnastykę, urządzać wspaniałe popisy i zamiejskie wycieczki gimnastyczne. Dni, poświęcone temu sportowi, zwykle przypadające w końcu roku szkolnego, były uroczystością dla całego niemal miasta, nietylko dla rodziców młodzieży szkolnej.

Pisać wspomnienia o uniwersytecie dorpackim i jego studentach z pominięciem (H. V.) Stowarzyszenia Rzemieślniczego i teatru jcst niemożliwe. Handwerkerverein założony został z inicjatywy pastora Schwartza (ojca), majstra stolarskiego Bandelier i innych. Stowarzyszenie miało na celu podniesienie etycznego i umysłowego poziomu klasy rzemieślniczej, zaprowadzenia większej wśród niej łączności. Stan rzemieślniczy jednak z biegiem czasu de facto został usunięty na plan dalszy. Do stowarzyszenia należał przedewszystkiem t. zw. stan literatów t. j. adwokaci, lekarze, profesorowie, nauczyciele, urzędnicy różnych społecznych instytucji, kupcy, szlachta i wreszcie w niewielkiej liczbie — zamożniejsi rzemieślnicy. Niemniej jednak stowarzyszenie starało się wpływać oświatowo przez odczyty, wieczory dyskusyjne, muzykę i t. p. Latem, szczególnie w czasie ferji, w ogrodzie Stowarzyszenia ogniskowało się całe życie Dorpatu. Piękny, chociaż nieduży park, teatr, który latem dawał prawie codziennie przedstawienia, dobra orkiestra, stale wieczorami przygrywająca, obszerna, kryta i zarazem przewiewna weranda były dla setek mieszkańców Dorpatu magnesem. Stosunek studentów do H. V. nie był zawsze jednaki. Stowarzyszenie było nawet przez czas pewien przez studentów bojkotowane. Wzajemny jednak stosunek ułożył się w końcu, studenci zapisywali się na członków i licznie odwiedzali ogród i teatr. Myśmy także należeli do stowarzyszenia i latem często w H. V. przebywali. Jednych ferji szczególnie weszła w modę wśród nas gra w kręgle na letniej kręgielni, w czasie innych — głównie teatr nas ciągnął. Dyrektor Bevend zjeżdżał z Rewla rok rocznie na sezon letni ze swą trupą, czasem wcale niezłą. Najświetniejszym sezonem

teatralnym był operowy ze śpiewaczkami: Griezli, Grimminger, Wilhelmi, Kriegeram i operetkowy z Feierstacke, Poegner i Fredrichem. Feierstacke nie odznaczała się urodą, ale miała przyjemny głos i była dobrą, rutynowaną artystką, występującą z powodzeniem nietylko w operetce, ale i w poważnych komedjach. Występowała ona przez szereg sezonów i była ulubienicą publiczności. Sam dyrektor Bevend, żona jego, Welsen, aktor Hagen należeli do artystów, którzy nietylko na scenie dorpackiej mogli z powodzeniem występować. Dość obszerny, choć drewniany, budynek teatralny jako tako odpowiadał swemu zadaniu.

Przed otwarciem teatru w H. V. dawane były latem przedstawienia w Novum o półtorej wiorsty od Dorpatu przez trupę Liebisch. Teatr, a właściwie drewniana szopa, stał wśród wysokich drzew olszowych na prawo od domu, gdzie była restauracja a raczej karczma. Buda ta przedstawiała się bardzo prymitywnie, gra pseudo-artystów była niżej wszelkiej krytyki. Między siódmą a ósmą wieczorem odbywała się piesza i kołowa wędrówka z Dorpatu do Novum niewybrednej publiki. Studenci dorożkami i per pedes dążyli na przedstawienia właściwie nie jako widzowie, lecz jako współdziałający aktorzy. Ponieważ przedstawienia nie miały nic wspólnego ze sztuką, chyba tyle tylko, że były jej profanacją, przeto studenci pozwalali sobie na rzeczy niebywałe: głośno przemawiali do grających aktorów, wychodzili na scenę, zatrzymywali grających, wyprowadzali ich za kulisy, obrzucali w sposób bolesny małemi bukiecikami, które setkami sprzedawali chłopcy z miasta, intonowali w czasie przedstawienia różne piosnki. Ówczesny redaktor gazety dorpackiej wystąpił z bardzo energicznym artykułem przeciw studentom, piętnując z oburzeniem ich wybryki. W obronie ostatnich stanął w tejże gazecie profesor A. Oettingen, nie pochwalając wprawdzie ekscesów, lecz słusznie uważając je za odruch zmysłu estetycznego, za protest, podniesiony w nagannej formie, przeciw obniżaniu sztuki do poziomu szopki.

Dawna sala stowarzyszenia „Bürgermusse" była także często widownią różnych pseudo-artystycznych produkcji oraz studenckich wybryków i awantur. Na galerji nizkiej sali usadawiali się często studenci z koszem piwa i stamtąd nieraz terro-

ryzowali artystów oraz publiczność. Na balach w Bürgermussie, do której należało średnie i drobne mieszczaństwo, zjawiali się studenci w niemożliwych kostjumach np. w zupełnym negliżu, tylko w szlafroku z ręcznikiem na szyi zamiast krawatu. Podobnie ubranych usuwano z resursy. Wyprowadzano niekiedy intruza na jego żądanie z muzyką, za którą jednak pobierano wysoką opłatę. Ponieważ awantury w Bürgermussie nie ustawały — raz zgaszono na dany znak wszystkie lampy i pogrążono publiczność w zupełnych ciemnościach — uniwersytet zabronił studentom wstępu do tego stowarzyszenia. Sama bytność w lokalu Bürgermussy pociągała za sobą wykreślenie z uniwersytetu.

Prócz bursy akademickiej, stowarzyszenia rzemieślniczego i resursy obywatelskiej istniał jeszcze w Dorpacie klub szlachecki (Adelmusse), do której z małemi wyjątkami należała sama szlachta, zamieszkała w mieście, i okoliczni obywatele. Klub ten miał własny zimowy i letni lokal. Do ostatniego z nich należał obszerny, cienisty ogród, Ressourcengarten, w którym latem odbywały się nieraz koncerty dla szerszej publiczności. Gospodarz restauracji tego klubu, aby przyciągnąć studentów, wybudował w ogrodzie, a raczej zbił z desek rodzaj altany, która mogła od biedy chronić od deszczu. Latem we czwartki wieczorem grywała na werandzie klubu orkiestra. Muzyka łącznie z świeżym powietrzem, pięknym widokiem na miasto (ogród rozciągał się na dość wyniosłym wzgórzu) i niezła kuchnia były dla niejednego atrakcją, tym większą dla tych, którzy pragnęli ciszy i spokoju, ogród bowiem był zaciszny i mało odwiedzany. Lokal zimowy mieścił się na dużym rynku. W karnawale odbywały się w nim nieraz wieczory taneczne, na które niektórzy z Polonji, zwłaszcza dobrzy tancerze, otrzymywali inwitacje.

Ludność estońska miasta miała także własną resursę, zwaną Wanemuine. Zajmowała ona z początku dość skromny lokal z ogrodem, malowniczo położonym na stoku wzgórza, następnie stowarzyszenie nabyło równie pięknie położony ogród na górze Thuna i wybudowało znacznym kosztem duży obszerny gmach. Do klubu tego należą wyłącznie Estończycy. W nim ogniskują się skrajnie nacjonalistyczne dążności, nieraz wrogie wszystkiemu, co niemieckie, wrogie szczególnie obywa-

telom ziemskim, szlachcie.—Muzyka, śpiew, odczyty, teatr itp. mają wpływać na podniesienie kultury wśród członków.

W końcu sierpnia w ogrodzie klubu szlacheckiego, a następnie na drugim końcu miasta, na obszernym placu na przeciwko stowarzyszenia rzemieślniczego odbywały się rok rocznie wystawy rolnicze. Świadczyły one o wzorowym gospodarstwie rolnym, o bardzo starannej uprawie ziemi, o doskonałej hodowli bydła rogatego, nierogacizny i koni. Przy hodowli tych ostatnich głównie zwracano uwagę nie na konie luksusowe, lecz na wyprodukowanie wytrwałych silnych koni roboczych i pociągowych. Dział narzędzi rolniczych i maszyn był również obfity i doborowy. Zwiedzanie tych dorocznych pięknych wystaw było zawsze połączone z prawdziwą dla zwiedzających korzyścią. Dział włościański został później odłączony i zorganizowała się następnie samodzielna estońska wystawa rolnicza. Posiada ona obecnie obszerny własny plac i odpowiednie budynki. Wystawy te, również rok rocznie się powtarzające, pokaźnie się przedstawiają i dobrze świadczą o zamożności i rolniczej kulturze ludności estońskiej.

Przyjazd cyrku do Dorpatu był dla miasta i studentów zwykle ważnym ewenementem, choć nie można powiedzieć, aby był pożądany i korzystny. Cyrki (Hinne, Schuhman) zjeżdżały pod koniec sierpnia lub we wrześniu—po powrocie studentów z ferji. Na ich przejeździe zarabiali prócz właścicieli—przedstawienia były przepełnione zawsze—lombardy i lichwiarze. Podczas późnej jesieni wielu studentów chodziło w letnich ubraniach lub okrytych tylko pledami, gdyż ciepłe palta i futra spoczywały w zastawie. To też władza uniwersytecka niechętnie zgadzała się na przyjazd cyrku. Uniwersytet a raczej kurator miał prawo każdego, który mógł być szkodliwym dla studentów, wykluczać z miasta. Miał zatym i prawo pozwalać lub zabraniać na przyjazd cyrku. Jak szkodliwy był wpływ cyrku na młodzież, illustruje dokładnie następujący wypadek. Entuzjazm kilku amatorów cyrku wśród studentów—Niemców tak zaszedł daleko, że nie mogąc rozstać się z wyjeżdżającemi artystami i artystkami cyrkowemi, pociągnęli za niemi do Pskowa. Ta artystyczna wycieczka skończyła się jednak dość tragicznie. Uniwersytet musiał wydelegować 2-ch pedlów do Pskowa, by wydobyć studentów z rąk władzy policyjnej,

w której ręce się dostali, zadłużywszy i zaawanturowawszy się zbytnio. Wprost ze statku, którym przyjechali z pedlami, udali się do karceru, gdzie musieli odbyć dłuższe rekolekcje. Tutaj w swych rozmyślaniach mogli przyjść do przekonania, że nie „ars longa, vita brevis“, lecz przeciwnie „ars brevis, vita longa“.

Dzień Modlitwy i Pokuty, odpowiadający Popielcowi w kraju naszym, był obchodzony w drugą środę postu bardzo uroczyście. Przed reformami, zaprowadzonemi w Liflandji i dorpackim uniwersytecie, dzień ten był świętem krajowym, obchodzonym bardzo solennie. Wszystkie władze dnia tego były nieczynne, sklepy, warstaty zamknięte; w całym kraju we wszystkich kościołach ewangielickich, ($^{9}/_{10}$ ludności było i jest dotąd luterańską), kazano na jeden tekst z Pisma Świętego, zawczasu rozesłany przez generalnego superintendenta liflandzkiego do wszystkich pastorów, a zastosowany do czasu, okoliczności i położenia kraju. Restauracje mogły być otwarte w dniu tym tylko w czasie obiadowym. Wyszynk spirytualji był ograniczony, wódki wcale nie sprzedawano, obiadujący mógł otrzymać tylko jedną butelkę piwa. Po reformach dzień ten stracił w znacznej części, przynajmniej po miastach, charakter świąteczny, zachowując wyłącznie cechy kościelne. Urzędy, które dnia tego były przedtym zamknięte, później funkcjonowały jak w dni powszednie.

Studenci-korporanci niemieccy urządzali w dniu tym demonstracyjne wyjazdy do okolicznych zamiejskich knajp dużemi otwartemi omnibusami, zwanemi od swego koloru „kanarkami“. Te eskapady, nie licujące z powagą i uroczystością dnia, nie były wyrazem antyreligijnych uczuć, były tylko młodzieńczym protestem przeciw zamknięciu lokalów restauracyjnych.

W roku 1883 obchodzono w całym kraju Nadbaltyckim z wielką uroczystością 400-letnią rocznicę urodzin Lutra. Nietylko zbory religijne, lecz całe miasto ze swemi reprezentantami, zarządem i burmistrzem (dr. G, Oettingen), uniwersytet, korporacje, cechy, różne stowarzyszenia brały w niej żywy udział. Burmistrz ze stopni ratusza miał podniosłą przemowę do zgromadzonych przed magistratem przedstawicieli władz i stowarzyszeń. Uroczyste usposobienie panowało w dniu tym w całym mieście.

Wielką doroczną uroczystością, nietylko dla studentów—Niemców ale i dla całego miasta, była Noc Majowa t. zw. Walpurgisnacht. Odbywała się ona na obszernym placu u stóp wspaniałych tumskich ruin. Na tym placu, który był z trzech stron okolony wielkiemi drzewami, każda korporacja rozpalała ogień (drzewo potrzebne na pięć do sześciu ognisk dostarczał uniwersytet, aby zapobiec rozbieraniu płotów sąsiednich ogrodów), szczyt ruin illuminowano. Młoda zieleń parku tumskiego, ogromne i wspaniałe ruiny dawnego krzyżackiego kościoła, w którym w czasie przynależności Dorpatu do Polski Skarga przemawiał, oświecone płonącemi stosami i ogniami bengalskiemi, prawdziwie uroczy sprawiały widok. Z wybiciem 12-ej godziny z setek młodych piersi rozbrzmiewała pieśń: „Der Mai ist gekommen", a ze szczytu ruin puszczano fajerwerki. Śpiewy i za obfite może libacje przeciągały się do rana. Za moich czasów Polonja (konwent polski) nie brała w tym feście oficjalnego udziału. Zbieraliśmy się jednak zwykle u jednego z kolegów, mieszkającego w pobliżu tumu, gdzie, zaopatrzeni w parę koszyków piwa, witaliśmy dzień pierwszego maja. Niedobrą stroną tej nocy majowej były liczne zajścia wśród studentów t. zw. „Reissereien". Na szczęście kończyły się one pokojowo i bez poważnych następstw. Obchód ten został wreszcie zakazany przez rektora Budiłowicza, obchód, który był miły całemu miastu i nikomu nie szkodził.

W czasach między 1850 a 80-ym rokiem dobrze znanym był wśród „Polonji" szewc Peterson, nietylko jako rzemieślnik, ale też jako zawołany myśliwy. Często jeździli z nim koledzy na jezioro Pskowskie, na wyspę Mieżę na kaczki, których tam było tysiące. Peterson trzymał aż do późnych lat swego życia doskonałe psy myśliwskie. Doczekał się późnych lat w dobrym i czerstwym zdrowiu. Choć nie miał szkolnego wykształcenia, posiadał jednak zdrowy rozum i wolnomyślny światopogląd; był pochodzenia szwedzkiego, czym się lubił chwalić. Odznaczał się prawością i uczciwością, o czym świadczyła jego wyrazista pogodna, otwarta twarz. Miał swój warstat naprzeciwko Mussy Akademickiej; obuwie jego odznaczało się dobrocią i trwałością.

Znajomością z wyspy Mieży był starowier Emiljan, którego w chacie paru studentów z Polonji przepędziło raz część wa-

kacji, zapamiętale polując. Emiljan przyjeżdżał parę razy do roku łodzią do Dorpatu, przywożąc suszone i wędzone ryby, drzewo i dziegieć. Za swej bytności w mieście odwiedzał zwykle znajomych studentów. U jednego z nich poznałem go przypadkowo. Przyszedł w odwiedziny z jakiemiś starowierczemi księgami i dwiema butelkami wódki: te ostatnie były gościńcem dla dawnego znajomego. Z ksiąg swoich dowodził nam, ile jeszcze czasu pozostało do przyjścia Antychrysta i kto nim będzie napewno. Częstowany papierosami, ze wstrętem odsunął pudełko, zaklinając nas, abyśmy zaniechali palenia, które jest wielkim grzechem i gubi duszę. Na naszą uwagę, że przecież picie wódki i upijanie się należy uważać raczej za grzech, odrzekł, że picie wcale nie jest zdrożnością, gdyż nie to kala człowieka, co wchodzi do ust, ale to, co z nich wychodzi t. j. dym tytuniowy (tak pojmują starowierzy ten werset z Pisma Świętego).

Jeszcze wzmianka o jednej całemu Dorpatowi znanej osobistości.

Wkrótce po wzięciu przez wojska rosyjskie Szypki przyjechał do Dorpatu dowodzący Turkami w tym ważnym strategicznym punkcie Osman-pasza (nie Gazi Osman pasza, bohater Plewny). Pierwiastkowo, jako jeniec, był on wysłany do Kaługi, lecz następnie dla poratowania zdrowia uzyskał pozwolenie na mieszkanie w Dorpacie. Broniąc dzielnie przez czas długi przejścia przez Bałkany, nabawił się wśród strasznych zawiei i mrozu chronicznego reumatyzmu. Przybył do Dorpatu dla leczenia się. Towarzyszyło mu dwóch gwardzistów, kolosalnego wzrostu o marsowych postaciach i pięknych twarzach Turków. Osman-pasza chlubił się tym, że nie z własnej woli oddał Szypkę Rosjanom, lecz jako podkomendny, na wyraźny piśmienny rozkaz swego naczelnika, Wessela-paszy. Rozkaz ten zaszyty w mundurze nosił zawsze z sobą. Był on uprzejmym człowiekiem, którego odpowiednio do jego wojskowej rangi przyjmowali przedstawiciele władz miejscowych. Przy jego wyjeździe z Dorpatu żegnano go ostentacyjnie. Niektóre korporacje w czasie pobytu Osmana zapraszały go na komersy, a Kuronja ofiarowała mu na wyjezdnym piękny bukiet. Porozumiewanie się z Osmanem-paszą było dość utrudnione, gdyż prócz kilkudziesięciu rosyjskich i niemieckich wyrazów

nie władał, z wyjątkiem tureckiego, żadnym językiem. Nieodstępnym jego towarzyszem był Wielihow, Bułgar, drobny kupiec dorpacki, który służył mu za tłomacza. Zresztą w Dorpacie nie internowano niewolników tureckich; było ich wielu natomiast w mniejszych miastach kraju nadbaltyckiego. Odznaczali się oni uczciwością, trzeźwością i pracowitością, a jako robotnicy byli bardzo poszukiwani i cenieni.

Zapowiedzią rusyfikacji, nietylko uniwersytetu ale sądownictwa oraz wszystkich instytucji kraju nadbaltyckiego, była rewizja senatora Manasiejna. Rewizja ta, jakkolwiek nie miała tego na celu, jednakże de facto rozpętała żywioły wywrotowe, rozbudziła daleko sięgające socjalistycznie zabarwione nadzieje i wywołała, szczególnie w łotewskiej części Liflandji, niebywały zamęt. Strzelanie z ukrycia do przejeżdżających obywateli, napaści i pożary nie były rzadkością. W Dorpacie nastała wprost jakaś epidemja pożarowa; nieraz jednej nocy, zwykle około 2-ej, w dwóch a nawet 3-ch miejscach wybuchał ogień. Przypadek wykrył, że sprawcą tej klęski pożarowej był student J., należący do korporacji ryskiej. Okazało się, że on wywołał pożar w domu księgarza Hoppego przy dużym rynku. Student Hahn, mieszkający na 3-im piętrze, ratując się przed ogniem, wdzierającym się już do jego pokoju, zbudzony ze snu wyskoczył z okna, przyczym życie postradał. J., sprawca tego pożaru, okazywał dla zatarcia podejrzeń swe żywe współczucie ciężko rannemu koledze. Innym razem J., odwiedziwszy na ulicy Jacobstrasse kilku Rygarzy, schodząc ze schodów, podłożył szmaty i pakuły, oblane naftą. Dym i swąd zbudziły czujność gospodarza, który zdołał wczas ogień stłumić. To właśnie podpalenie bez groźnych skutków posłużyło do ostatecznego zdemaskowania J., jako podpalacza. Nawet w samym gmachu uniwersyteckim w składzie drzewa wybuchnął w porę ugaszony ogień. Czy wszystkie lub znaczna część wynikłych w tym czasie pożarów były dziełem J., tego nie można było stwierdzić. Wielka była radość „Świeta“ i innych podobnych gazet, gdy się rozeszła wiadomość, że student uniwersytetu dorpackiego jest podpalaczem. Radość ta jednak była krótkotrwała. Pokazało się, że J. był urodzony w Petersburgu, tam wychowany i że był prawosławny. Kolorów kor-

poracyjnych nigdy nie miał, przypisał się tylko do stowarzyszenia. J., stawiony przed sąd, oddany został pod lekarską obserwację i uznany za cierpiącego na pyromanję.

Bodaj w roku 1883 (?) przyjechał do Dorpatu wielki książe Włodzimierz, co było dla setek i tysięcy gapiów wielkim widowiskiem. Przyjechał z Gdowa, leżącego nad jeziorem Czudzkim, statkiem rządowym. Statek zatrzymał się przed mostem kamiennym przy specjalnie wybudowanej werandzie, z której dworskim powozem pojechał do domu hr. Manteuffla, gdzie też przez czas swego pobytu w Dorpacie zamieszkał. Na koźle powozu siedział lokaj w dworskiej liberji. Dla gapiów, podziwiających wjazd wielkiego księcia, było kwestją wątpliwą i nierozstrzygniętą, kogo uważać za brata cesarskiego: czy siedzącego w powozie obok wielkiej księżnej osobnika w zwyczajnym mundurze wojskowym, czy też siedzącego na koźle człowieka, odzianego w płaszcz koloru szkarłatnego z szerokim galonem. Większość była zdania, że wielki książę siedział na koźle, przemawiał za tym ubiór wspaniały i ta okoliczność, że z kozła mógł lepiej przyjrzeć się miastu. Przyjazd Włodzimierza do kraju baltyckiego był ważnym w jego dziejach i przyszłych losach wypadkiem. W przemówieniach swoich w Rewlu, w Dorpacie i Rydze wielki książę wskazywał na konieczność coraz większego zespolenia się kraju z cesarstwem, co jest, jak dobitnie podkreślał, niezłomną wolą jego cesarskiego brata. Była to urzędowa zapowiedź rusyfikacji kraju, która miała być wkrótce gruntownie i bezwzględnie w kraju przeprowadzona.

Po rewizji senatora Manasiejna i wizycie W. K. Włodzimierza zaczęły się coraz bardziej mnożyć objawy, zapowiadające radykalne zmiany w uniwersytecie. Po rektorze Schmidtcie jego następcą był Majkow, już nie z wyboru, lecz z ramienia ministerjum. Jeszcze przed ustąpieniem S. proponowano rektorstwo Walerjanowi Podwysockiemu, który jednak nie chciał dać się użyć za narzędzie rusyfikacji. P. pochodzenia polskiego, lecz czujący się Rosjaninem, był osobistością wyjątkową, Po ukończeniu prawa w kijowskim uniwersytecie, gdzie otrzymał dwa medale, służył w różnych dykasterjach i brał czynny udział przy uwłaszczeniu włościan. Był członkiem czernihowskiego komitetu do spraw włościańskich, deputowanym w tychże

sprawach do Petersburga, w końcu prezesem czernihowskiej izby mierniczej i jako taki wziął dymisję i zapisał się 1872-go roku na studenta uniwersytetu dorpackiego jako medyk; miał wówczas lat 50; studjował do roku 1878-go. W ciągu swych studjów otrzymał złoty medal (syn jego jednocześnie studjował w Petersburgu także medycynę, którą ukończył nieco później od ojca swego). Po doktoryzowaniu się P. został asystentem przy farmakologicznym instytucie w Dorpacie. Był następnie docentem a od roku 1885-go zwyczajnym profesorem w Kazaniu. Tutaj zaproponowano mu rektorstwo w Dorpacie, którego nie przyjął: zacne przekonania Podwysockiego nie pozwalały mu podjąć się dzieła, którego przeprowadzenie chciano mu poruczyć.

Prof. Majkow, niegdyś rektor z wyboru, po pewnym wahaniu się przyjął rektorstwo z naznaczenia. Jako profesor prawa rzymskiego, autor wybornego podręcznika do pandektów, i jako prawnik miał wielkie uznanie i wielce był ceniony; jako rektor i dawniej nie był lubiany, gdyż był formalistą i pedantem. Za swego powtórnego rektorstwa, trzeba mu przyznać, nie dawał od siebie żadnej szkodliwej inicjatywy, był jednak ścisłym wykonawcą wszelkich danych mu zleceń.

Jego następcą był Budiłowicz, znany u nas ze swej działalności jako prof. warszawskiego uniwersytetu. Ten z gorliwością „działacza“ zabrał się do rusyfikacji wszechnicy. Pierwsze jego wystąpienie w Dorpacie było dość niefortunne i komiczne. Przyjechał bez wszelkich papierów; uniwersytet nie otrzymał również żadnej wiadomości o nominacji Budiłowicza. Prof. Draggendorff zatym, ówczesny prorektor-zastępca rektora, oświadczył B., że żadnego rektora B. nie zna i że go do funkcji rektorskich nie dopuści. Oburzony B. tym nieoczekiwanym przyjęciem, zwołał niezwłocznie conseil, na który jednak nikt z profesorów nie przyszedł, nie wyjmując nawet paru profesorów Rosjan. B. pierwszym pociągiem pospieszył do Petersburga, skąd po kilku dniach zjawił się z nominacją w ręku i rozpoczął swoją robotę. Na początku urzędowania rektora B. zaszło swego rodzaju nieporozumienie, a powodem było drzewo, przeznaczone na opał gmachu uniwersyteckiego i różnych jego instytucji. B. kazał znaczną ilość tego drzewa, będącego własnością uniwersytetu, a zatym rządową, przewieźć

ze składu na swój własny użytek; chodziło jakoby o kilkanaście sążni. Jeden z profesorów wniósł tę kwestję do dyrektorjum (była to jeszcze wówczas nie zniesiona władza administracyjna uniwersytetu), które od siebie zaniosło skargę do ministerjum na rektora za używanie własności uniwersyteckiej na swoje prywatne potrzeby. Przez długi czas nie było żadnej odpowiedzi; gdy w końcu nadeszła, przyznawała wprawdzie słuszność dyrektorjum, lecz zarazem wyrażała zdziwienie, że z tak małej rzeczy robi się tak wielką historję. Wkrótce po tej odpowiedzi rektor B. otrzymał 1000 rb. dodatku, zapewne na drzewo. Dawny statut zastąpiono innym, obowiązującym uniwersytety Cesarstwa. Rektor, dziekani, jak też i profesorowie, byli odtąd nie z wyboru, lecz mianowani przez ministra. Urząd prorektora zniesiono i zastąpiono inspektorem, naznaczanym nie z pośród profesorów. Sąd uniwersytecki zniesiono; studentów oddano pod policję i zwykłe sądy. Przedewszystkiem na wydziale prawnym wprowadzono wykłady rosyjskie i wyznaczono profesorów Rosjan. Z profesorów-Niemców pozostawiono tylko jednego Engelmana, profesora prawa państwowego rosyjskiego, którego zdegradowano na docenta. Na innych wydziałach również stopniowo wprowadzano wykłady w języku rosyjskim. Kto z dawnych profesorów nie mógł lub nie chciał wykładać w języku państwowym, jeśli nie został usunięty zaraz, to pobierał pensję według starego statutu, t. j. znacznie mniejszą od pensji według etatu nowego, którą pobierali wykładający w języku państwowym. Wkrótce na całym uniwersytecie prócz wydziału teologicznego, który jeszcze ocalał, wszystkie wykłady odbywały się w języku państwowym. Lecz i wydział teologiczny był kilkakrotnie atakowany, ale z różnych względów zostawiono mu jeszcze język niemiecki. Wobec tych reform dobrze scharakteryzował położenie profesor-emeryt Al. Oettingen, porównywając uniwersytet z tonącym statkiem, nad którym jeszcze powiewa mała flaga, unosząca się nad otchłanią.

Za dawnych czasów odbywały się podczas zimowych miesięcy w auli co środy, w godzinach popołudniowych, popularne odczyty z różnych dziedzin wiedzy dla szerszej publiczności, wygłaszane przez profesorów. Co niedziela po południu w tejże auli odbywała liczna amatorska orkiestra ćwi-

czenia swoje, zaznajamiając słuchaczy z arcydziełami muzyki świeckiej i kościelnej. Najsławniejsi artyści w drodze do lub też z Petersburga zatrzymywali się w Dorpacie i występowali w auli, która przez dawnych rektorów chętnie była na te koncerty użyczana. Wszystko to dawało obfity duchowy pokarm, kształciło, podnosiło poziom umysłowy, etyczny i estetyczny, nietylko młodzieży uniwersyteckiej, ale i całego miasta. Wszystko to jednak ustało z reformą uniwersytetu. Progi auli stały się niedostępnemi dla odczytów niemieckich, dla ćwiczeń orkiestry i występów artystów europejskiej sławy. Takie gwiazdy, jak Rubinstein, obaj Wieniawscy, Kątski, Sarasate, Bülow, Artot, Reisenauer, Śliwiński i wielu innych, przesunęły się przez aulę dorpacką. W gmachu uniwersytetu, w sali, mieszczącej dotąd gabinet mineralogiczny, została urządzona cerkiew, do której prócz studentów prawosławnych uczęszczają uczniowie tegoż wyznania średnich zakładów naukowych. Po urządzeniu tej cerkwi postawiono na gmachu uniwersyteckim dwa krzyże prawosławne: jeden mniejszy, nad dzwonnicą od strony podwórza, a drugi od frontu, duży, na szczycie fasady gmachu. Prof. Volck nazwał ten krzyż pomnikiem rosyjskim na grobie niemieckiej nauki. Zbytecznym byłoby wspominać, że po zaprowadzeniu reformy poziom naukowy uniwersytetu znacznie się obniżył. Szczególnie świetne niegdyś czasy wydziału medycznego przeszły do tradycji; zostały tylko wspomnieniem.

Niektóre kliniki, przynajmniej przejściowo, prawie opustoszały; szczególnie tyczy się to kliniki ginekologicznej. Tylko chirurgiczna nie przestała cieszyć się zaufaniem, gdyż na jej czele stali jeszcze profesorowie Koch i Manteuffel. Po przeprowadzeniu tych reform odwiedził Dorpat minister Deljanow, poddając uniwersytet osobistej rewizji, jak gdyby sankcjonując ostatecznie zaprowadzone zmiany. Przy przedstawieniu się profesorów ministrowi, zgrzybiałemu starcowi, który był tylko figurantem, jeden z nowych profesorów wygłosił mowę o cywilizacyjnej misji rusyfikacji i kościoła prawosławnego wogóle, a w szczególności na kresach. W zapale posunął się aż do twierdzenia, że tylko prawdziwie ruski człowiek może byó dobrym wychowawcą, pedagogiem i obywatelem. Deljanow, należący do kościoła ormiańskiego, odrzekł na tę

mowę, że cesarz musi być jednak innego zdania, gdyż nie byłby go (Deljanowa) naznaczył ministrem oświaty i nie trzymałby go przez szereg lat na tym ważnym stanowisku. Można sobie wyobrazić przerażenie mówcy i zakłopotanie jego rosyjskich kolegów.

Zbliżam się ku końcowi mych wspomnień. Wzmianką o rusyfikacji mógłbym je zakończyć. Jednak, jako były słuchacz wydziału teologicznego, oraz ekonomji politycznej i statystyki, pozwalam sobie jeszcze powiedzieć słów kilka o wykładających na tych obu fakultetach, o ile o nich dotąd nie wspominałem.

Na wydziale teologicznym prócz prof. Kurtza, o którym wyżej już była mowa, byli profesorami: Al. v. Oettingen (dogmatyka i etyka), von Engelhardt (historja kościelna), Christiani (teologja praktyczna). Docentem był I. Lütkens. Dwaj ostatni byli jednocześnie pastorami i kaznodziejami zboru uniwersyteckiego. Prof. Volck i Mühlau reprezentowali egzegezę starego i nowego Testamentu. Oettingen odznaczał się wszechstronnym wykształceniem i obszerną wiedzą. Wymagał też od kończących wydział teologiczny dużego oczytania. Słusznie był on zdania, że przyszły duszpasterz winien być człowiekiem wszechstronnie wykształconym. Prócz dogmatyki w kilku tomach, którą wydał, jako owoc swej długoletniej profesury, najważniejszym jego dziełem jest Statystyka i oparta na niej Etyka Socjalna; dzieło to powstało na tle wymiany poglądów między prof. Wagnerem, ekonomistą politycznym, a Oettingenem. W. wydał pracę „O prawidłowości pozornie dowolnych czynów ludzkich", która zdawała się przeczyć ich dowolności. Spór stąd powstały pobudził Oettingena do badań statystycznych i napisania obszernego dzieła statystycznego, które duże zyskało uznanie i wśród fachowych statystyków. Oettingen napisał także komentarz do „Fausta" i był również gruntownym znawcą i wielkim czcicielem Szekspira. Profesor Engelhardt wywierał na studentów duży wpływ swą osobistością i swym charakterem. Co Engelhardt mówił i pisał, tchnęło głębokim przeświadczeniem. Jego kazania, które wygłaszał czasami w kościele uniwersyteckim, duże i długotrwałe pozo-

stawiały po sobie wrażenie. Książka jego (Dwaj świadkowie prawdy) napisana w czasie (około 1860 r.) ukazywania się licznych dzieł o żywocie Chrystusa Pana, była jedną z najlepszych, najgruntowniejszych i najbardziej objektywnie napisanych w tej żywotnej kwestji. Temi dwoma świadkami prawdy byli Strauss i Schenkel, których przeciwstawia sobie i jednego drugim zbija. Prof. Christiani również miał znaczny osobisty wpływ na studentów. Po wyborze jego na jeneralnego superintendenta liflandzkiego został jego następcą Teodozjusz Harnack, autor obszernej kilkotomowej Teologji Praktycznej. Docent Lütkens, zarówno jako wykładający jak i kaznodzieja, odznaczał się jasnym, przejrzystym wykładem i ścisłą logiką, w przeciwstawieniu do wykładów Oettingena, które były chociaż świetne co do formy, często rozwlekłe i wodniste. Wykład Luetkensa był zwięzły i krótki. Bardzo pouczające były jego dogmatyczne privatissima (wieczorki), na które dość licznie uczęszczano i z których dużą wynoszono korzyść. W tym czasie, kiedy chodziłem na te privatissima, brali w nich także udział kolega Cerawski z Wilna, Ad. Harnack, Neander i t. d. Wspominając o mych dawnych profesorach, wymieniam tylko niektóre ich prace. Dokładny obraz ich naukowej działalności znaleźć można w książce, wydanej na pamiątkę setnej rocznicy założenia U. D. Każdy wydział zobrazował w osobnym tomie swą działalność naukową w omawianym stuleciu. Prof. Hoerschelman, który po prof. T. Harnacku objął katedrę, napisał historję wydziału teologicznego w języku niemieckim. Następcą Kurtza, o którym wyżej obszernie mówiłem, na katedrze języka hebrajskiego, która została rozszerzona na katedrę języków semickich, był Volck, za którego czasów znajomość hebrajszczyzny wśród teologów dorpackich znaczne zrobiła postępy. Wykłady jego umiały przykuwać uwagę słuchaczy. Szczególnie zajmujące były odczyty z biblijnej teologji (rozwój pojęć religijnych w St. i N. Testamencie, przedmiotu dotąd w Dorpacie nie wykładanego). Prof. Volck, jako profesor-emeryt, opuścił Dorpat, powołany do Rostoku, a następnie do Giessen. Prof. Mühlau zajmował katedrę egzegezy Testamentu. Cechowała go wielka skrupulatność i drobiazgowość, połączone ze ścisłością naukową. Prof. V. i M. wygłosili w auli uniwersyteckiej parę odczytów dla szerszej publi-

czności na temat: „Czy Biblja jest słowem bożym, czy też należy twierdzić, że tylko zawiera słowo Boże". Odczyty te dały powód do długiej polemiki, wywołanej wśród pastorów nadbaltyckich. Obaj profesorowie słusznie twierdzili, że P. S. zawiera tylko słowo boże, a nie jest nim w każdym wyrazie, zawartym w Piśmie.

Następcą Volcka został uczeń jego, Al. von Bulmering; specjalnością prof. B. jest prócz hebrajskiego język arabski, nad którym odbywał specjalne studja w Lipsku u sławnego znawcy tego języka—Socyna. W Lipsku spędził B. dłuższy czas wśród grupy Arabów, którzy tam w liczbie kilkunastu rozbili swe namioty. Wykłady prof. B., jak mi to wiadomo z opowiadań jego słuchaczy, odznaczają się jasnością, piękną formą i słuchane są z wielkim zajęciem i korzyścią. Uprzejmości prof. B. zawdzięczam sam dużo pożytecznych i przyjemnych chwil. Nauczycielem w Łodzi zostałem w r. 1891 na zasadzie wysłuchanego całkowitego kursu na wydziale teologicznym i świadectwa ze zdania egzaminu z ekonomji politycznej. Postanowiłem jednak, już jako nauczyciel, złożyć egzamin i z teologji. W tym celu jeździłem kilkakrotnie do Dorpatu. Wydział teologiczny, którego dziekanem był wówczas prof. Volck, dopuścił mnie do egzaminu w 2-ch terminach. Prof. B., wówczas jeszcze docent, dowiedziawszy się, że przez czas letnich ferji będę w Dorpacie, był tak uprzejmy, że zaproponował mi codzienne colloquia z biblijnej teologji, introdukcji do Starego Testamentu i t. p. Codziennie o godz. 8 wiecz. stawiałem się u szanownego profesora, skąd wychodziliśmy na parogodzinny spacer w okolice Dorpatu. Każdy taki spacer wymagał z mej strony kilkogodzinnego przygotowania się w kwestji, którą szanowny profesor zamierzał mi wyjaśnić lub zrozumienie pogłębić. I w tych moich wspomnieniach pozwalam sobie wyrazić prof. B. moją gorącą wdzięczność. Z przedmiotów, powtarzanych ze mną przez prof. B., zdawałem u prof. Volcka.

(Dodam tutaj nawiasem, że stryj prof. B. był przed laty profesorem prawa międzynarodowego i rektorem w Dorpacie. Po wyjściu do emerytury, jeszcze w sile wieku, był członkiem Koła Prawników, z siedzibą w Heidelbergu, zajmującego się kodyfikacją prawa międzynarodowego).

Ekonomja polityczna miała dzielnego reprezentanta w młodym jeszcze uczonym — Dietzlu, powołanym z zagranicy. Wykłady jego były świetne. W ciągu kilkoletniej działalności w Dorpacie wykładał historję ekonomji politycznej, teorję tej nauki, skarbowość, naukę o długach państwowych, politykę handlu i rzemiosł i t. d. Szczególnie historji rozwoju pojęć socjologicznych słuchaliśmy z wielkim zajęciem, chociaż wszystkie wogóle jego wykłady przykuwały naszą uwagę. Niestety, po kilkoletniej działalności w Dorpacie D. został powołany do Bonn. Zastępczo wykładał ekonomję polityczną i egzaminował z niej prof. statystyki, Mukke, który pod żadnym względem nie mógł zastąpić prof. Dietzla. M. bał się wyraźnie, aby jego słuchacze nie zarazili się zbyt postępowemi zapatrywaniami. O nowszych, wybitnych dziełach prawie wcale nie wspominał. Zalecił nam natomiast jakiś przedpotopowy podręcznik (Krausego), nie licujący wcale z ówczesnym stanem nauki. Wykłady statystyczne M. były sumiennie opracowywane, lecz dość nudne. Prof. M. wywodził się z Łużyczan, a nazwisko swoje od wyrazu „muka" — męka. Studenci nie kwestjonowali jego słowiańskiego pochodzenia, lecz nazwisko jego łączyli z wyrazem męka, uważając wykłady M. za prawdziwą męczarnię. Pouczające jednak i korzystne było branie udziału w t. zw. statystycznym seminarjum, w którym słuchacze dokonywali różnych robót i wyliczeń statystycznych. Prof. M. był przed przyjazdem do Dorpatu członkiem biura statystycznego w Berlinie i był więcej praktykiem, niż teoretykiem.

Prócz tych dwóch głównych profesorów D. i M. ekonomiści i statystycy obowiązani byli chodzić na wykłady prof. Brücknera z geografji, statystyki i historji Rosji (o prof. B. była już mowa wyżej), a prof. Waltza—z historji powszechnej. Z wykładów W. najbardziej zajmującemi były odczyty o wielkiej rewolucji francuskiej, źródłowo opracowane. U prof. Teichmüllera słuchaliśmy historji, filozofji, logiki i metefizyki. T. wykładał wszystkie działy filozofji, nadto pedagogikę, filozofję religji i t. p. Z prac T. było najcenniejszym dzieło: „Historja rozwoju pojęć w starożytnej filozofji greckiej". Dzieło to czytało się z wielkim zajęciem. Przedmioty prawnicze, jak nauka o państwie, historja i teorja ogólnego prawa państwowego, prawo państwowe rosyjskie, wykładali docent Bergbohm i prof.

Engelmann. Pierwszy zwykł był pod koniec egzaminu zapytywać zdającego, czy mógłby zostać prezydentem St. Zjednoczonych. Pytanie to tym dało się umotywować, że prezydentem Stanów Zjedn. może być tylko rodowity Amerykanin. Prof. Engelmann, autor dzieła o prawie państwowym rosyjskim, uważanego nawet przez prawników rosyjskich za najlepsze w tej dziedzinie, został przy rusyfikacji uniwersytetu, jak wspominałem, zdegradowany ze zwyczajnego profesora na docenta. Prof. O. Schmidt wykładał prawo prowincjonalne, obowiązujące wówczas w kraju Nadbaltyckim.

Już przed moim wyjazdem do Dorpatu, zatym przed rokiem 1860, słyszałem prawie same niekorzystne opowieści o nim: miał on opinję najgorszą. Pewien nauczyciel gimnazjum realnego (sam kończył przyrodę w Moskwie), usłyszawszy, że się wybieram do Dorpatu, wygłosił na jednej ze swych lekcji filipikę przeciw Dorpatowi, mającą ostrzec młodzieńca, wybierającego się na studja, przed grożącym mu zdeprawowaniem i zgubą. „Studenci dorpaccy", — mówił szanowny zresztą profesor — „noszą w Warszawie w czasie letnich ferji białe czapki, co jest fanfaronadą; chodzą w niezapiętych mundurach bez rękawiczek, co nie jest podług formy; mundury mają źle skrojone i źle uszyte; słowem ci dorpaccy studenci są po większej części „sznapanami"; dalej, ciągle się awanturują, ciągłe wśród nich pojedynki, są fajczarzami (w dawnych czasach rzeczywiście wielu paliło fajki), są piwoszami i karciarzami, ludźmi bez towarzyskiej ogłady" i t. p. Lecz nietylko w tych dawnych czasach, z górą przed pół wiekiem, ale i w ostatnich latach oskarżano studentów-Polaków w Dorpacie o życie niemoralne, a jako dowód przytaczano między innemi wydawanie przez nich pisma humorystycznego z gorszącemi jakoby illustracjami. Na te wszystkie stare i nowe zarzuty jedno tutaj tylko odpowiem (właściwa odpowiedź znajduje się poniżej), że młodzież polska w Dorpacie miała zawsze wstręt do blichtru, frantowstwa i obłudy, nigdy nie była święta i za taką uchodzić nie pragnęła. Co do picia, w ciągu tych wspomnień nieraz zaznaczałem, że pito za dużo, lecz to się tyczyło nie ogółu Polonji, ale tylko małych kółek, że bywało to przemijającym wykolejeniem się jednostek. To

samo trzeba powiedzieć o kartach: gra w nie, a szczególniej hazard, były zawsze przez ogół potępiane i w mieszkaniu konwentowym wzbronione. Tymczasem Dorpat był uważany za polską Sicz, która się usadowiła nad brzegami Embachu. Zobaczmy jednak, co ta osławiona, rozbijająca się i rozpojedynkowana Sicz, co ta gromada młodzieży naszej za ślad po sobie zostawiła, czy i czym zapisała się w przeszłości i teraźniejszości kraju.

Z byłych wychowańców uniwersytetu dorpackiego byli lub są: 1) *profesorami:*

W Warszawie (w Szkole Głównej i uniwersytecie): Tytus Chałubiński, Jakób Natanson, B. Dybowski, Ignacy Baranowski, Jodko-Narkiewicz, Adolf Pawiński, Brudziński, St. Thugutt; tutaj wymieniam także Kazimierza Krzywickiego — dyrektora K. W. i O. P. za reform margr. Wielopolskiego.

W Krakowie: Tajchman, Janikowski St., Klecki K., Klecki W., Lutosławski, Zdziechowski i Br. Kader.

We Lwowie: B. Dybowski, Siemiradzki.

W Dorpacie: Mikrzewicz (przeniesiony do Kazania), Wikrzemski, Świrski, Hryniewiecki (wszyscy trzej byli docentami).

W Odessie: Rottert Władysław i Hryniewiecki (przeniesiony z Dorpatu).

W Kazaniu: Mikrzewicz, Hrechorowicz T.

W Zurychu: Limanowski B.

2) *Uczeni, literaci i autorowie:*

Al. Jabłonowski—znakomity historyk Rusi.

Załęski—autor wielu prac statystycznych i naczelnik biura statystycznego w Warszawie.

Gustaw Manteuffel — autor kilku prac historycznych i archeologicznych, tyczących się zabytków polskich w kraju Nadbaltyckim. Napisał także książkę o dawnym Dorpacie i byłym uniwersytecie dorpackim z wielu pięknemi ilustracjami. (Szkoda jednak, że praca ta zawiera kilka błędnych informacji o samym Dorpacie, o kolegach z ostatniej doby, jak również o kolegach z dawniejszych czasów).

Józef Weyssenhoff—autor „Pana Podfilipskiego" i wielu innych utworów powieściowych, prawdziwych pereł naszej literatury.

Andrzej Niemojewski — autor licznych prac naukowych i redaktor „Myśli Niepodległej".

Pomijam liczne prace naukowe z dziedziny medycyny, gdyż musiałbym przytoczyć wiele dziesiątków nazwisk. Wspomnę tylko o dziele niedawno zmarłego Bronisława Ziemińskiego (Oftalmologja), dużej naukowej wartości; o pracach z dziedziny medycznej i społecznej H. Nusbauma, o L. Guranowskim, jako redaktorze czasopisma naukowego lekarskiego, i o J. Peszkem, autorze licznych prac naukowych.

Tutaj wspominam również o Stefanie Hłasce, dyrektorze obserwatorjum astronomicznego w Tyflisie, St. Kiersnowskim, dyrektorze instytutu fizycznego w Petersburgu, o Machlejdzie, dyrektorze gimnazjum imienia Reja, o Wł. Piotrowskim, kierowniku szkoły przemysłowo-technicznej.

3) *Z lekarzy* wymieniam jeszcze tych tylko, którzy są założycielami zakładów leczniczych lub ich kierownikami:

W Dynaburgu: Hołowko (wzorowy zakład położniczy).

W Wilnie: T. Dembowski (klinika chirurgiczna) i Rymsza (klinika akuszeryjna); B. Hłasko i K. Dąbrowski (zakład oftalmologiczny im. Przeździeckich).

W Poniewieżu: J. Cumpft (lecznica oczna).

W Łodzi: Krusche (klinika przeważnie chirurgiczna); Tochterman (klinika terapeutyczna); St. Dąbrowski (zakład dentystyczny).

W Warszawie: A. Natanson (klinika akuszeryjna); R. Radziwiłłowicz (zakład psychjatryczny); E. Orłowski (klinika chorób wewnętrznych); St. Gurbski (klinika chirurg. i terap.); Ks. Watraszewski (nacz. lekarz szpitala Św. Łazarza, znany w literaturze medycznej zagranicznej ze swej metody leczenia).

W Petersburgu: Ziemacki (nacz. lekarz klinicznego instytutu Heleny Pawłówny, znany działacz w tamtejszej kolonji polskiej).

4) *Prawnicy:* Wolff A., Wilczewski, Kokeli, Supiński, Wydżga, (stosunkowo niewielka liczba dorpatczyków wśród naszej palestry tłumaczy się tym, że w Dorpacie nie był wykładany kodeks Napoleona; obowiązujący w Król. Polskim).

5) *Gdybym* chciał wymienić wszystkich wybitnych pracowników *na różnych polach* działalności, zapełniłbym ich nazwiskami całe stronnice. Przytaczam więc tylko niektórych,

przeważnie starszych wiekiem ode mnie, których miałem sposobność spotykać na zebraniach dorpackich w Warszawie:

Kłobukowski (radca komitetu Tow. Kr. Z); dr. Głowacki (obyw. ziemski), Mogilnicki i Zaleski (również ziemianie), mecenas A. Wolff i prof. I. Baranowski (już wyżej przytoczeni; obaj zawsze bardzo życzliwi młodzieży naszej w Dorpacie), Jabłonowski (historyk), dr. Majkowski, prawnik Maciejewski, Manitius (generalny superintendent), Rewieński.

Na zjazdach dorpackich, urządzanych w Warszawie (przez kol. dr. Szmakfefera), w Wilnie (przez dr. Bern. Hłaskę), w Dynaburgu (przez dr. Hołowkę i braci Szachnów—ziemian), w Kijowie (przez dr. M. Pietkiewicza, dr. Jana Hoenego, znanego na Rusi lekarza chorób oczu, i dr. Trzebińskiego, znanego naturalisty i myśliciela) spotykałem liczne dziesiątki kolegów z różnych czasów, którzy wszyscy niemal ważne zajmują placówki i z pożytkiem na nich pracują.

6) *Z pastorów* wymieniam: L. Ottego, Haberkanta i Boernera (młodszego), których nazwiska łączą się z rokiem 1863. Pastor Otto, syn oficera wojsk polskich, był znakomitym mówcą. Wydał zbiór kazań na rok cały, wygłoszonych w Warszawie i Cieszynie, nadto kazania na 10 przykazań i na „Ojcze nasz". Wydał „Historję Zboru Warszawskiego", „Rozmyślania i Modlitwy dla ewangielików", oraz wiele innych książek. Założył w r. 1862 pismo „Zwiastun Ewangieliczny", który wydawał przez szereg lat. Wdzięczny Zbór postawił mu na cmentarzu pomnik, przedstawiający Ottego, wygłaszającego mowę. Rysy i postać znakomitego kaznodziei uchwycone z wielką prawdą. Naokoło podstawy są wyryte tytuły głównych prac wydanych przez O. Jeneralny superintendent, J. Bursche, jest odnowicielem „Zwiastuna Ewangielicznego", wydawcą i redaktorem tego, tak potrzebnego i pożytecznego pisma.

7) *Ze znanych ziemian* przytaczam tylko: Suchorzewskiego, Czekanowskiego, W. Łaźniewskiego, L. Platera (jest zarazem dyrektorem Banku Kred. Ziemsk. w Wilnie), Józefata Platera, Orlikowskiego, Starorypińskiego, Wiktora Hłaseka i t. d.

8) *Członkami Dumy* w Petersburgu byli: Suchorzewski, Szachno Bogdan, Wiszniewski i Wł. hrabia Grocholski.

9) Członkami Rady Państwa z wyboru: Hipolit Milewski, Olizar i Ksaw. Orłowski.

Między r. 1846 a 1892 następujący koledzy otrzymali, w czasie swych studjów, za prace i rozprawy naukowe złote lub srebrne medale (m. s. — medal srebrny; m. z — medal złoty; r. med. — rozprawa medyczna; r. praw. — rozprawa prawnicza. Rok na końcu oznacza rok napisania rozprawy).

Benni Herman z Królestwa Polskiego m. s. r. filozof. 1856.
Bouffał Stan. z Litwy m. z. r. matem. 1889.
Dybowski Benedykt z Litwy m. z. r. med. 1856. (D. B. jako rozprawę doktorską napisał obszerną pracę o rybach w rzece Aa i jej dopływach).
Dybowski Wład. z Litwy m. z. r. botan. 1860.
Epstein Eug. z Królestwa m. z. r. praw. 1883.
Epstein Szymon z Królestwa m. z. r. med. 1885.
Jakowicki Antoni z Litwy m. z. r. med. 1873.
Kokeli Józef z Królestwa m. z. r. praw. 1857.
Korbutt Gabr. z Litwy m. z. r. filolog. 1890.
Kozarzewski Zbign. z Litwy m. z. r. fizycz. 1892.
Mikszewicz Jul. z Litwy m. z. r. ekonom. pol. 1846.
Natanson Jakób z Królestwa m. z. r. chem. 1853.
Nierzkowski Jan z Królestwa m. z. r med. 1855.
Pietkiewicz Apol. z Litwy m. s. r. fiz. 1852.
Piotrowski Józef z Królestwa m. z. r. med. 1855.
Plater Michał z Litwy m. z. r. dypl. 1856.
Plater Józefat z Litwy m. z. r. praw. 1881.
Rothert Wład. z Litwy m. z. r. botan. 1884.
Schoeneich Alek. z Królestwa m. z. r. teol. 1884.
Wolff Andrzej z Królestwa m. z. r. praw. 1851.
Załęski Witold z Litwy m. s. r. ek. pol. 1856.

Oto dorobek duchowy młodzieży polskiej dorpackiej od najdawniejszych czasów uniwersytetu aż do doby ostatniej. Ta mniemana Sicz dorpacka wydała w ciągu dziesiątków lat nie dziesiątki lecz setki zasłużonych mężów, pożytecznych obywateli na wszystkich niemal polach pracy. Że się to stać mogło, że taki bilans wykazuje młodzież polska, to przedewszystkim przypisać należy pracy i poważnemu traktowaniu swych obowiązków samej młodzieży, pomimo piwa, pojedynków i awanturowania się, a następnie zachowaniu się

byłej Alma Mater dorpackiej względem studjujących. Dawniej profesorowie wymagali nietylko wyuczenia się wygłoszonego kursu danego przedmiotu, lecz czytania i wertowania odpowiednich dzieł, słowem żądali sumiennych i poważnych studjów.

Do naszego wewnętrznego studenckiego życia uniwersytet wcale się nie mięszał (o ile do tego nie był przynaglony z góry), zostawiając nam zupełną swobodę rządzenia się i rozwoju. Gdy na innych uniwersytetach państwa obowiązywał względem Polaków procent i gdy ich na wszelki sposób szykanowano, dorpacki uniwersytet nie robił między nami a resztą studentów żadnej różnicy i był nam zawsze życzliwy. To jest przyczyną, że dawni wychowańcy U. D. we wdzięcznej pamięci zachowali dawną dorpacką Alma Mater.

Kończąc te wspomnienia i ja zwracam swą wdzięczną myśl ku dawnej wszechnicy dorpackiej i składam należny jej hołd. Zastępowała ona nam chociaż w części wyższą uczelnię, której nie mieliśmy w kraju. Czy po tej strasznej wojnie będzie jeszcze w Dorpacie uniwersytet i w jakiej postaci, to wykaże dopiero czas po zawarciu pokoju. Dla nas w każdym razie U. D. traci swe dawne znaczenie, dla nas już należy do niepowrotnej, lecz zawsze mile i wdzięcznie wspominanej przeszłości.

Jako uzupełnienie tej książeczki, podaję listę b. członków i filistrów „Konwentu Polskiego" w Dorpacie, ułożoną alfabetycznie z „Albumu Polonji" przez kolegę D-ra Stanisława Gurbskiego, a mnie przez niego uprzejmie ofiarowaną. Lista sięga do roku 1860 włącznie, a kończy się na r. 1898. Zawiera około 460 nazwisk dawnych kolegów. Album Polonji ma duże braki, więc i lista niniejsza nie jest zupełnie dokładna. Wyrażając Szanownemu i Kochanemu Koledze St. Gurbskiemu mą wdzięczność za ten spis (najdokładniejszy jaki znam), mam nadzieję, że po uciszeniu się burzy wojennej ktoś z młodszych kolegów doprowadzi go według Albumu do lat ostatnich.

Andrzejewski Edward
Andrzejewski Henryk
Arnold Eugenjusz
Baranowski Wojciech
Baudouin de Courtenay Aleksander
Behrens Bronisław
Bereśniewicz Franciszek
Bernatowicz Bolesław
Beym Wilhelm
Bieńkowski Jan
Biernacki Stanisław
Biliński Franciszek
Bittner Edmund
Bloch Henryk
Bogdanowicz Leon
Bohdanowicz Aleksander
Borowski Janusz
Borowski Adam
Bortnowski Józef
Bratanowicz Stanisław
Brażewicz Antoni
Bregmann Eljasz
Brudziński Józef
Bruellów Stefan
Brühl Ludwik
Brzeziński Franciszek
Brykner Wacław
Bucewicz Benedykt
Budzewicz Bronisław
Bursche Juljusz
Buse Jan
Buse Rudolf
Byszewski Stanisław
Bzura Feliks
Cerawski Władysław
Ciechomski Jerzy
Ciechoński Wacław
Chodakowski Ludwik
Chrząszczewski Antoni
Chylewski Jerzy
Cumpft Adam
Cumpft Jan
Cumpft Konstanty
Cyrtoft Piotr
Czapski Jerzy
Czapski Karol
Czapski Mikołaj
Czapski Stanisław
Czarnecki Franciszek
Czekanowski Stanisław
Czerniewski Cezary
Czerniewski Edward
Doroszkiewicz Leon
Dal-Trozzo Jan
Dąbrowski Stanisław
Dąbrowski Kazimierz
Dąbrowski Tadeusz
Dąbrowski Józef
Dąbrowski Eranciszek
Drucki-Lubecki Aleksander
Drucki-Lubecki Władysław
Drzewiecki Karol
Dymowski Adolf
Dziekoński Kazimierz
Dziewicki Roman
Eichelberger Emil
Eichler Witold
Einer Michał
Elkner Marjan
Elkner Stanisław
Epstein Eugenjusz
Epstein Stefan
Epstein Szymon
Epstein Władysław
Erdman Antoni
Erdman Edward
Ernst Oskar

Erchenburger Jan
Ejdrygiewicz Wacław
Fabjan Jan
Falęcki Józef
Feliński Bohdan
Flatt Konstanty
Flaum Maksymiljan
Gajewski Aleksander
Geldner Oskar
Gietgowt Walery
Giedroić Antoni
Gieżyński Stefan
Girdwojń Stanisław
Giżycki Aleksander
Giżycki Jan
Giżycki Kazimierz
Golc Zygmunt
Goławski Bolesław
Gorski Ludwik
Gościcki Konstanty
Grocholski Włodzimierz
Grünagiel Romuald
Gundlach Rudolf
Guranowski Ludwik
Gurbski Ignacy
Gurbski Stanisław
Gurowski Władysław
Gutekunst Teodor
Gzowski Aleksander
Haefke Robert
Hoger Maksymiljan
Hanicki Wacław
Hay Wilhelm
Heinrich Adolf
Heinrich Edward
Heinrich Stefan
Hejbowicz Michał
Hertz Włodzimierz
Hertzberg Józef
Hindemit Bruno
Hłasek Cezar
Hłasek Stefan
Hłasek Wacław
Hłasek Wiktor
Hłasko Bernard
Hoene Jan
Hołowko Antoni
Hołyński Kazimierz
Hrehorowicz Antoni
Hrehorowicz Jan
Hrehorowicz Tadeusz
Hrehorowicz Wiktor
Hulanicki Władysław
Hwincza Konrad
Huszcza Józef
Hutorowicz Władysław
Izbicki Alfred
Jabłczyński Feliks
Jabłoński Antoni
Jagniątkowski Ludwik
Jakowicki Antoni
Jakubenas Paweł
Jakubowski Marceli
Jankowski Piotr Paweł
Jankowski Władysław
Janowski Kazimierz
Jarniński Kazimierz
Jasiński Jakób
Jastrzębski Konstanty
I Jastrzębski Michał
II Jastrzębski Michał
Jastrzębski Stanisław
Jastrzębski Włodzimierz
Jawnis Franciszek
Jawniszko Albert
Jełowicki Aleksander
Jezierski Wacław
Jotejko Kazimierz

Jundziłł Hipolit
Kader Bronisław
Kalenkiewicz Władysław
Karoli Jan
Karp Benedykt
Karpowicz Zygmunt
Kasprowicz Michał
Kiersnowski Andrzej
Kiersnowski Józef
Kiersnowski Zygmunt
Kimont Michał
Klecki Karol
Klecki Walery
Kleindinst Oskar
Knothe Herman
Knothe Karol
Kobierzycki Przemysław
Kobyliński Oskar
Kociełł Kazimierz
Keller Jan
Kognowicki Stanisław
Korewo Brunon
Korewo Mieczysław
Korbutt Gabrjel
Korczke Jan
Kordzikowski Józef
Korpaczewski Hieronim
Korsak Bohdan
Korsak Władysław
Korotkiewicz Kazimierz
Kościelski Mieczysław
Koszarski Onufry
Koszko Piotr
Kościałkowski Gabrjel
Kościałkowski Michał
Kościałkowski Konstanty
Kotowicz Alfred
Kotwicz Jan
Kowerski Bronisław
Kownacki Bolesław
Kownacki Ferdynand
Kownacki Plato
Kozarzewski Zbigniew
Kozłowski Michał
Kożuchowski Wacław
Kożuchowski Stanisław
Krasicki Ksawery
Krauze Karol
Krempin Adolf
Krusche Alfred
Kwaśnicki Stanisław
Kucharski Kajetan
Kujawski Zygmunt
Kułakowski Bronisław
Kuncmann Teodor
Kunicki Marjan
Kurnatowski Felicjan
Kurnatowski Zygmunt
Landau Reinhold
Lejszner Emil
Lempke Waldemar
Lewoniewski Paweł
Liepkind Ludwik
Lipiwski Edward
Lipkowski Józef
Loppe Zygmunt
Loth August
Lutosławski Wincenty
Łagodziński Feliks
Łowcewicz Remigiusz
Łowicki Kazimierz
Łaźniewski Witold
Łopatto Otto
Łuniewski Stanisław
Majewski Konrad
Makowiecki Bolesław
Mołochowicz Aleksander
Manitius Zygmunt

Manteuffel-Soege Ignacy
Manteuffel-Soege Józef
Manteuffel-Soege Leon
Manteuffel-Soege Stanisław
Markowski Stanisław
Marszewski Emanuel
Morke Rudolf
Masło Franciszek
Mellerowicz Teofil
Mersing Władysław
Micewicz Wiktor
Michniewicz Jan
Mieszkowski Wilhelm
Mikosza Bolesław
Mikulski Aleksander
Minkiewicz Kajetan
Minkiewicz Michał
Miński Piotr
Miszewski Stanisław
Mohl Aleksander
Mohl Stanisław
Mongirt Michał
Morawski Józef
Mroziński Kazimierz
Mroziński Witold
Mücke Samuel
Miller Leopold
Narkiewicz-Jodko Witold
Natanson Antoni
Neumann Adolf
Nejmann Cezary
Niemojewski Andrzej
Nieniewski August
Niewnierzycki Juljan
Nowak Roman
Odyniec Władysław
Olizar Jan
Orda Bolesław
Ordęga Michał

Orlikowski Stanisław
Orłowski Edward
Orłowski Jan
Orłowski Ksawery
Orłowski Mieczysław
O'Rourke Karol
Orzepowski Karol
Ostachewicz Witold
Ostromęcki Ksawery
Paklerski Juljan
Pancerzyński Czesław
Pancerzyński Feliks
Paszke Ryszard
Parakiewicz Antoni
Paszkiewicz Józef
Paszkiewicz-Tołłokoński Józef
Pantyński Antoni
Pežarski Bolesław
Pfabe Edward
Pfuhll Gustaw
Piasecki Zdzisław
Pieczyski Władysław
Pietkiewicz Leonard
Pietkiewicz Michał
Pilitowski Józef
Piotrowski Józef
I Piotrowski Władysław
II Piotrowski Władysław
Pisani Antoni
Pisarzowski Antoni
Plater-Zyberg Ludwik
Plater-Zyberg Wiktor
Plater-Zyberg Andrzej
Plater-Zyberg Józefat
Poklewski-Koziełł Józef
Polanowski Kazimierz
Polikier Bernard
Porębski Czesław
Potocki Jakób

Potocki Karol
Potocki Tomasz
Potworowski Gustaw
Pruszanowski Ezechjel
Pruszanowski Robert
Pruszyński Wincenty
Puławski Wojciech
Radomyski Stefan
Radziwiłł Albert
Radziwiłłowicz Rafał
Ramm Aleksander
Ratke Teodor
Regulski Marjan
Reniger Ludwik
Rewieński Konstanty
Rejter Ludwig
Rontaler Stefan
Rościszewski Walery Władysław
Rothert Władysław
Różański Zygmunt
Różycki Czesław
Ressler August
Rudomina Konstanty
Rudnicki Karol
Rupniewski Władysław
Rusiecki Erazm
Rutkowski Oskar
Rychter Stanisław
Rymsza Adam
Rymsza Edward
Rymsza Roman
Rymsza Wacław
Rzywaczewski Adam
Sachs Edward
Sajkiewicz Adam
Sakiel Antoni
Sarosiek Wacław
Sawicki Cezary
Schmackfefer Kazimierz
Schmidt Leopold
Schmidt Rudolf
Schnejder Tomasz
Schoeneich Aleksander
Schulz Emil
Serini Karol
Siemiradzki Józef
Siesicki Dowmont Leonard
Skarbek-Woyczyński Włodzimierz
Skibniewski Bogumił
Skierski Stefan
Skirmunt Kazimierz
Skirmunt Stanisław
Skudowicz Józef
Śmiechowski Antoni
Sołtan Władysław
Spira Maurycy
Sroka Dzierżysław
Starczewski Eugienjusz
Starorypiński Brunon
Starzeński Marjan
Starzeński Waldemar
Starzyński Stanisław
Staszkowski Eustachy
Stefanowski Stanisław
Steinhagen Aleksander
Stern Henryk
Stiller Herman
Strawiński Marjan
Suchorzewski Józef
Summorok Bestytut
Świrski Emanuel
Świrski Jerzy
Syrwid Tadeusz
Szachno Bohdan
Szachno Marjan
Szaszkiewicz Cezary
Szaszkiewicz Józef

Szaszkiewicz Kazimierz
Szaszkiewicz Stanisław
Szefer Kazimierz
Szeliski Leon
Szepcatys Jan
Szpor Ludwik
Szreter Adolf
Szreter Paweł
Sztorc Leon
Sztremer Edward
Szukiewicz Józef
Szulc Edmund
Szwengruben Włodzimierz
Szydłowski Józef
Szymkiewicz Franciszek
Tallen-Wilczewski Leonard
Taraszkiewicz Jerzy
Taube Adam
Thugutt Stanisław
Tochtermann Adolf
Tochtermann Henryk
Trepka Witold
Twarowski Paweł
Unrug Henryk
Urbanowicz Jarosław
Uthke Eugeniusz
Walent Adam
Waleszyński Władysław
Walewski Władysław
Wariakois Jan
Watraszewski Ksawery
Wejdel Edward
Wende Edward
Wernitz Władysław
Weyssenhoff Józef
Wierciński Adam
Wierzchlejski Aloizy
Wierzejski Franciszek
Wikszemski Adam
Winiarski Józef
Wiszniewski Jan
Witkowski Stanisław
Wittort Aleksander
Wojcicki Henryk
Woronicz Czesław
Wosch Hugo
Wojzbun Adam
Wróblewski Teobald
Wydźga Bohdan
Wyganowski Jan
Wyganowski Feliks
Zaborowski Bolesław
Zaborowski Michał
Zaborski Karol
Zahorski Witold
Zaorski Paweł
Zaleski Jan
Zaleski Kazimierz
Zaleski Stanisław
Zan Klemens
Zawisza Aleksander
Zdziechowski Marjan
Zieliński Władysław
Ziemacki Józef
Ziemiański Kalikst
Ziemiński Bronisław
Zmaczyński Bolesław
Życki Kazimierz

„2 Dzieje Dorpatu
i byłego uniwersytetu
Dorpackiego
napisał
Gustaw Manteuffel

Warszawa 1911
Nakładem byłych wycho-
wańców b. Uniw. Dorp.
Skład główny w księg.
E. Wende i S-ka